REPORTAŻ

Andrzej Dybczak

Gugara

Andrzej Dybczak

Gugara

Wołowiec 2012

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48 18 353 58 93, e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70 e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 621 10 48 e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl tel. 504 564 092, 605 955 550

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl
Skład: D2D.pl ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2012
Wydanie I

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA pracownia papierówka
Fotografia na okładce © by PATRYK JORDANOWICZ
Fotografia autora © by JUSTYNA MATWIJEWICZ
Fotografia wewnątrz tomu pochodzi z archiwum Autora.

Copyright © by ANDRZEJ DYBCZAK

Korekta ALICJA LISTWAN / D2D.PL, MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL
Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-407-1

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

Spis treści

[Dedykacja]

[Gugara]

Dla Magdaleny

– Wiesz, jaki jest najlepszy piosenkarz na świecie? – zapytał Dmitrij Nikołajewicz. Oderwał przy tym wzrok od ogniska i spojrzał na mnie kątem oka. Reszta rodziny wygodnie rozparła się w cieniu z lekka tylko rozpraszanym przez światło słabego płomienia.

– No jaki?

– Najlepszy jest Toto Kotunio – stwierdził.

– O tak… Toto jest najlepszy – gorliwie przytaknęła Tatiana, gładząc pędzelek na końcu cienkiego warkocza.

– Coś słyszałem.

– To Włoch… – oznajmiła tonem sensacji, po czym delikatnie dołożyła szczapkę do ognia. Na chwilę zrobiło się jaśniej, kociołek nad paleniskiem rzucił olbrzymi cień na brezentową ścianę, błysnęły czarne ślepia.

– Sułtan, cholero, znowu się tu pchasz?! – wykrzyknęła Tatiana. – Paszoł won! Co za pies. No co tak siedzisz? Wyrzuć go! Na mnie się przecież rzuci.

Dmitrij powtórzył coś energicznie kilka razy i włochaty łeb wycofał się ze szczeliny między ścianą a podłożem. Nie obeszło się jednak bez skomlenia i pokazywania długich żółtych kłów. Przy końcu lata nawet psy wieczorami marzną.

W środku czum nie był zbyt duży, może wielkości małego pokoju w bloku. Koliście osadzone długie żerdzie schodziły się wysoko nad naszymi głowami, gdzie sterczały całym pękiem i gdzie przez szeroki otwór uchodził dym. Kiedy pierwszy raz wszedłem do wnętrza, wypełniało je popołudniowe światło, a podłoga, wyścielona puszystymi

gałązkami modrzewia, zieleniła się jak świeżo umyta sałata. Z miejsca chciało się położyć i tak zostać. Obchodząc palenisko, żeby usiąść tam, gdzie zwykle siadają goście, musiałem schylać głowę pod skośnymi ścianami z grubego materiału. Psy szczekały jeden przez drugiego. Paliliśmy, gapiąc się w ogień, od którego nie sposób było oderwać wzroku. Tatiana z podkurczonymi nogami i głową opartą o kolano wypuszczała kłęby dymu przez zwiędłe wargi. Wyglądała jak skrzat w czarnej wełnianej czapce i zielonym swetrze. Dmitrij, także spowity białymi kłębami, przymykał oczy. W porównaniu z ich kańskimi prymkami, moje trojki to były superlight. A prymki poza mocą miały i inne zalety. Kosztowały sześć rubli za paczkę, smakowały podobno niepowtarzalnie i zostawały po nich pety, których kilka zawsze starczało jeszcze na skręta. Teraz też, parząc wargi, wypalili je do najdalszej możliwej granicy, po czym zgasili i odłożyli do wypełnionej już w połowie przeciętej butelki po keczupie. Na czarną godzinę.

– Czasami w tajdze zostajemy bez kurzenia – wyjaśniła Tatiana.

– Nie ma lekko – dodał Dmitrij. – Za kołchozu przywozili fajki helikopterami. Człowiek palił do połowy i rzucał. Wyobrażasz sobie?

– W ogóle kiedyś to było… i po dwanaście czumów stawało na postoju. Wesoło było – rozmarzyła się jego żona.

– No i przyszła pierestrojka i wszystko się rozpadło. Przyszedł Gorbaczow. – zaczął Dmitrij.

– Co ty mówisz? – obruszyła się Tatiana. – Jaki Graczow?

– Gorbaczow! – odkrzyknąłem.

– Aha – przytaknęła. – Jakby normalnie nie można było powiedzieć – dodała ciszej, do siebie, odwracając wzrok. Była przygłucha i czasami trzeba było mówić głośniej.

– Przecież mówię Gorbaczow – ciągnął gospodarz. – Andrze, dobrze mówię? Potem był Jelcyn. Ale pijaczyna podobno z niego była, że hej. – Dmitrij zastanowił się chwilę. – Nie to co Suworow.

– Suworow? – zdziwiłem się.

– Suworow – powtórzył – ale on to jeszcze nikt przy Aleksandrze Makiedonie.

– To fakt.

Dmitrij odwrócił do mnie rozpromienioną, posiekaną zmarszczkami twarz. Tatiana straciła trochę wątek, więc dla niepoznaki zaczęła krzątać się koło kolacji, szurać rzeczami. Wszystko to robiła na siedząco. Cała kuchnia znajdowała się w zasięgu jej ramion, zajmując kąt po lewej stronie od wejścia. Składała się głównie z niewielkiej walizeczki, obciągniętej brązowym skajem i mieszczącej w sobie kredens, szafki i szuflady. Od wewnętrznej strony teraz otwartego wieka, porozlepiane miała wycinki z kolorowych gazet.

– A co najważniejsze – podkreślił dobitnie palcem – Makiedon dał radę nawet Spartakom.

Ze sobą sąsiadowały tam zdjęcia gubernatora Ewenkijskiego Okręgu Autonomicznego, obelisku na jeziorze Wiwi znaczącego geograficzny środek Rosji i pożółkłe przepisy wycięte jeszcze z „Gospodyni Czumu”.

Z kanistra po benzynie napełniła czajnik i zawiesiła nad ogniem.

– Andrze, dobrze, że przyjechałeś, gada jak dwudziestolatek. Aż miło posłuchać – powiedziała.

Dmitrij żachnął się trochę.

– Tak, tak. Jak odejdziemy w tajgę, zacznie się milczenie, ledwo dwa słowa na dzień można wtedy z niego wydusić. I żyj tu sobie, sama jedyna w lesie z takim mrukiem.

Jej mąż słuchał tego, gorzko potakując.

– Maksima trzeba wołać, herbatę będziemy pić – napominał.

W tym momencie płachta pokrywająca wejście uniosła się i stanął w niej wyżej wspomniany razem z Nikitą.

– Dorowa Baje – przywitali się.

– O, i Nikita popije z nami – stwierdziła Tatiana. Tamten przytaknął lekko. Usiedliśmy w półkolu, w którego centrum znalazł się mały drewniany stolik, podobny do tych na śniadania w łóżku. Gospodyni podała podpłomyk, otwarła konserwę, rozlała herbatę do kubków. Po kolei każdy maczał swój kawałek chleba w puszce z olejem i z umiarem zakąszał konserwą.

– No i jak? – z pełnymi ustami zagadnął Nikita. – Kiedy jedziemy do wioski?

– Jak pojedziemy? – cicho, nie patrząc na niego, odpowiedział Dmitrij.

Nikita podrapał się po głowie.

– No… można by tak jak w tamtym roku, tratwy zrobimy i spłyniemy. – Utkwił niepewny wzrok w twarzy gospodarza,

jakby spodziewał się aprobaty. Tamten tylko pokręcił głową.

– Kola powiedział, żeby czekać na niego.

Kilometr stąd leniwie płynęła rzeka, następne czterdzieści w dół jej biegu leżała wioska. Nikita siorbnął z kubka.

– Mało jedzenia – zauważyła Tatiana.

Potrzebna była łódź, i to większa od tej, na której Kola parę dni temu mnie przywiózł. Łodzie były u Ruskich w wiosce, więc pozostawało wierzyć, że uda mu się którąś skombinować. W ciągu najbliższych dni powinien załatwić transport, może od naczelnika Chiejkuriego albo pożyczy od ludzi. Naczelnik dostał niedawno nowiutkiego „Merkurego” od administracji do wożenia obywateli na grzyby i jagody, ale czy akurat ci tutaj to obywatele? Dowodu nie mają, adresu nie mają, jedyne co, to na wioskę ogromną ochotę. Tam już są prawie wszyscy i jak się te parę razy w roku w niej jest, to można zaszaleć. Kola obiecał, że przyjedzie za jakiś tydzień z dwoma łodziami i wszystkich zabierze, ale w końcu pewności nie było. Kola mówił, że podobno benzynę skądś ma, ale jak załatwi dwie motorówki? Wątpliwości rysowały się na twarzy Nikity. A jak przypłynie tylko jedną łódką? Zabierze wtedy swoich rodziców i brata, więc on z Alkiem faktycznie będą musieli przeprawiać się na tratwach. Nikita był człowiekiem ostrożnym, więc jego czoło marszczyło się pod zaczesaną grzywką, a usta mlaskały w zadumie. Dał w końcu spokój zmartwieniom, gawędząc na luźne tematy, wypalił papierosa, po czym otarł ręce o spodnie i wyszedł.

– Wpadnij do nas – rzucił do mnie, stojąc już na zewnątrz.

Skończyliśmy jeść. Okruszki i resztki Tatiana zsypała na gałązki koło ognia. Pewnymi ruchami, mimo mroku, dekonstruowała jadalnię. Maksim jednym wielkim haustem wypił herbatę, zrobił „ehhhh!!!” i otarł usta.

– Mamo, idę do Alka, co? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, wstał i zaczął nakładać gumowce.

– Idę z tobą – powiedziałem i też zawiązałem trampki. Wyszedł przede mną, ja za nim. Kiedy opuściłem za sobą ciężki materiał, znalazłem się w całkowitych ciemnościach sierpniowej nocy. Dookoła panowała zupełna cisza, żaden gwałtowny dźwięk jej nie naruszał. Z głębi lasu, który otaczał mnie ze wszystkich stron, wydobywał się jakiś trudny do zidentyfikowania odgłos nie odgłos, jak stłumione echo szmeru wielkiej rzeki płynącej tuż za wzgórzem lub echo wszystkich rzek razem wziętych, układające się w jeden, przekazywany od źródła do źródła szept. Powietrze było ostre i zimne. Tym samym chłodem ciągnęło od ziemi. Lekki wiatr zawiewał od północy i czuło się, że to właśnie tam biło serce tego lodowatego tchnienia. Odszedłem kilka kroków i spojrzałem za siebie, tam gdzie w mroku srebrzył się niewielki stożek namiotu, ledwie widoczny między drzewami. Wydawał się bardzo mały i samotny w tym wielkim, pustym lesie. Postawiony między dwiema lichymi sosnami, był podobny do kamyka albo spróchniałej, porzuconej gałęzi. W środku siedziało się jak w przenośnej dziupli rozpiętej za pomocą wilgotnego brezentu. Idąc, co chwilę gubiłem efemeryczną ścieżkę prowadzącą do czumu

braci Mukto i wpadałem w wilgotne od rosy borówki. U moich stóp coś zawarczało głośno. Żołądek podszedł mi do gardła, ale to był tylko Sułtan. Leżał zwinięty w kłębek na środku ścieżki i szczerzył kły. W końcu mnie poznał, bo wstał i podszedł. Złapałem go za czarny kudłaty łeb. Zostawił gdzieś połowę spiczastego ucha, a pysk miał już całkiem siwy.

– Nianakin, aja nianakin. – Na dźwięk ewenkijskiego zaczął jakby wachlować ogonem. Miałem już tylko parę kroków do zrobienia. Obok zewnętrznego paleniska, zwieńczonego solidnym trójnogiem, uniosłem płachtę wejściową. W środku było tłoczno, oprócz gospodarzy Nikity i Alka był jeszcze Sława, traktorzysta na urlopie bezpłatnym.

– Masz fajkę? – zapytał Maksim. Dałem mu, nie bez zdziwienia patrząc, jak odpala sobie od żarzącego się patyczka. – Ukrywam się przed rodzicami – wyjaśnił zmieszany.

Sam gospodarz leżał wyciągnięty i podpierając ręką policzek, uważnie lustrował szachownicę. Sława klęczał z drugiej strony i obgryzał paznokcie.

– Ja ci zrobię tak – mruknął Nikita i z namaszczeniem przesunął gońca. – Miałeś wieżę, bracie.

Grali jeszcze przez chwilę, niezbyt długo, bo w końcu ile można grać bez wieży? Nikita zatarł ręce, Sława splunął.

– Grasz ze mną? – zapytał mnie Maksim tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A co, dawno z nikim nie wygrałeś? – zażartowałem, lecz on wzruszył tylko ramionami. Wszyscy wiedzieli, kto jest najlepszy w tej sześcioosobowej lidze. Zwykle tłumaczyli to genami, że z takim bratem jak Kola to nietrudno. Zaczął rozstawiać figury.

– Gdzie jest czarny pionek?! – wykrzyknął poirytowany. W poprzedniej partii jego rolę odgrywał ułamany patyczek. Wszyscy zaczęli rozglądać się wokoło i sprawdzać, czy go nie przysiedli. Mimo że szachy były specjalne, z magnesem, pionki i tak gubiły się w ściółce. Zwłaszcza czarne.

– Jest! – syknął Sława, podnosząc go z ziemi.

– Dobra, gramy! – zakomenderował Maksim.

Początkowo trzymałem się nawet nieźle, a przed kilkoma fatalnymi błędami ustrzegły mnie głośne porady mojej części czumu, która swoimi wieloma oczami uważnie przyglądała się rozgrywce. Bardzo szybko partia przerodziła się w grę zespołową, właściwie mecz: Maksim kontra reszta świata. Chłopak cieszył się tu ugruntowaną renomą. Słynniejszym szachistą był w okolicy chyba tylko Kola, ale to cała historia, którą tutaj wszyscy znali na pamięć.

W wieku lat siedmiu Kola, tak jak reszta dzieciaków, powędrował zgodnie z przepisami do internatu w wiejskiej szkole. Las się dla niego skończył i rodzinę widywał tylko latem, kiedy rodzice zabierali go do siebie na wakacje. W szkole miał same problemy, a to nie chciał się na początku myć, a to popadał w odrętwienie ciągnące się całymi dniami, wtedy można go było przesuwać jak mebel.

Kiedy w końcu mu przeszło, zbliżała się czwarta czy piąta klasa i nauczyciele zaczęli mu już załatwiać miejsce w szkole specjalnej. Tymczasem któregoś pięknego dnia matematyk, Gruzin, w gruncie rzeczy porządny człowiek, tknięty jakimś przeczuciem pokazał mu szachy i zaczął uczyć ich zasad. Efekty przyszły szybko i były nieoczekiwane, bo mały zaczął ogrywać każdego, łącznie ze swoim mistrzem. Z biegiem czasu chłopak stawał się coraz lepszy. W końcu nauczyciel z niemałym trudem wystarał się o zezwolenie na grę z najlepszym ruskim dzieciakiem, o dwa lata starszym, grubym Dimą, szkolnym czempionem i synem kierowniczki lisiej fermy. Specjalnie w tym celu zorganizowano wioskowy turniej szachowy, którego finalistami okazali się Kola i Dima.

Gruby był pewny zwycięstwa, nic więc dziwnego, że aż poczerwieniał, kiedy mały autochton go pobił. Wszyscy nie mogli wyjść ze zdumienia do tego stopnia, że niedługo potem zorganizowano spotkanie rewanżowe. Cała wioska postawiła podobno sporo pieniędzy. Gruby Dima po raz kolejny poniósł porażkę, tym razem jednak wlazł pod stół i się rozryczał. W ten sposób Kola został niekwestionowanym mistrzem. Skończyły się jego kłopoty w szkole, w ocenach szybko prześcignął średnią ewenkijską na tyle, że trafił do Tury, stolicy okręgu, uczyć się dalej. Tam dopiero rozpostarł szachowe skrzydła, wygrywając wszystkie możliwe zawody i olimpiady. Za to wszystko dostał stypendium na awf w Chabarowsku, na rosyjskim Dalekim Wschodzie, ładnych parę tysięcy kilometrów od

Tury w linii prostej. Linia ta przykryta jest gęstym dywanem tajgi, więc jedynym możliwym środkiem transportu był samolot, a że był to transport drogi, Kola skorzystał z niego tylko dwa razy. Jadąc do Chabarowska i wracając z niego cztery lata później, już jako magister wychowania fizycznego. W czasie studiów wieczorami rozładowywał statki, w dzień studiował. Podobno mógł zostać nawet chirurgiem, szef katedry medycyny lubił grać w szachy, ale Kola nie chciał, bo brzydził się dotykać ludzkich wnętrzności. Obronił dyplom dwa miesiące przed terminem i ruszył w drogę powrotną, żeby być w domu na wiosnę. Stało się jednak tak, że koniec jego studiów splótł się z końcem zsrr. Musiał pracować jeszcze kolejne sześć miesięcy, zanim zarobił na bilet do Krasnojarska i dalej do Tury, gdzie spędził kolejną zimę, oczekując na dogodny transport do wioski. Nie był to najszczęśliwszy okres w historii Ewenkii, ludzie nie dostawali pensji, odcięto prąd i wszystko zamarło w oczekiwaniu na dalszy bieg wydarzeń. Ostatecznie dotarł na miejsce, dostał posadę wuefisty i zaczął się urządzać, ale po tych pięciu latach nieobecności nic nie było już takie jak dawniej.

Partia szybko zamieniła się w obronę Częstochowy. Na odsiecz ruszył mi Alek, który podsunął sobie szachownicę, pochylił nad nią głowę i uważnie lustrował majaczące w nikłym świetle figury. Nikita, czający się za nim, w napięciu odpalił papierosa i z pokerową miną wydmuchiwał dym nosem. W kilka chwil Alek stracił

ostatniego gońca, zatrzepał ręką jak poparzony, reszta pokręciła głowami.

– Cieniaczek – skomentował Maksim. – Mam was – zachichotał. Będąc dzieckiem, cieszył się jak dziecko.

– Uspokój się, jebany – warknął Sława.

Szachy poszły w odstawkę i wszyscy sięgnęliśmy po papierosy. Przysunęliśmy się bliżej ognia, bo chłód zaczynał przenikać przez brezent, połatany i poprzecierany w wielu miejscach.

– Trzeba wracać do roboty – westchnął Sława. – Ciekawe, co tam w klubie. Na wiosnę Rusłan tak dopierdolił temu, no, Łapuszkinowi, mówię wam.

– Rusłan jest niezły – zgodził się Maksim.

– Ostatnio siedzieli przy stoliku i Antonow tylko popatrzył. Co się, chuju, gapisz, mówi Rusłan. A tamten pijanieńki był, coś tam skakał, no to Rusłan mówi: co, kurwa? Chodź, wyjdziemy, to cię zajebię – kontynuował Sława, aż ślina z tych emocji zaczęła mu zraszać wydęte wargi.

– Antonow kiedyś skopał tego Stiepana – wtrącił się Maksim.

– Głupiego? – zaciekawił się Alek.

– No. – Maksim smarknął głośno. – Przed klubem, aż wszyscy wyszli popatrzeć.

– No i co? – wojowniczo zwrócił się w jego stronę Sława. – Rusłanowi można naskoczyć. No i mówił mu Rusłan: idziemy, chuju, ale gdzie… Coś tylko zaczął bredzić.

– I poszli?

– Myślisz, że mu się chciało z Antonowem szarpać?

– Rusłan to jest… – zgodnie zamruczeli zebrani. Przez cienkie ściany przenikał szum lasu i kołysał słabe światło do snu, a ono gasło łagodnie, pogrążając nas w ciemnościach.

– Oj, tak… – westchnął Nikita, leżąc oparty o zebrane pod ścianą drewno na ognisko. – To co, jutro na szyszki?

Odpowiedziało mu zgodne potakiwanie głowami.

– Przejdę się z wami – powiedziałem.

– Tylko się nie zgub – roześmiał się Nikita, a za nim reszta, złośliwe gnomy w poświacie pulsującego jeszcze żaru. Widać wciąż żywa jest historia sprzed roku, kiedy to jeden wioskowy wybrał się na grzyby. Pomylił jakoś strony i zaczął kierować się na północ, w kierunku przeciwnym do wioski. Po piętnastu dniach, gdy był już u kresu sił, natknął się na dwóch myśliwych i dzięki temu wyżył. Gdyby nie oni, biedak miałby szansę zawędrować niczym Kamiński na sam biegun. Podobno trochę od tego sfiksował. Wioska wioską, ale te dwa namioty to tutaj igła w stogu siana. Wróć tu sobie do nich, kiedy każdy kierunek wydaje się równie dobry i nic nie przypomina czegoś, co już się kiedyś widziało. Jak oni się tu orientowali, pozostawało dla mnie tajemnicą, a mętne wyjaśnienia Koli o słońcu i jego ruchach po niebie definitywnie zniechęciły mnie do kwestii.

– Najważniejsze to wiedzieć, gdzie jest wschód – tłumaczył mi kiedyś Dmitrij i pokazywał to tu, to tam, raz za siebie, raz przed siebie, w prawo. Po lewej też był w pewnym momencie wschód.

– Taak, pokaż w kółko – roześmiała się Tatiana. – Ja tam wiem tylko, gdzie jest północ, ale za to na pewno – mówiąc

to, wskazała palcem. – Stamtąd ptaki uciekają przed zimnem.

Wyszedłem na zewnątrz, para szła z ust. Wracałem powoli do domu, starając się nie zamoczyć w lodowatej rosie trampek i nie wpaść w borówki, co nie do końca się udawało. Miałem z górki, dzięki czemu bez konieczności zadzierania wysoko głowy widziałem miliony gwiazd. Na wprost mnie czarne drzewa atakowały tę świetlistą ławicę niczym rekiny. Nagle ciszę statycznego widowiska rozdarł charkot, gdzieś z ciemności, tuż przede mną. Zamarłem.

– Kurwa mać! – Galopujące serce trudniej było jednak zatrzymać, niż skląć Sułtana, który gapił się i szczerzył kły. – Sułtan, aja nanakin – powiedziałem i minąłem go ostrożnie, całego zjeżonego w chwilowym stresie. Słyszałem, jak się ponownie układa, mrucząc i wzdychając. Przed wejściem do namiotu przywiązany leżał Malczik, powinien się lepiej nadawać na stróża, bo młodszy, a spał słodko. Odszedłem kawałek między drzewa. Szum moczu rozpryskującego się w tej ciszy na wilgotnym mchu przypominał odgłosy Niagary. Tak jak zwykłe chrapanie w środku miasta nocą, dobiegające przez otwarte okno, potrafi wypełnić pustą ulicę hipnotycznym drżeniem. Dokładnie na wysokości oczu, na lichej brzózce, wisiała wilcza szczęka ozdobiona kilkoma wyblakłymi wstążkami. Cytadela czumowej linii Maginota, strach zostawał na zewnątrz niej. Wróciłem do środka. Dmitrij i Tatiana leżeli przykryci po uszy skórami i różową kołdrą, tylko oczy im jeszcze błyszczały szkliście.

– To co? Czas spać – zamruczał Dmitrij.

Zdjąłem buty, kurtkę, sweter i spodnie. Koszuli nie zaryzykowałem, mogło się zrobić jeszcze chłodno nad ranem. Posłanie było miękkie i wygodne, wiedziałem już, że najważniejsze to dobrze zawinąć nogi. Są zdradliwe, bo marzną najłatwiej, a jak raz obudzą, to noc z głowy.

– Maksim dzisiaj śpi u Nikity – powiedziałem, jednak wiadomość ta pozostała bez echa.

– Dobrze jest chodzić spać zmęczonym – po chwili milczenia rozległ się głos Dmitrija. – Najważniejsze to praca, to najlepsza rzecz ze wszystkiego.

Po tym manifeście zapadła cisza, jedynie maleńki płomień lizał lubieżnie ostatnią szczapkę.

* * *

– Niedobrze. Ogień nic nie mówi.

Odwróciłem się. Przy piecu klęczał Kola i z zafrasowaną miną zaglądał przez szeroko otwarte metalowe drzwiczki do wnętrza, gdzie od paru godzin paliło się w najlepsze. Szyby w oknach zaparowały zupełnie od ciepła, które zawładnęło kuchnią, podczas gdy na zewnątrz zmierzchało i wciąż padał zimny deszcz. Już od tygodnia wiemy, że z naszego umówionego spotkania z pasterzami nici. Mieli być w połowie sierpnia nad rzeką, ale w taki deszcz to nawet pies z kulawą nogą nie wychodzi spod dachu, a co dopiero tam, w lesie, tułać się. W taki deszcz, jak mi Kola powiedział, siedzi się w czumie i czeka, aż przestanie, bo reniferom ciężko w rozmokniętym mchu, a jeźdźcy nie mają jak wysuszyć ubrań. Mogłoby się tylko skończyć jakąś

chorobą, a komu to potrzebne do szczęścia. Tak więc oni w czumach, a my w kuchni siedzieliśmy w oczekiwaniu na te kilka dni słońca, które pozwoliłyby nam się spotkać nad brzegiem rzeki.

– Nie są daleko – stwierdził wczoraj Kola. – Tylko niech przestanie lać.

Teraz patrzył w ogień i mocno się nad czymś zastanawiał.

– Co? – zapytałem.

W środku rozrastał się cień i na razie migotliwy blask, bijący przez wszystkie szpary rozgrzanego pieca, był jedynym źródłem światła.

– Odkąd przyjechałeś, ogień milczy. – Spojrzał na mnie niepewnie. – Zastanawia się.

– Nad czym?

– Duchy cię nie chcą w tajdze. Myślą, kim jesteś i po co przyjechałeś.

Deszcz walił o parapet, krzywa podłoga gubiła się w mroku, w którym klęczał też Kola z twarzą oświetloną różową plamą padającą z otwartych drzwiczek pieca.

– Skąd wiesz?

– Ogień zawsze ci wszystko powie, uprzedzi przed człowiekiem czy niedźwiedziem.

Ni stąd, ni zowąd w tej pogrążającej się w ciemnościach i szumie deszczu kuchni kogoś jakby przybyło. Ciemne kąty stały się jego kryjówkami, a skrzypienie mebli odgłosami jego kroków. Powietrze zgęstniało. Wszystkie nikczemności wróciły do mnie jak stado donosicieli.

– I co mówi teraz?

– Teraz? – Pokręcił głową i pogrzebał pogrzebaczem. – Waha się.

– Na pewno?

– Wczoraj w bani specjalnie w piecu napaliłem i to samo. – Z cichym zgrzytem zatrzasnął drzwiczki i założył zapadkę. Zapalił światło, musiałem zamknąć oczy. – Dałeś coś duchom, gdy wysiadłeś na brzegu?

– A co miałem dać?

Zastanowił się przez chwilę.

– Na twoim miejscu to poszedłbym teraz za dom i wyrzucił wszystko, co masz w kieszeni.

Postawił czajnik na herbatę. Wstałem od stołu, włożyłem buty, kurtkę i wyszedłem. Idąc po kładce ze śliskich desek, minąłem pole ziemniaków pełne soczystych liści. Przy wychodku przeskoczyłem spływający wodą płot i minąłem stertę leżących za nim śmieci. Miałem przed sobą rozległe lądowisko, porośnięte gęstą trawą, puste. Za nim czarna ściana tajgi. Odwróciłem się do niej plecami, wyciągnąłem garść drobniaków, które wypełniały moją kieszeń, i z całej siły rzuciłem za siebie. Słyszałem ich cichy brzęk, kiedy spadały w trawę. Gdy spojrzałem za siebie, wieczór zatapiał już ziemię w ciemności, tylko zasnute niebo lśniło jeszcze blado. Na niewielkim drzewie nieopodal dostrzegłem przemokniętego kruka. Jako że mokliśmy tutaj zupełnie sami, patrzył na mnie nieruchomo.

– Lepiej późno niż wcale – stwierdził Kola, popijając herbatę, kiedy zdejmowałem mokrą kurtkę. Wstał od stołu i otworzył piec. – Zastanawia się – orzekł, zatrzasnął

drzwiczki i nalał mi herbaty. – Chodź na wiadomości – zaproponował i skierował się w stronę telewizora.

* * *

Ciepło rozchodziło się po kościach, rozgrzewało całe ciało zanurzone w ciężką kołdrę i koc. Tylko na twarzy wciąż czułem chłodny dotyk nocy, któremu bezpiecznie zakopany w ciepłym legowisku oddawałem się z przyjemnością. Wszystko dookoła tańczyło w rytm gasnącego płomienia. Cienie przybierały najdziwniejsze formy w tej cichej maskaradzie przedmiotów codziennego użytku. Na drążku, kołysząc się, schły spodnie Maksima.

– Pluń! Pluń w ogień! – zakrzyknęła Tatiana.

– Co?

– Pluń!

Ślina zaskwierczała w jasnym płomieniu. Po szczapce spłynął wytopiony z niej sok, sykiem przywołując wczorajszy wieczór. Moment, kiedy poczułem ukłucie w plecy i okazało się, że to rękoj eść moj ego noża. Wydobyłem go więc i z rozmachem wbiłem w kawałek drewna leżący przy ognisku. Reakcja była natychmiastowa. Tatiana wyrwała nóż i odrzuciła go w moją stronę.

– Pluń!

Widziałem jej szeroko otwarte oczy, patrzące na mnie ze zdumieniem.

– Pamiętaj, trzymaj to z daleka od ognia. To może być coś złego dla ciebie albo dla nas.

Przekręciłem się na plecy, miałem teraz nad sobą czarną czeluść dymnika. Ściany namiotu schodziły się do tego

punktu stożkowato, jakbyśmy leżeli nakryci wielkim lejkiem, jak w wycelowanym dziale. Resztki światła pięły się po brezencie w stronę czarnego otworu, po drodze słabnąc i w końcu zatracając się w atramentowej studni, pełnej przeglądających się w jej toni gwiazd. Kiedy płomień zamarł, ciemność zaczynała spływać w dół, ogarniała coraz więcej przedmiotów.

Na początku te wiszące najwyżej, wchłaniała je, potem resztę, aż w końcu zawisła na ułamek sekundy tuż nade mną. Drzewa szumiały, jakby ktoś otworzył wszystkie okna. Ściany czumu zniknęły, roztopione w mroku, pozostawiając nas nagich wobec pustej przestrzeni.

– Pamiętaj – powiedział na odchodne Kola – nie gwiżdż tam, to burzy spokój zmarłym.

Gdziekolwiek by oni tutaj leżeli, na swoich drzewnych rusztowaniach jak w gniazdach, z żebrami prześwieconymi na wylot całym gwiazdozbiorem, poczułem na mgnienie oka, że zanim ten ciemny, nocny tłok, miażdżąc nas, wedrze się do ust, nosa i uszu, wzdychamy razem wszyscy cicho.

* * *

Cała wieś spała. Po drodze przechodzili jacyś pijacy, których przekleństwa czy głośne rozmowy dobiegały do nas przez zaciągnięte zasłony i zamknięte okna. A może była to młodzież tłocząca się do późna w najciemniejszych zakamarkach. Tylko po rojach papierosowych iskier można było poznać, jakich miejsc unikać. Telewizor pulsował, więc odwróciłem się twarzą do ściany. Kola leżał z rękami pod głową na sąsiednim łóżku i oglądał kino nocne.

– Zarzucają nas tymi horrorami, żeby zniszczyć naszą psychikę – powiedział, nie wiedząc, że już śpię i dopiero co zapadłem się w wielkie i dziwne niebieskie oczy. Ich źrenice były jak głębokie studnie, wokół których wirowało spiralnie stado ptaków. W studniach odbijało się niebo, płynęły chmury. Wystarczyło podnieść wzrok i one wisiały nad głową na kopulastym sklepieniu, jak to w górach: krzywizny, las, pagórki i pole ze stogami wyblakłego siana.

– Gorąco? – zapytał ktoś.

Było lato w pełni, upał. Pachniało skoszonym sianem, a z grzbietu pagórka odsłaniał się widok na całą rozległą dolinę, pełną szarych bloków, kościołów i ludzi. Miasteczko wdzierało się do pobocznych dolinek i wąwozów, omijało za to wielorybie garby pagórków porośniętych lasem i posiwiałą trawą. W jej gąszczu umknęła wzorzysta żmija.

– Uważaj!

To przecież tylko obwódka oka, ten wąż toczący się po ścieżce jak obręcz. A trawa, sięgająca do pasa nawet tym najwyższym, a co dopiero mnie, kryjąca w sobie wielkie kwiaty rumianku i dzwonki, to tak naprawdę rzęsy. Po każdej z nich przemknąłem jak po deskach kładki na czarne klawisze pianina, które stało głuche w dużym pokoju obok tęgiej postaci matki. Grał szklany ekran, oczy kowbojów patrzyły prosto w moje oczy, piszczała nienaoliwiona huśtawka, co przeważała się z lewa na prawo.

– Sąd – ktoś obwieścił.

Przeszło popołudnie, przez białe framugi drzwi wszedłem do pokoju, gdzie podłużne lustro srebrzyło ścianę. Ktoś tam

stał. Miał napęczniałe wargi i oczy otoczone wirującą serpentyną tatuażu. Śmiał się przez zepsute zęby. To na jego ciepłej powiece zacząłem podróż.

– Witaj – powiedział.

Kręgi otaczające jego oko poprowadziły mnie dalej, po łuku opuchłej skóry, w kierunku brwi jak chaszcze nad brzegiem strumienia. Woda szumiała, rozbijała się o niewielkie głazy, przetaczała je, brunatna, gdy popadało, żłobiła skarpę jak łzy żłobiły tę twarz. Płynęły wielkimi kroplami. Brat najpierw rzucał kamieniem przez ten strumień, a potem zniknął, zakryty czarnym wzorem, który zakręcał, rozkrzewiał się i odgałęział po całym pomarszczonym czole, schodził niżej, po całej szyi, pewnie i niżej, gęsty, dziki. Omijał tylko łagodne niebieskie oczy.

– Patrzę.

Dotknąłem palcem zaparowanego lustra, pozostał ślad. Tak więc najpierw odsłoniłem oko, potem dalej, ciepły dotyk topił parę w koncentryczną linię. Tłuste policzki, wielkie uszy, bruzdy i brwi. Aksamitne wargi wykrzywione były w debilnym grymasie lub uśmiechnięte lekko, przepraszająco, władczo, opiekuńczo. Kiedy się rozchyliły, wyłoniła się pierwsza twarz, utknąłem na niej jak na zębie, potem następna i następna. Wszystkie możliwe kształty i rozmiary, spróchniałe, zdrowe i te już dawno wyrwane. Każdą rozpoznałem.

– Pożegnania, pożegnania – przedrzeźniły wargi i dmuchnęły z całej siły. Potoczyły się chmury nade mną i zdziczałą jabłonią, nad którą górował bliski las. Ścieżką

nadszedł czarny pies, a pachnący wiatr z głębi lasu przeliczał mu sierść, włos po włosie. W końcu wieczór ogarnął nas i dalekie kształty między jodłami. Nigdy nie podeszły bliżej, ganiał je czarny pies i widział on tylko, aż wreszcie i on sam odszedł. Cień odbity w studni. Jak ten most na szerokiej rzece, pełnej odbić domów, aut i ludzi. Pływały na nich łabędzie, kaczki, pod nimi chmury. Co dzień wykluwało się z rzeki słońce, co noc w niej tonął księżyc. Stalowy garb spinał dwie części pękniętej równiny, jak nos spina dwie części twarzy. Między jego przęsłami wiele pająków plotło sieci w dziesiątkach kształtów i rozmiarów, w jednym kolorze tylko, czarnym. Miał oko jak akwarium przyglądające się uważnie lub pusto. Miał worki pod oczami koloru buraków, tłusty policzek, odstające uszy, żelazny nos i pulchne mamroczące wargi odsłaniające rumowisko zębów. W kąciku oka swój ogon umościł mu wąż i rozwijał się taśmowo po setkach czarnych serpentyn, opisując raz za razem, przy każdym okręgu, twarz. Mój wzrok jak do lepca przylgnął do tej linii i podążał poprzez policzek wypukły jak pierś kobiety, którą gładziłem, i na koniec całkiem zapomniałem, że to policzek, aż natrafiłem językiem na czarną linię. Moją twarz zapalił wstyd.

– To sen – wyjaśnił.

Jej powierzchnia była jeziorem przykrytym dywanem wieczornej mgły, skąd pośrodku wznosiła się czarna źrenica wyspy. Łagodne powiewy kołysały pochylone nadbrzeżne drzewa. Strome góry, otaczające jezioro ze wszystkich stron, wydawały się zgaszone i odległe, ukrywając w swoim

łonie nieobecne już od kilku chwil słońce. Nocne ptaki, zbudzone przed momentem, nawoływały się z daleka, nie dając spać dziennym, z których ostatnie już zamykały guzikowate oczy. Tuż przy powierzchni ukrytej we mgle wody przemykały nietoperze, muskając skrzydłami taflę z cichym pluskiem. U stóp smukłej postaci stojącej na brzegu ścieliła się koronkowa piana. Kobieta owinęła się szczelnie szalem i patrzyła w stronę łodzi unoszącej się we mgle, prowadzonej ramieniem mężczyzny ku wyspie, źrenicy. To tam, na jej dnie, w ciemnym pokoju wisiał szydełkowy obraz oświetlany snopami świateł samochodów pędzących drogą. Lustro wypełniła obca twarz. Człowiek-karp, człowiek-ogród, ciamajda, rozpustnik, łajdak. Podbródek mu tańczył, gdy się śmiał. Był małym jak mrówka kurduplem, dzieckiem, Waligórą. Na żółwiej skorupie głowy kłębiły się na czarno kłute obłoki, ślimacznice i zawijasy. Falowały jak rzeczywiste, poznaczone zmarszczkami, przecięte pokancerowanymi brwiami. Potrząsał nagim brzuchem, rozkładając potężne ramiona. Zatapiał brodę w zdobionym fałdzie szyi, okrutnie oszpeconym. Olbrzymia łysa głowa gotowa była eksplodować. Szeroki uśmiech i miękki jak kapeć grymas drwiny – coraz słabsze, bo powietrze nagle zaczęło nasiąkać światłem. Najdłużej w pamięci pozostały uśmiech i łagodne spojrzenie.

* * *

Na maleńkim ekranie spadał powolny deszcz różnokolorowych wielościanów. Przesuwały się to w prawo,

to w lewo, posłuszne palcom naciskającym dwa guziki. Pim – w lewo – pom – w prawo – pim, pim – dwa razy w lewo – pom – w prawo. Opadały niespieszną falą i w zależności od umiejętności gracza układały jednolitą ścianę albo pełną dziur płaszczyznę, do której później nic już nie pasowało. Mur rósł i wypełniał w końcu ekran, wtedy się wygrywało. Każde pimpnięcie niczym uderzenie w bęben odcinało się od jednostajnego szumu deszczu, wypełniającego ciszę czumu subtelną obecnością. W środku panował zielony cień, rozpraszany gdzieniegdzie przez plamy białego światła, barwiące brezent w miejscach przetarć i dziur. Dmitrij Nikołajewicz siedział na skórze renifera i oparty plecami o zwiniętą w walec kołdrę, grzał nogi przy tlącym się palenisku. Był pochłonięty żółtym chińskim tetrisem, który trzymał w dłoniach, energicznie naciskając czerwone guziki sterujące. Urządzenie odpowiadało serią cienkich i skrzekliwych dźwięków, podczas gdy na ekraniku przesuwały się ciemne kształty niczym w zminiaturyzowanym teatrze cieni. Było już dobrze po południu, deszcz padał cały dzień. Paliłem, a mokre spodnie i bluza parowały, zawieszone na drążku nad moją głową.

– Do tajgi zawsze trzeba mieć dwie pary spodni – pouczał Dmitrij znad konsoli, widząc mnie w samych kalesonach. Było mi wszystko jedno, oparty o stertę drewna, tonąłem w miękkim dywanie gałązek. Papierosy z czerwonego pudełka leżącego przy ognisku były jak uwędzone, zanim dopaliłem, już wiedziałem, że sięgnę po następnego. Dmitrij w transie przyciskał guziki, ja natomiast przeciwnie,

dawałem się unieść bezwładności wzbierającej pod niekończącym się strumieniem płynącej z nieba wody. Wyobraziłem sobie, że już nigdy nie przestanie padać i że nasza górka zamieniła się w wyspę otoczoną przez fale nowego potopu. Jesteśmy tylko my, jak w arce Noego, ukryci na tym pagórku – wyspie pośrodku zamienionego w ocean lasu. Jak rozbitkowie, wybrańcy, których głosy giną w szumie dokonującej się wokoło katastrofy.

* * *

– No, Maksim! – z uznaniem w głosie powiedział Nikita. – Ale żeś se pałę wystrugał.

Chłopak z niepokojem spojrzał na olbrzymią maczugę, na której się właśnie wspierał. Dopiero co wyciosana z leżącej obok kłody, dorównywała wzrostowi swojemu twórcy. Siedzieliśmy wszyscy na pniakach porozrzucanych przed wejściem do namiotu. Był mglisty poranek po deszczowej nocy.

– Weź to przytnij trochę, nawet jej nie dźwigniesz, chłopie – doradził Alek, nie wyjmując papierosa z ust.

– Ja nie dźwignę?! – zaperzył się Maksim, ale chyba Alek wyartykułował tylko na głos jego własne wątpliwości, bo rzucił maczugę na ziemię i zaczął rozglądać się za siekierą. W obozie panował spokój, psy drzemały pochowane we mchu i borówkach, a ostatnie renifery właśnie zaczęły się zagłębiać w las. W ten deszcz diabli wzięli meszki i komary, więc zwierzęta, uwolnione od nich, włóczyły się samopas w poszukiwaniu grzybów. Pobrzękiwały tylko czasem dzwonkami z oddali.

– Teraz to one są największymi szamanami – rzekł kiedyś ze śmiechem Nikita. – Tyle grzybów zeżrą.

Jeden tylko się ociągał, delikatnie stąpał po mchu obok namiotu. Na udzie miał dużą na dwie dłonie, czerwoną plamę żywego mięsa. Rana nie krwawiła już, ale nadal ściekały po niej białe krople ropy. Była najlepszym dowodem, że oprócz komarów i ludzi w pobliżu krążyli też inni głodni.

– Kiedyś to przynajmniej truli wilki, trutkę z helikopterów rzucali, strzelali – powiedział raz Dmitrij, kończąc czyścić ranę. – Teraz nic nie robią. To nie są warunki do pracy. Czają się, ten to zwiał im prosto z paszczy.

– Jak w lecie Aluna nie wróciła z lasu, to ja przez tydzień płakałam – dodała Tatiana. – Tak mi było smutno, że powiedzieć nie mogę…

Koniec końców i ten renifer nie wytrzymał pokusy. Niespiesznie, potrącając wilgotne gałęzie, pokuśtykał w swoją stronę. Także i my, przy głuchych dźwiękach siekiery Maksima, zaczęliśmy zbierać rzeczy, zakładać wodery, kurtki czy co tam kto miał. Ciemny sufit nad naszymi głowami znowu zaczął przeciekać i krople zabębniły o liście. Ruszyliśmy, a po chwili dołączył do nas Maksim, taszcząc na ramieniu odchudzoną maczugę. Alek i Nikita zabrali swoje, ja i Sława spakowaliśmy trzy duże worki. Nikita jeszcze tylko zawołał na psa i całą karawaną skierowaliśmy się gęsiego przez las w dół pagórka, na którym stały czumy. Z trudem nadążałem, próbując równocześnie unikać mokrych pacnięć wilgotnych gałęzi.

Deszcz się nasilił, las przykryła jasna mgła, ubranie szczelnie okleiło ciało. Poruszaliśmy się wężowym ruchem, pełnym wilgoci i chłodu, po ledwie widocznych ścieżynkach. Las był niski i rzadki. Co jakiś czas musieliśmy omijać tłuste plamy bagien porośniętych chorym mchem i trawą, rozlane w markotnej i przyduszonej deszczem pustce. Coś tam się jednak w oddali poruszyło. Pies, rozsiewając setki kropel, natychmiast wypruł i po kilku susach zniknął nam z oczu. Przystanęliśmy na chwilę.

– Odpoczynek – zakomenderował Nikita. Oparł się o pień, zadarł głowę i patrzył uważnie w górę. Reszta zgromadziła się dookoła, to kucając, to siedząc. Wydobył z kieszeni paczkę i puścił po wszystkich, tak że przechodziła z rąk do rąk. Zaczęliśmy dymić w beznadziejnej próbie zatrzymania tej powodzi za pomocą pięciu iskier, pulsujących w rytm naszych oddechów.

– No i gdzie ten twój pies? – po chwili retorycznie zapytał Maksim. Nikita wzruszył tylko ramionami.

– Ładny myśliwski pies – dodał Sława.

– Wróci? – zapytałem.

– Taa… wróci, już to widzę – bąknął Maksim.

– Cedrówki wszystko zeżrą, jak tak będziemy siedzieć – powiedział zniecierpliwiony Nikita.

Komary znowu zaczęły ciąć. Wyciągnąłem spray na owady i spsikałem się obficie.

– Chcecie?

Z propozycji skorzystał tylko Maksim, też sobie nie żałując.

– Pies nie taki głupi – rzucił Sława z kwaśną miną wyzierającą spod mokrego kaptura. – Na stówkę wrócił do obozu.

– Cwaniaczek – dodał Maksim.

– Jebany – mruknął milczący dotąd Alek.

* * *

Jednostajny rytm pimpnięć ustał na krótko, by za chwilę eksplodować czymś w rodzaju melodii. Zmiana gry. Przysunąłem się nieco do Dmitrija i zajrzałem mu przez ramię. Teraz sterował łodzią mającą za zadanie wyłapać tylu spadochroniarzy, ilu to tylko możliwe. Po obu stronach łodzi roiło się od czarnych trójkątów wystających z wody, żeby nie było wątpliwości co do losu niezłapanych skoczków. Po drugiej stronie ogniska przycupnęli Maksim z matką nad szachownicą.

– Hi, hi, hi – piszczała z uciechy Tatiana, kolejny raz w kilku ruchach pokonując syna.

– To zagrajmy w szachy – odgrażał się chłopak, bo grali w warcaby, a w tej dyscyplinie Tatiana była nie do pokonania. Siedziała podekscytowana z kolanami pod brodą niczym dziewczyna.

– Jeszcze raz! Gramy jeszcze raz! – ponaglała zniechęconego już trochę syna.

Tuż obok poczułem czyjąś obecność, odwróciłem głowę, a tu pies. Malczik, korzystając z nieuwagi gospodarzy, wkradł się do środka i teraz leżał, grzejąc się przy ogniu. Łypał przy tym niespokojnie oczami na wszystkie strony,

czy nikt nie patrzy. Pikanie ustało. Pies zerwał się na łapy i pokornie wycofał na zewnątrz.

– Pijemy herbatę? – zaproponował gospodarz.

Odłożył ostrożnie plastikowe pudełko na bok i poprawił się na siedzeniu. Tatiana porzuciła warcaby i zaczęła się krzątać przy kolacji. Zawiesiła czajnik na haku i ze sfrustrowaną miną zaczęła przeglądać pustawe torby. Ostatecznie wybór padł na muszelki z konserwą, które zjedliśmy, łapczywie zagarniając makaron z patelni łyżkami i kawałkami chleba.

– Andrze… – odezwał się w końcu Dmitrij spoza chmury tytoniowego dymu. – U ciebie w domu wierzą w Jezusa, tak?

– No, można tak powiedzieć.

– Aha. – Zaciągnął się i spojrzał na mnie po swojemu z ukosa. – To dobrze, bo Jezus to wszystko przewidział, umiał przepowiadać przyszłość, przewidział i Lenina, i Stalina.

– Lenin nas życia nauczył – wtrąciła Tatiana i ucichła speszona.

– Jezusa zamęczyli na śmierć, bo wszystko wiedział. Za dużo wiedział. – Dmitrij sięgnął po kolejnego papierosa.

W środku zapadał zmrok. Tatiana dołożyła do ognia, po czym zajęła się uprzątaniem kuchni. Nuciła sobie cicho którąś ze smętnych melodii, odcięta od nas ścianą niedosłyszenia. Maksim gdzieś zniknął, zostawiając uchyloną płachtę wejściową, po której spływały do wnętrza ciężkie krople deszczu. Za chwilę wrócił, niosąc naręcze szyszek.

– Burunduk już jest – powiedział rozbawiony. – Już nam ucztuje w szyszkach. Psom to po głowach prawie skacze. – Jakby na potwierdzenie tych słów rozległo się skomlenie, szczekanie i wściekłe drapanie psich pazurów o korę drzewa.

– Uciekł na drzewo – skomentował ojciec.

Każdy wziął po szyszce, nabił na patyczek i tak piekliśmy je nad płomieniem. Szybko zaczęły sączyć z siebie żywicę i intensywny zapach. Światło ogniska żłobiło głębokie bruzdy w twarzy Dmitrija Nikołajewicza. Jego przyprószone siwizną włosy sterczały niesfornie na wszystkie strony.

– A wy wierzycie w duchy? – zapytałem.

– Duchy?! – powtórzyła głośno Tatiana, przerywając swoją pracę. Przysunęła się do ognia, wyraźnie zainteresowana. Zaraz też wyłuskała z paczki papierosa i przysiadłszy na piętach, odpaliła sobie rozżarzonym patyczkiem.

– One chodzą po lesie – powiedział cicho jej mąż.

– Chodzą?

– Mhmm… – Pokiwał głową. – Chodzą w nocy koło czumów.

– I co?

– I nic. Mają swoje ścieżki, a my swoje. W drogę sobie nie wchodzimy.

– Eee. Andrze – Tatiana ze zniecierpliwieniem machnęła ręką – tego to szkoda pytać, nic nie powie. – Zrobiła konspiracyjną minę. – Ja bym ci opowiedziała, ale on – wskazała głową na męża – mi zabrania. Potem same pretensje.

Dmitrij skrzywił się trochę i pokręcił głową.

– Każda ziemia ma swojego gospodarza – powiedział cicho, zdjął osmaloną szyszkę z patyczka i zaczął metodycznie odłamywać jej rozchylone pióra, wydobywając gorące nasiona. Reszta zrobiła to samo i wkrótce mlaskanie, trzaski pękających skorupek i mokre odgłosy wydmuchiwania łupek na dłonie rozbrzmiały w całym namiocie.

* * *

Nikita spojrzał jeszcze raz w górę, mruknął coś niezadowolony i rzucił o ziemię mokrego peta.

– Nie mówiłem? – powiedział głośno. – Cedrówki się wcześniej wybrały na zbiory.

– Tu jeszcze są! – zawołał Maksim, wskazując na smukłe drzewo niedaleko.

Ścisnąłem ciężką maczugę i ruszyłem we wskazanym kierunku. Ostatecznie okazało się, że to ja zajmę się transportem tego narzędzia. Stanąłem w rozkroku, zamachnąłem się i z całej siły walnąłem w pień. Najpierw spadł na mnie deszcz maleńkich kropelek, chwilę po opadnięciu ostatniej jedna za drugą zaczęły spadać szyszki, uwalniając od swojego ciężaru gałęzie. Z szelestem przedzierały się przez igliwie, by ostatecznie pacnąć na mnie i na ziemię. Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta… wszystko. Pięć sztuk. Zamachnąłem się ze wszystkich sił jeszcze raz, ale grzmotnąłem trochę za nisko i drzewo ani drgnęło. Zawyłem za to z bólu w rękach. Tu i ówdzie słyszałem podobne głuche uderzenia, czyli reszta zabrała

się do roboty. Roztarłem dłonie i jeszcze raz się przyłożyłem. Na moment świat znowu zniknął za mokrą zasłoną. Cisza, żadna nie poleciała.

– Wszystko! – krzyknął Maksim. Odszukał te, które spadły, i zapakował je do worka. Zza drzew słychać było śmiechy i odgłosy uderzeń. – Niby cedrówki, a patrz, pięć sztuk! – wysapał.

Lało jak z cebra. Pośród ciężkiego mroku zalegającego w lesie gdzieniegdzie migały a to czapka Nikity, a to pomarańczowe ramię roboczej kurtki Alka. Przyszła chyba w jakimś darze czy dostawie, bo chodziło w takich pół wioski. Popędziliśmy w ich kierunku, byleby się tylko nie zgubić. Co rusz natrafialiśmy na drzewo z kilkoma szyszkami na szczycie. Wypatrywał je Maksim, bo ja brodziłem już w zaparowanych okularach, przez które las zlewał się w jedną zieloną mamałygę. Od środka zatapiał mnie ciepły pot, z zewnątrz zimna woda. Czasami musieliśmy przekraczać ślizgający się między drzewami strumień lub bagno, zwykle głębsze, niż można by się tego było spodziewać. Jeden nieuważny krok i gumowiec albo dwa zamieniały się w akwarium, a wtedy już wszystko stracone, wszystko mokre. Niekiedy, w większym skupisku cedrów, pracowaliśmy razem, wymachując ciężkimi maczugami jak w bitwie. Kiedy się schodziliśmy, było palenie papierosów, zbieranie wielkich borówek i brusznicy, czerwonej jak rozsypane po lesie korale. Kłoda tak nasiąkła wodą, że zrobiła się ciężka, ręce mdlały i coraz dłużej musiałem bić po pniu, żeby strącić ładunek.

– No, dawaj – zachęcał Maksim.

Przejąłem od niego mokry, pełny szyszek worek, pod którym sapał i dyszał, w zamian zabrał sobie swoją bijaczkę. Takiego worka żywcem nie było jak nieść, najlepiej na ramieniu, ale wtedy bolało. Rzuciłem ciężar na mech, żeby odpocząć, chłopak też gdzieś tam przycupnął. Dookoła rosło mrowie borówek, które, rozgniatane przy każdym ruchu, barwiły spodnie, wpadały do gumiaków, zamieniając wnętrze w ociekające granatowym sokiem błoto. Odruchowo zacząłem zbierać ich pełne garście. Wciągnąłem się, zagarniałem je z rosnącą zachłannością, jedna za drugą napełniałem nimi dłonie i zjadałem, rozgniatając w ustach czerwony miąższ. Stałem się głuchy na deszcz, na dreszcze, które coraz mocniej mną trzęsły, na ból rąk i pleców. Ich smak dawał zadośćuczynienie jak łapówka z miękkiej i słodkiej strefy ciepła, skąd wyrasta wszelkie szczęście, a której te krzaki były najdalej wysuniętym neuronem. U jego korzenia biło tętno wszystkiego, co dobre, łaskawe, ostateczny matecznik. Mój mózg poraziło nagle okropne skrzeczenie, poderwałem się na równe nogi. Światło zalśniło na mokrych piórach, kiedy smoliście czarny ptaszek przysiadł z hałasem na gałęzi i przyglądał się natarczywie. Jego jazgotliwe skrzeczenie mogłoby obudzić zmarłego. Rozejrzałem się za workiem, leżał obok, poszukałem wzrokiem Maksima, ani widu, ani słychu. Jakby nigdy tu nikogo nie było, nieme drzewa, krzaki, deszcz. Wytężyłem słuch w nadziei, że usłyszę chłopaków strącających szyszki, ale nie, cisza dzwoniła

w uszach. Dźwignąłem worek i zrobiłem parę kroków za następne drzewo, ale tam też nic. Krzyknąłem głośno. Głos ugrzązł w mokrej gąbce mchu zaledwie kilka metrów ode mnie. Rzuciłem worek i zacząłem przecierać okulary, mokra koszula tylko rozmazała wodę i brud. Dźwignąłem ładunek na plecy, uszedłem kilka kroków, rozglądając się w panice dookoła. Za drzewem dostrzegłem jakąś głowę, zaraz zniknęła. Przyspieszyłem kroku, na ten pociąg nie mogłem się spóźnić, drugiego tutaj już nie będzie na pewno. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, przeklęte uginały się pod ciężarem. Pot zalewał mi oczy, kiedy dojrzałem całą czwórkę kopcącą papierosy pod drzewem, przycupniętą jak borowiki. Położyłem worek, zdyszany wyciągnąłem spray antykomarowy, spsikałem się i rzuciłem Maksimowi, który złapał go zgrabnie w locie. Reszta wykonywała tylko jeden powtarzalny ruch podnoszenia papierosa do ust. Przypominali popsute marionetki, mokre, zakapturzone, milczące.

– U nas już pełny – pochwalił się Maksim, wskazując na mój ładunek. – U was coś mało.

Sława spojrzał na niego wrogo.

– A u was niby więcej?

– Więcej – upierał się chłopak.

– O dwie szyszki – zarechotał Alek. – Maminsynek, pewnie chce do domu.

– A co?! Jak mamy pełny, to co…?

– Jak chcesz do domu, to idź – rzucił Nikita. – Jeśli trafisz.

Maksimowi trochę zrzedła mina.

– Święte słowa – zauważyłem.

Nikita spojrzał na mnie z kpiącym uśmieszkiem, po czym chuchnął w złożone dłonie jak od mrozu.

– Będziemy tak siedzieć? – zapytał.

Deszcz zamierał, światło uwolnione przez ciężkie chmury opadło na dotychczasowy mrok jak kurtyna wyszyta drżącymi kroplami. Każdy zakątek wypełnił się ruchem, każdy cień zmieniał pozycję. Liście zachłannie wystawiały się do słońca, wiedząc, że i tak nic z tego, że i tak zaraz ustąpi chmurom. A potem nieuniknionemu, bijącemu z północy z siłą tak wielką, że choć lodowate, lada moment podpali wszystko, czego dotknie.

* * *

– One i tak zawsze przychodzą we śnie – powiedziała Tatiana po chwili milczenia, chowając niedopałek do plastikowej butelki. Zamyśliła się i przygładziła niesforne kosmyki uciekające z kucyka. – Wiesz, nigdy nie pokazują się naprawdę. Możesz je zobaczyć tylko w snach.

– Tutaj zostawiają znaki – dodał nieobecny dotąd Dmitrij – albo przemieniają się w zwierzęta.

Zdążył się już po jedzeniu usadzić wygodnie na wytartej skórze. W czumie mieli ich trzy, z których jedna, na co dzień używana przez Maksima, trafiła się mnie. To tak, jakby w domu były trzy krzesła, a najmłodszy musiał zawsze podtykać swoje gościowi. Tatiana założyła ogromne okulary i sięgnęła po jedną ze starych krzyżówek. Bezgłośnie poruszającymi się ustami odczytywała hasła i marszczyła czoło.

– A jak wyglądają? – zapytałem.

– Różnie – odparł Dmitrij. – To tacy prawie ludzie, ale dużo dziwniejsi, czasem wyglądają strasznie. Mogą cię przejrzeć na wylot – urwał i pokiwał głową. – Mogą wiedzieć o tobie wszystko.

– Skąd?

– Pytają w snach.

– A jak nic im nie powiem?

– Wejdą w ciebie głęboko, wyciągną wszystko, co ukrywasz, i oby nie z wnętrznościami. Wiedzą wszystko.

Nie zauważyłem, ale Maksim znowu gdzieś wyszedł, pewnie do Muktów. Poczułem coś na kształt muśnięcia, sekundę po nim trudno uwierzyć, że naprawdę miało miejsce. Szum deszczu usypiał, przyginał głowę ku ziemi jak mokre liście łopianu. Jakiś zabłąkany włóczykij zadzwonił dzwonkiem nieopodal.

– Oron gjerkudieran – na głos przypomniałem sobie pierwszą lekcję ewenkijskiego: „renifer chodzi”.

– Oron gjerkudieran – przytaknął Dmitrij.

Renifer z jakiegoś powodu postanowił pokręcić się po obozie. Przez cienkie brezentowe ścianki słyszałem delikatne stąpanie, szeleszczenie liści, o które się ocierał, gałązek, które łamał pod racicami. Schron, gdzie odgrodzeni od świata dotąd siedzieliśmy, nie okazywał się mocniejszy niż kartka papieru. Teraz było słychać nawet oddech zwierzęcia, właśnie spokojnie zrobiło półokrąg po obwodzie czumu i zaczęło się oddalać, zabierając ze środka swoje odgłosy. Jego kroki były ostrożne, cichły, w końcu

nawet dzwonienie zalał i zgasił deszcz. Cisza wróciła na swoje miejsce.

– Eee… nie wiem – mruknęła do siebie Tatiana, zdejmując okulary. – Ja to chyba jestem za głupia na te krzyżówki, nic nie mogę odgadnąć.

– Ja też nie mogę – pocieszył ją mąż. – Żadne słowo nie przychodzi mi do głowy.

– Przecież to po rosyjsku – powiedziałem.

– Fakt – zgodził się. – Wszystkich ich słów jeszcze nie znam.

Wstałem i pomacałem spodnie. Okazało się, że podeschły już trochę, najgorsza była tylko dziura na kolanie.

– Daj, to ci zszyję – zaproponowała Tatiana ze swojego miejsca. Otworzyła szkatułkę i fachowym okiem zrobiła błyskawiczny przegląd. Wydobyła igłę, po czym trzymając ją w lewej ręce, a poślinioną czarną nitkę w prawej, wycelowała i jednym ruchem przewlokła nić przez uszko.

– Wiewiórkę w oko trafiała – z dumą w głosie powiedział, widząc to, Dmitrij.

Siedziała w kucki, pochylona nad spodniami tak mocno, że prawie dotykała materiału nosem. W środku robiło się coraz ciemniej, ogień za to przeciwnie, nabierał kształtu i koloru. Tatiana zamruczała coś do siebie i wydobyła z torby świeczkę. Ustawiła ją ostrożnie obok kolana i zapaliła. Po chwili w czumie przybyło o jeden płomień więcej. Świeczka rzucała niepewne światło na robotę, błyskającą igłę i szybko poruszające się ręce kobiety.

– A słyszałeś, Andrze, o latającym talerzu? – zagadnął Dmitrij, nadziewając kolejną szyszkę na patyk.

– O czym?! – zapytała, przerywając pracę, Tatiana.

– O latającym talerzu! – powtórzył głośno Dmitrij.

– Co krzyczysz? – żachnęła się.

– Pewnie, że słyszałem.

– Jest u was?

– Niektórzy opowiadają różne historie.

– Jest, jest… – przytaknął. – Tu też kiedyś latał nad lasem.

– Tutaj?

– Niedokładnie, w bajkitskim rejonie.

– Przecież to cudo tunguskie to taki talerz, co kiedyś właśnie upadł – dodała Tatiana.

– No i też w bajkitskim rejonie – nasunęło mi się spostrzeżenie.

– Coś tam w tym Bajkicie musi być… – zafrasował się Dmitrij.

– A kto widział? – zapytałem.

– Ludzie widzieli.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ludzie widzieli, Ewenkowie – zarzekał się Dmitrij.

– Latały, latały – potwierdziła Tatiana.

– Nawet potem ich helikoptery szukały, samoloty za nimi latały, ścigały… – ciągnął jej mąż.

– I złapali?

– Nie wydaje mi się – zaprzeczył Dmitrij. – Różne historie się słyszy o tych z innych planet… – zaczął, sięgając po

papierosa i gałązkę, którą mógłby go sobie przypalić. Podsunąłem mu pod nos zapalniczkę, z czego natychmiast skorzystał i zaciągnął się potężnie.

– Jeszcze mi – zgłosiła się Tatiana, która rzuciła szycie w kąt. Poszedłem za ich przykładem.

– Raz się tak zdarzyło – zaczął Dmitrij, mrużąc oczy i przyglądając się tajemniczo ognisku – że przylecieli kosmici na ziemię. Przylecieli na takim właśnie latającym talerzu, nikt ich nie zobaczył, bo umieją się skradać jak mało kto. Przylatywali głównie w nocy i porywali a to psa, a to renifera.

– Ciekawe, po co im one były – wyrwało się Tatianie.

– Na mięso – wyjaśnił spokojnie Dmitrij i ciągnął dalej: – Aż pewnego razu postanowili porwać człowieka. Akurat skorzystali z okazji i porwali kobietę, co poszła za jagodami. Tydzień jej nie było, nikt nie wiedział, co się z nią stało, wszyscy już myśleli, że nie żyje, bo ją Michał Iwanowicz dopadł.

– Kto? – zdziwiłem się.

– Jak to kto? – Dmitrij uniósł brwi.

– Miszka – szepnęła Tatiana.

– Aha.

– Aż w końcu po tygodniu – kontynuował jej mąż – przychodzi jakby nigdy nic do domu. Tylko jakaś dziwna była, milcząca, cała blada, jakby zatruta. Na początku nic nie mówiła i nawet jej mąż nie wiedział, gdzie była, ale z dnia na dzień jakby wracała do życia, odzyskiwała pamięć. Zaczynała opowiadać o tym, co widziała, jak ją zabrali.

– Siłą ją zabrali?

– Nic nie mogła zrobić, mieli moc, która zmusiła ją do posłuszeństwa i powodowała utratę pamięci.

– A gdzie to było? – z niepokojem w głosie zapytała Tatiana.

– U Ruskich gdzieś, nie u nas – wyjaśnił jej mąż uspokajająco.

– I co opowiedziała? – zapytałem.

– Wszystko powiedziała, jak wyglądają kosmici, jak było w środku talerza i co jej tam robili.

– No i jak wyglądają?

– Są mali, podobni do ludzi, tylko całkiem goli. Mają wielkie głowy i wielkie oczy na połowę tych głów. – Dmitrij przerwał na chwilę, pozwalając słuchaczom wyobrazić sobie te wielkie oczy i głowy. Coś zaszeleściło za moimi plecami, odwróciłem się gwałtownie, by dostrzec połowę kudłatego łba Sułtana wciśniętą między podłoże a krawędź brezentu. Sztywny materiał uniósł mu nieco wargę, obnażając jej różowe wnętrze i jeden długi kieł. Pies, uświadomiwszy sobie, że uwaga wszystkich skierowała się teraz na niego i jego potajemną próbę wślizgnięcia się do czumu, zamarł w bezruchu. Jedyne oko, które było widać, błyszczało czernią, zdradzając istnienie życia w tej dziwnej kanciastej formie.

– Sułtan! – huknął Dmitrij i pysk zniknął, zza brezentu dało się słyszeć tylko chrapliwe warczenie, które przeszło w gulgotanie, skowyt i ucichło.

– U nas też się tak o nich mówi – powróciłem do tematu.

– A widzisz… – Kiwnął głową. – To nie wszystko. Po trzech miesiącach okazało się, że kobieta jest w ciąży.

– Z kosmitami? – zatrwożyła się Tatiana.

– Nie wiadomo z kim, ale jak tylko się zorientowali, to zabrali ją gdzieś i tam trzymali. Potem podobno urodziła dziecko.

– I gdzie jest teraz?

– Niewiadomo.

W mroku pogubiły się już dawno wszystkie drobne rzeczy, odnajdą się rano. Czum scalał się w jeden bezpieczny zielony kokon.

– Ludzie giną czasem w tajdze bez wieści – powiedziała cicho Tatiana. – Tak jak twoja siostra Dima – dodała, spoglądając na męża.

W wejściu pojawił się mokry Maksim. Kicając, zzuł najpierw jednego gumiaka, potem już łatwiej drugiego. Ściągnął przez głowę brezentowy anorak i klapnął z całej siły na ściółkę, wzdychając głośno. Rozejrzał się po naszych twarzach.

– Skąd masz? – zapytał matkę, spoglądając na całkiem już zatopioną w kałuży parafiny świeczkę.

– Andrze dał.

* * *

Kiedy Nikita wrzucił ostatnią szyszkę do wora, rozpadało się na nowo. Wyciągnąłem długi kawał gumowego sznura do wieszania bielizny. Alek pociął go na kawałki i pomagając sobie nawzajem, ostatecznie zasznurowali worki. Szare i pękate, leżały pod drzewem, przewiązane

czerwonym sznurkiem jak prezenty od świętego Mikołaja. Alek złapał za jedną z maczug i zakręciwszy dookoła, cisnął między drzewa. Za nią poszybowały pozostałe i uderzyły miękko o ziemię, tonąc w niej bezgłośnie. Nie było żadnego gdakania, trzepotu skrzydeł, płoszenia jakiegoś zwierzęcia.

– Paszoł won z tym – zaśmiał się Sława. – Wyglądaliśmy jak jaskiniowcy.

Reszta zarechotała wesoło. W końcu dali z tym spokój, Alek schylił się w szerokim rozkroku i stękając głośno, dźwignął największy z worków. Jego prążkowane garniturowe spodnie naciągnęły się niebezpiecznie, ale wytrzymały. Po chwili szedł już pod górkę, miażdżąc po drodze mech i trawę. Nie poznawałem niczego podczas drogi powrotnej, żadnego miejsca, o którym mógłbym powiedzieć, że je pamiętam. Równie dobrze mogliśmy brnąć w głąb tego lasu i miesiąc, wciąż nie dotykając dna. Nikita zadbał o to, by nikt nie szedł z pustymi rękami. Na postoju odszukał dwie grube, spróchniałe brzozy. Z niemałym trudem wywrócił je na ziemię, przy czym wierzchołek pierwszej omal nie wylądował mu na głowie, a drugiej na głowie Alka. Kiedy upadły, nożem odciął oba końce każdego zmurszałego pnia, zostawiając tylko metrowej długości kominy. Przy pomocy nas wszystkich, obstukując, wydłubując i przepychając wyschnięte na wiór wnętrze, uzyskał w końcu dwie długie, puste w środku tuby. U podstawy każdej wyżłobił otworki, przepchnął przez nie patyczki, tak że stanowiły coś na kształt dna, po czym rusztowanie to uszczelnił garściami mchu. Na koniec

napchaliśmy do nich szyszek i teraz dwóch z nas zamiast worków taszczyło wielkie białe pnie, wypchane po brzegi. Szliśmy przez ten cherlawy las niczym kawalkada termitów niosąca za sobą kawałki liści, gałązek i traw. Deszcz skutecznie odcinał nas od siebie, czasem tylko dochodziło sapanie i przyspieszony oddech kogoś innego. Mozolnie wspinaliśmy się na kolejne wzniesienie, z ulgą schodziliśmy w dół, gdzie zwykle trzeba było jeszcze przeskakiwać przez spienioną strugę wody. W pewnym momencie usłyszałem szczekanie, zatrzymaliśmy się. Obok stał czum Muktów, niżej dostrzec można było zielony żagiel Hukaczarów. Psy biegały pośród nas, zwłaszcza jeden lizał zapalczywie po rękach, próbując się przypodobać skonanym ludziom.

* * *

– Alkoholicy! – wyrzekał pod nosem Dmitrij Nikołajewicz. Był chłodny poranek i choć słońce dawało trochę ciepła, to między drzewami nad mchem unosiła się biała mgła. Od strony namiotu Muktów dochodziło chrapliwe ujadanie psa, któremu wtórował słabo następny. Dmitrij kręcił tylko głową i z precyzją chirurga dzielił grube klocki drewna na maleńkie szczapy. Podszedłem do drzewa, pod którym leżał przywiązany na noc Sułtan. Teraz przypominał wełniany koc niezdjęty przed deszczem z balkonu, wilgotny, z mnóstwem miniaturowych kropel na sfilcowanym włosiu. Widząc, jak sięgam do węzła, najpierw wyszczerzył kły, aż się zawahałem, po chwili jednak stulił swoje jedno i pół ucha. Pochylił głowę potulnie, a ja nie bez trudu rozsupłałem namokniętą pętlę. Czuło się w kościach nocny

chłód, który spowalniał ruchy. Para buchała z ust. Uchyliłem brezent i zabrałem metalowy kanister. W środku namiotu, pogrążony w ciepłym mroku, spokojnie spał Maksim.

– Mula chynem! – zawołałem do Dmitrija.

– Idź, idź – skomentował. – Może niedługo pogadamy po naszemu – dodał nieco ciszej.

Od namiotu prowadziła dyskretna ścieżka w dół, kończąca się jakieś sto metrów dalej, przy strumieniu. Tam znajdował się wodopój, był też sprzęt do nalewania wody, lejek z szyjki obciętej butelki i metalowy rondelek. Przelewając wodę do kanistra, słyszałem odległe echa rozmowy Dmitrija z Tatianą. Od strony drugiego czumu cisza.

Wczoraj wieczorem padał rzęsisty deszcz, ściemniało się już, kiedy psy zaczęły ujadać. Okazało się, że przypłynęli jacyś ludzie z wioski, krewny Nikity i brodaty Rosjanin. Stałem wtedy obok namiotu, więc mężczyźni się przywitali. Byli przemoczeni do suchej nitki, ubranie wisiało na nich jak łachmany, a włosy oblepiały zmęczone twarze. Pijany krewny, pełny nonszalancji i luzu, podał mi rękę z kpiącym uśmieszkiem. Rosjanin, raczej rozeźlony, rozglądał się nerwowo.

– Dawajcie, na chuj, pastuchy, suchych ubrań, bo leje pierdolony jak nie wiem gdzie – huknął. – Paszoł! – wrzasnął na obszczekującego go psa, spróbował do tego dodać kopniaka, ale nie wyszło. Stanąwszy ponownie na dwóch nogach, wyciągnął zza pazuchy półtoralitrową butelkę po

piwie i pociągnął zdrowy łyk spirytusu. Niepewnie odstawił ją na ziemię, wyprostował się gwałtownie i pogmerał w kieszeni. Po chwili wszyscy palili w ciszy, nie zważając na lejący tęgo deszcz.

– Mamy dla was dużo dobrego – zaśmiał się krewny. – Pewnie, jebani, wyschliście już tutaj na wiór.

W czumie goście szybko wyskoczyli z mokrych ciuchów i zaczęli nakładać suszące się na drążku rzeczy gospodarzy.

– Pojecie? – zapytał Nikita.

– Dawaj, na chuj.

Strumień był wąski, momentami jednak zdarzały się głębiny, gdzie można było wpaść i po pas. Płynął, z trudem torując sobie drogę między mchem i gałęziami. Zakręciłem metalową zakrętkę i ruszyłem z powrotem. Po nocnym deszczu niebo jaśniało błękitem, mokre liście wisiały na karłowatych jesiennych drzewkach jak egzotyczne pranie. Zatrzymałem się po drodze jeszcze tylko przy borówkach, zjadłem dwie garści, po czym stanąłem przed namiotem. W odsłoniętym wnętrzu widziałem Tatianę pochyloną nad płomieniem, jej mąż kończył rąbanie drewna. Maksim mył się obok w zlewie zrobionym z plastikowej butelki.

– Andrze, chodź, muszę zabrać swoje rzeczy od Nikity – powiedział, ujrzawszy, jak nadchodzę, taszcząc wodę. Poszliśmy. Palenisko było wygaszone, choć powinni byli pilnować ognia. W czumie ziało pustką.

– Daj fajkę.

W ciemnym wnętrzu zajarzyły się dwa ogniki, rzeczy leżały porozrzucane w nieładzie, jakby dopiero co wyszli.

– Gdzie oni poszli?

– Pojechali – odparł Maksim, po czym wyrzucił niedopałek przez uchylone wyjście.

– Pojechali?

– No… – przytaknął i zaczął się rozglądać po podłodze. – Gdzieś mi tu pionek zginął.

– Znajdzie się.

– Czarne zawsze się gubią – mruknął, przeczesując wyściółkę.

– Lepiej powiedz, kiedy wrócą.

– Nie wiem. – Maksim nie przerywał poszukiwań. – Za parę dni – dodał, podnosząc zgubę do oczu.

Przez dymnik wpadała do środka biała smuga światła, niczym płatki śniegu wirowały w niej drobinki kurzu, popiołu i sierści. Ściany usiane były jasnymi punktami niezliczonych dziur, tworzących nad naszymi głowami gęste konstelacje. Na drążku nadal wisiały mokre ubrania dwóch wczorajszych gości, potrącane teraz przez kręcącego się w poszukiwaniu swoich rzeczy Maksima. Wybrał kilka kaset i ostrożnie podniósł mały chiński magnetofon. Zabrał też resztę konserw walających się między dziurawym brezentem a podłożem.

– Chodźmy, rodzice będą się martwić – powiedział i obładowany tym wszystkim wyszedł.

Na zewnątrz potknąłem się o rzuconą siekierę.

– Czekaj! – zawołałem do oddalającego się chłopca. – A z psami co? Odwiązać je?

– Nie.

Nieopodal na krótkim postronku rzucał się większy z tych dwóch, które mieli. Szczekał, wyginając całe ciało. Trochę dalej przywiązany był drugi, jeszcze szczeniak, ten kulił się i skomlał przymilnie.

– Nie zdechną tu? – spytałem, gdy dogoniłem Maksima.

– Nikita wróci, to je nakarmi.

Powiał wiatr, wygiął korony brzóz i świerków, ruszyły chmury, których cienie zaczęły wędrówkę po lesie, zrobiło się ciemnawo. Kiedy dochodziliśmy do Dmitrija pochylonego nad jukami, poczułem na twarzy pierwsze krople deszczu.

– I co? Niczego nie oporządzili? – zapytał, podnosząc głowę znad roboty.

– Wszystko rzucone – powiedziałem.

– Alkoholicy! Nie renifery im paść… – sarknął. – Wszyscy od nich tacy, tylko wódkę poczują.

– Ej! Co tak stoicie na deszczu?! – zawołała ze środka Tatiana. – Herbatę będziemy pili!

– Szkoda, że nic do herbaty – rzucił kwaśno Dmitrij. Tymczasem Maksim już się rozsiadł w środku ze swoim sprzętem grającym.

* * *

Od strony rzeki dał się słyszeć odległy basowy zew. Na początku słaby, zbliżał się w naszym kierunku i potężniał. Był groźny i niepokojący, jakby ktoś dął w róg i przez las zakosami zbliżał się do obozu. Nadstawiłem uszu, z czumu wyszedł też zaintrygowany wyraźnie Dmitrij Nikołajewicz, za nim Tatiana. Przeciągłe stęknięcie rozchodziło się tępo

i z trudem pomiędzy drzewami. Teraz i psy zaczęły przystawać, nasłuchiwać. Spoglądały na nas, spodziewając się po twarzach ludzi rozpoznać naturę tego zjawiska. Po chwili dźwięk odezwał się już zupełnie blisko.

– Hej! – usłyszeliśmy wołanie. – Pastuchy, do chuja, gdzie wy jesteście?!

– Już myślałem, że jakiś wielki łoś tu do nas idzie – zaśmiał się Dmitrij. W tej samej chwili zza drzew ukazał się korowód prowadzony przez roześmianego Sławę. Trzymał w ręku wędkę niczym laskę kapelmistrza, za nim kroczył jakiś mężczyzna. Właśnie przyłożył sobie do ust długą plastikową trąbę stadionową i zadął przeciągle. Dalej szła tęga kobieta z dzieckiem na rękach, poprzedzająca wyrostka, który machał trzymanym magnetofonem, rozsiewając zgodnie z wahnięciami kakofonię rytmicznych dźwięków.

– Tu się schowali! – krzyknął mężczyzna. Przeszli trochę powyżej nas i skierowali się wprost do czumu Nikity. Dmitrij Nikołajewicz skinął im ręką z uśmiechem. Renifery, zaniepokojone zachowaniem najeżonych psów, zbiły się w ciasną gromadę pobrzękującą dzwonkami. Tatiana dała nura do środka, przez uchylone wejście widziałem, jak gorączkowo czesała włosy.

– Goście przyjechali – stwierdził Dmitrij.

Wkrótce od strony widocznego między drzewami czumu braci zaczęły nas dolatywać śmiech i gwar. Dmitrij oparł ręce na biodrach i ze spuszczoną głową obchodził wolno zimne palenisko. Zatrzymał się w końcu.

– Andrze, idź do nich, co tak sterczysz?

Wyciągnął z kieszeni prymkę i odpalił sobie, chowając zapałkę w dłoniach przed wiatrem.

Rzeczywiście, u Muktów musiało być wesoło, bo namiot aż huczał od podniesionych głosów. Przed wejściem stał chłopak od magnetofonu, pozując do zdjęcia. Był w białym golfie, czochrał palcami jeżyka i wydawał jakieś instrukcje Sławie, który cierpliwie celował do niego małym aparatem. W końcu poszło, ale zrobili jeszcze jedno zdjęcie – z nogą opartą na pniaku. W środku trudno było znaleźć wolne miejsce. Ciasny krąg ludzi otaczał szczelnie ognisko, na którym Nikita w pośpiechu piekł podpłomyki. Goście siedzieli rozparci na honorowym miejscu. Mężczyzna nobliwie dzierżył butelkę spirytusu, asystowała mu królowa matka, mierząca badawczo wszystkich zza grubych soczewek. Na kolanach trzymała rozebrane teraz do pasa, senne dziecko. Przed nimi leżały kawałki pokrojonej ryby na poplamionych krwią, dopiero co przywiezionych gazetach.

– Widzicie, na chuj! – perorował gość. – Żarcie trzeba wam do tajgi wozić. A zakłulibyście renifera i byłby spokój.

Nikita był tak zajęty chlebem, że zignorował sugestię. Alek przejął butelkę i polał każdemu. Wszyscy wiedzieli, że o tej porze roku w wiosce rzygają już konserwą i rybą, chcą mięsa.

Facet był szpakowaty, miał bladą twarz i lekko skośne oczy mieszańca.

– Boże mój! – zabrała głos jego kobieta. – Jak wy tu możecie mieszkać? Boże jedyny! Nikita! Ani sklepu nie

macie, niczego. – Kręciła głową i strzepywała popiół, który osiadł na jej granatowym polarze. Spojrzała na mnie. – No co im tu robić, powiedzcie sami. Długo tak wytrzymają?

Podpłomyk był już gotowy, Nikita zdjął go z osmalonej patelni i podarł na niewielkie kawałki, nad ogniem powiesił czajnik.

– Wracajcie, ludzie, do cywilizacji. W wiosce za rok będzie już telefon, ludzie są. Dymitrienko nowy sklep otworzył – kontynuowała podniesionym głosem.

Jej mąż, połknąwszy wielki kawałek ryby, odłożył nóż, po czym wziął do ręki jedną ze złożonych gazet i dźgnął nią Alka w ramię. Puszczał przy tym konspiracyjnie oko, zachęcająco unosił brwi i głowę. Na cienkim żółtym papierze brunetki i blondynki wypinały cyce i tyłki.

– Tylko starym nie pokazujcie – zarechotał. – Wiecie, to żółta gazeta.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– A w zimie, Boże jedyny, jak wy tu w zimie wytrzymujecie? – jęknęła okularnica.

– Ogień palimy – wyjaśnił Alek, uśmiechnięty głupkowato.

– Żeby chociaż jakieś miejsce w wiosce mieli – zwróciła się do mnie. – Jak bezdomni, adresu nie mają, zameldowania nie mają, to co mają? Długo tak można?

– A jak wam tutaj bez bab? – zapytał z błyskiem w oku mężczyzna. Żona pacnęła go z gniewem ręką w ramię, wydymając pulchne policzki.

– Starzy też długo nie dadzą rady – powiedziała. – Do domów trzeba iść, pastuchy, mieszkać jak ludzie w wiosce,

a nie jak sto lat temu. – Dziecko zaczęło marudzić. – Skąd mam ci tu wziąć cukierków, no skąd? – pytała matka, całując je w czoło. Na zewnątrz rozległo się żałosne stękanie plastikowej trąby. Chłopaki widać zrobiły zdjęcia i próbowały teraz, który ma więcej pary. Gość przypomniał sobie o magnetofonie, pochylił się nad nim i głośnym pstryknięciem uwolnił dyskotekowego dżina.

– Prąd jest w końcu – powiedział, gdy się wyprostował. – Telewizję można oglądać, Stiepanowicz kupił synowi komputer.

Nikita i Alek potakiwali z policzkami wypchanymi chlebem i rybą, które pochłaniali łapczywie.

– U nas tam teraz tak pięknie – rozmarzyła się kobieta. – No, powiedzcie sami – spojrzała znowu na mnie – nie piękna jest nasza wioska? Szeroka ulica, ludzie wreszcie inni. Tak to można sobie żyć na północy. – Jej oczy patrzyły teraz nieruchomo w ogień i aż zawilgotniały, nie wiadomo, czy od dymu, czy ze wzruszenia.

Alek polewał. Pokrywa wejściowa się rozchyliła i w jasnym świetle pojawili się Dmitrij i Tatiana. Krąg ścisnął się jeszcze bardziej, wydzielając im trochę miejsca. Błysnął flesz chińskiego aparatu, drugi, trzeci.

– Prawdziwe leśne ludzie przyszły – powiedział mężczyzna, nie odrywając aparatu od oka. – Zdjęcie się należy.

Dmitrij uśmiechał się przyjaźnie, podczas gdy jego żona wierciła się i rozglądała z niepewną miną.

– Młodzi to długo chcą tak kawalerskie odstawiać? – zapytała kobieta, potrząsając opadającymi jej na oczy włosami. – Nie wiecie?

– W końcu się pożenią – odpowiedziała Tatiana.

– A z kim tu się żenić? – Wydęła grube wargi. – Która do lasu przyjdzie mieszkać?

Słońce zaczynało prażyć, przez ścianki namiotu słychać było dzwonienie schodzącego się do obozu stada.

– Oj! Gorąco się robi – zauważył Nikita, wstając. – Trzeba by ogień reniferkom zapalić. – Chwiejnie przekroczył Dmitrija tarasującego mu drogę i zataczając się lekko, wyszedł na zewnątrz. Mokry brezent pachniał maglem, parował, wystawiony na promienie słońca, robiło się gorąco. Jak zwykle w taką pogodę na renifery rzuciło się całe mrowie różnorakich krwiopijców, a dym przynosił zwierzakom ulgę. Wkrótce do namiotu zaczęły napływać gryzące w oczy kłęby i trzask palonego igliwia. Tymczasem nadszedł czas na prasówkę, wszyscy w ciszy przeglądali przywiezione przez gości nieaktualne gazety. Szczególne zainteresowanie wzbudzał katalog biura podróży Siberian Travel, świecący śliskim papierem w półmroku. W namiocie unosiły się statycznie gęste piętra niebieskiego dymu, przeszywane gdzieniegdzie strugami białego światła. Dochodziły nas odgłosy zwierzęcego chrapania i ciężkich stąpań. Katalog miał niebieską okładkę, na której mieniło się Morze Śródziemne, lazur nieba i jeszcze na urwisku bielały jakieś antyczne ruiny. Wolno przewracaliśmy kolejne

strony, z których każda oferowała bogactwo egzotycznych zdjęć i cenników.

– Wreszcie cywilizacja dotarła i do nas, na Syberię – oznajmiła pyzata kobieta dumnie. – Zeszłego lata byłam na odpoczynku nad Bajkałem. Boże, jak tam pięknie! Jezioro! Przyroda! Mają tam takie turystyczne domki do wynajęcia, mówię wam, odpoczęłam za wszystkie czasy.

Dmitrij pokiwał głową, wpatrzony w panoramę greckiej plaży i wielkiego białego hotelu ze szmaragdowym basenem nieopodal.

– O tak… – westchnął. – Przydałoby się pojechać. Odpocząć sobie.

Tatiana oparła głowę o ramię męża i z zastygłym w ustach papierosem uważnie przyglądała się dziewczętom ze śmiechem rozchlapującym wodę na plaży w Chorwacji, to znowu pływającym hotelom, kołyszącym się u brzegów Sycylii. Kiedy Dmitrij doszedł do strony z małymi kamiennymi domkami skąpanymi w słońcu Bretanii, westchnęła.

– Jaki piękny mały domek. Jaaaki piękny.

* * *

Zza gęstwiny widać już było górę, całą w czerwieniach i żółciach. Idącemu w chłodnym cieniu wilgotnego lasu mogła się wydać fatamorganą.

– London, Pariż, na na nanaaa… Staryj bulwar i na dieriewjach pożaaar…! – Przede mną szedł Maksim i na całe gardło wyśpiewywał najnowszy szlagier. – Ty pomnisz, ty pomnisz… – zawodził, kończąc zwrotkę. To z kasety,

którą zostawili goście, same hity. Odkąd Alek odjechał, przeszły na nasze tymczasowe użytkowanie. Co chwilę zahaczałem wędką o gałęzie i zaplątywałem żyłkę. Chłopak za to niósł swoją nad podziw sprawnie, bez konieczności ciągłego jej odczepiania, zostawił mnie w tyle. Słyszałem z daleka, jak przestawił się na rap. – Eta kłubowa jest pora! – wrzeszczał zdyszany. – Zwoniu druz jam… zdoorowoo!!

Powoli, co chwilę przystając, przedzierałem się przez mech, borówki i spróchniałe konary, aż w końcu ziemia zaczęła się obniżać, a pomiędzy drzewami zamigotała stalowa tafla Dolnej Tunguzki. Góra płonęła jak latarnia po jej drugiej stronie. Ostatnie krzaki, splątane ciasno żylastymi kłączami, stawiały zaciekły opór. W końcu jednak i one się urwały, poczułem na twarzy lekki przeciąg, pod moimi stopami zachrzęściły kamienie. Przed oczami miałem rozległe zakole rzeki koloru rtęci, ku któremu zewsząd łagodnie spływały fale ciemnego lasu. Biło od niej chłodem. Oswobodzony z gęstwiny, z przyjemnością patrzyłem na postrzępione wierzchołki drzew, porozrzucane maleńkie głazy w oddali, w rzeczywistości bardzo duże, na tę górę. Stała samotna pośród leśnego trawnika, rozległa i dostojna.

– Piękna, co? – zwrócił się do mnie tydzień wcześniej Kola, przekrzykując ryk motorówki, kiedy tylko ukazała się naszym oczom.

– Andrze, co ty tu fotki robisz starym czumom, zróbże parę zdjęć górze, taka piękna – powiedziała kiedyś Tatiana.

– Już zrobiłem.

– To zrób jeszcze trochę, dobrych zdjęć nigdy dość.

Z trudem wypatrzyłem maleńką postać Maksima. Posuwał się wzdłuż brzegu, co jakiś czas rzucając w wodę żyłkę z haczykiem na końcu, następnie zwijał ją i przenosił się kilka metrów dalej. Stapiał się z otoczeniem i trudno było z całą pewnością stwierdzić, czy to on, czy coś zupełnie innego. Z tej odległości przypominał kamień, pień lub Bóg wie co, plamę czasem się poruszającą, czasem nie. W tle góra przeglądała się w rzece.

– Opowiadali mi w Turze – powiedział raz Kola – że w bajkitskim rejonie był kiedyś jeden Czech. Uparł się, żeby zobaczyć jedno święte miejsce. Któryś z dziadków mu powiedział, że jak się nie boi, że mu się coś stanie, to mu może pokazać. Czech powiedział, że się nie boi, i pokazał mu stary to, co chciał. Trzy dni później płynęli po rzece i Czech wpadł do wody, i się utopił.

– Naprawdę?

– A co myślałeś?

Idąc kamienistym brzegiem jak po kocich łbach, dogoniłem Maksima, który właśnie naciągnął wodery i właził po uda w wodę. W jednej ręce trzymał puszkę po nesce owiniętą ciasno grubą żyłką, a w drugiej bujał ciężką kotwicę. Raz za razem wyrzucał ją metodycznie najdalej, jak mógł, następnie wolno nawijał na puszkę służącą za kołowrotek. Nie był zbyt rozmowny, patrzył w skupieniu w wodę. Rozplatałem swoją leszczynową wędkę i zacząłem machać nią jak siatką na motyle. Chodziło o możliwie najdalsze wyrzucenie zakończonej kilkoma haczykami żyłki i utrzymanie jej przez jakiś czas pod prąd. Potem znowu się

rzucało, aż powietrze gwizdało, cięte giętkim kijkiem. Idąc w ślady chłopaka, też wszedłem w wodę, jej nurt silnie naparł na moje nogi. Rzeka chlupotała i szemrała, co jakiś czas o jej powierzchnię uderzał rybi ogon z głuchym klapnięciem.

– Loondon, Pariż… – zanucił pod nosem Maksim.

Często zmienialiśmy miejsce. Czasem wychodząc na brzeg, czasem brodząc w wodzie, posuwaliśmy się w dół jej biegu. Zapał szybko nam minął, ryba była, ale nie brała, a jak nie brała, to nic jej nie mogło zmusić, żeby zaczęła.

– Daj se spokój – usłyszałem w pewnym momencie zza pleców. – Nie biorą, pławią się. – Maksim siedział już na kamieniu z dłońmi na kolanach. Usiadłem obok, wyciągnąłem po papierosie i zakurzyliśmy. – I tak – stwierdził po dłuższym milczeniu. – Koniec wakacji w tajdze, trzeba wracać do szkoły.

– Ostatnia klasa?

– No. Siódma.

– No i co potem chcesz robić?

– Pasterzem zostanę, z rodzicami będę w lesie mieszkał.

– Dobrze, że Kola jest w wiosce, to nie musisz się męczyć w internacie.

– Jedna chujnia.

Słońce opadało coraz niżej i niżej, aż w końcu zniknęło zupełnie. Lśniące kobaltowe niebo zdawało się wysysać z ziemi każdy promień światła, jej barwy ściemniały, a las zaszedł czernią. Wielka spokojna rzeka przelewała się obok ciężarem tych wszystkich milionów ton wody przyciąganych

przez Jenisej, którego gigantyczny walec toczył ją dalej aż do Oceanu Lodowatego. Byliśmy tu zupełnie sami. Nieopodal, nieco powyżej nas, dostrzegłem kilka kaczek.

– Cicho – syknął Maksim. – Przepłyną obok nas.

Zamarłem. Ptaki płynęły dziarsko wzdłuż brzegu i szybko się okazało, że to matka przewodząca sznureczkowi młodych. Siedzieliśmy o parę kroków od nich. Widać było, jak ciężko pracują, płynąc pod prąd. Ostatnie pisklę było trochę mniejsze i co jakiś czas musiało nadganiać resztę, wyciągając cherlawą szyjkę z wysiłkiem. Prawie słyszałem ich oddechy. Maksim złapał garść kamieni, zerwał się z miejsca i rzucił nimi z całej siły w wodę.

– Ha! – krzyknął.

Reakcja była natychmiastowa, w rodzaju tych z kreskówek, gdzie bohater biega wystraszony, a na koniec nie trafia do drzwi i rozpłaszcza się o ścianę. Z głośnym pluskiem rzuciły się wszystkie do ucieczki, a to mizerne dało nura. Matka wypruła w stronę środka rzeki, zostawiając ślad niczym motorówka. Stamtąd głośno nawoływała resztę, która po otrząśnięciu się z pierwszego zaskoczenia, panicznego kręcenia się, próby przetrwania pod wodą, pognała szaleńczo w jej kierunku. Najmniejsze uciekało ostatnie, grzmocąc koślawymi kikutami w wodę.

Maksim wyszczerzył zęby i poklepał się po udach. Podbiegł do brzegu i z całej siły posłał w ich kierunku kolejną serię, jednak nie dorzucił nawet połowy dzielącego nas dystansu. Wybuchnął śmiechem, widząc, jakie poruszenie wywołało to wśród kaczek, pędzących jeszcze

dalej w stronę majaczącego w oddali drugiego brzegu. Wkrótce widać było już tylko maleńkie punkciki znoszone przez prąd w dół rzeki.

Kiedy przyszła pora odjazdu, goście pozbierali sprawnie wszystkie swoje rzeczy. Przed namiotem zrobiłem im jeszcze pamiątkowe zdjęcie z reniferami, które tam się akurat stłoczyły. Razem ze Sławą postanowiliśmy ich odprowadzić i bez dalszych ceregieli ruszyliśmy ścieżką w stronę rzeki. Szliśmy gęsiego, mężczyzna dmuchał co jakiś czas w swoją trąbę. Echo niosło się między otulonymi już wieczorną mgłą drzewami. Zadowolony, dowodził cały czas jakichś tam swoich racji. W miejscach podmokłych, tam gdzie strumienie przecinały naszą drogę, Sława, zataczając się i stękając, dźwigał na plecach nastolatka, by uniknąć zamoczenia jego adidasów. Wysoki chudzielec wyglądał jak mrówka taszcząca mrówkojada, bo chłopaczysko było odpasione. Na brzegu czekała łódź. Zanim do niej wszyscy powsiadali i na pióropuszu wody odpłynęli, gość wsunął mi do ręki pełną do połowy paczkę papierosów.

– Masz kurzenia, na chuj.

We dwóch, w ciszy, wróciliśmy do obozu przez gasnący w mroku las.

* * *

Jakiś ruch w oddali przykuł mój wzrok. Maksim podszedł do mnie rozbawiony.

– Co, zbieramy się? – zapytał.

Spojrzałem jeszcze raz w tamtą stronę. To Dmitrij Nikołajewicz. Szedł bardzo powoli, zatrzymując się to tu, to tam. Czasami wchodził na któryś z głazów i wtedy jak sam Bonaparte z założonymi z tyłu rękami obserwował wyniośle okolicę. Szedł ostrożnie, lekko pochylony do przodu, z bolącym krzyżem, odrobinę utykając. Pozbieraliśmy wędki i wyszliśmy mu naprzeciw. Był człowiekiem niskiego wzrostu, ciemną twarz okalał trzydniowy zarost. Oczy patrzyły w naszym kierunku kpiąco, jak zwykle schowane za przymkniętymi powiekami. Na ramionach miał zarzuconą szarą ku fajkę niczym generalski płaszcz, niebieskie drelichy luźno spływały do wysokich gumiaków.

– No i jak, rybacy? – zagadnął, gdy się zeszliśmy.

– Nic.

– Dziwne.

Usiedliśmy w milczeniu na kamieniach. Dmitrij Nikołajewicz wyciągnął dwie prymki i zapaliliśmy. Smakowały ziemią i słomą.

– A pamiętasz Maksim, jakiegoś tajmienia złowił w lipcu?

– No – burknął chłopak.

– Bardziej ty się go wystraszyłeś niż on ciebie – roześmiał się ojciec. Maksim cały poczerwieniał. – Oj, miał on z półtora metra.

Zmierzchało. Woda niestrudzenie płynęła, z głuchym łoskotem przetaczając kamienie, drzewa, chmury.

– Cicho! – szepnął Dmitrij. – Kaczki.

Wstrzymaliśmy oddech. W górę rzeki, wzdłuż porośniętego gdzieniegdzie kępami trawy brzegu, wspinała

się ptasia rodzina. Przed chwilą zniesiona przez prąd, ponownie mozolnie pokonywała siłę pchającą ją nieustępliwie w przeciwnym kierunku. Co parę metrów brzeg tworzyły małe zatoczki, zagłębienia, maleńkie rewiry wtulone w kamienie, gdzie nurt wody słabł. Tam ptaki zatrzymywały się na odpoczynek, małe kręciły się, matka szczypała to to, to tamto. Chwila postoju i płynęły dalej. Kształty niknęły w oczach.

– Coś tam jeden jakiś słaby – szepnął mi do ucha Dmitrij. Były już na wyciągnięcie ręki, zupełnie pogrążone w swoich zajęciach, zupełnie nieświadome naszej obecności. Zamierający dzień skrzył się na rzece jak rybia łuska. Na wschodzie niebo przykrył ciemny tuman, którego macki rozchodziły się już po widnokręgu. Front bladego światła na zachodnim niebie ustępował miejsca nocnej mgle. Kiedy minęło nas ostatnie, to najsłabsze, Maksim sięgnął po kamień.

– Zostaw! – syknął ojciec. – Niech sobie płyną.

Patrzył w skupieniu na ptaki, ich bezgłośne zamieszanie. Wstał, kiedy zniknęły w pulsującym kolażu pogłębiających się ciemności.

– Idziemy? – zapytał Maksim.

Tuż przed zagłębieniem się w las spojrzałem za siebie. Dmitrij został trochę w tyle i teraz widziałem, jak wspinał się za mną na skarpę. Maksim już pewnie w domu, tak wystrzelił. Poczekałem i wkrótce byliśmy już na górze razem. Stąd rozpościerał się widok na całe obumarłe teraz koryto rzeki.

– Wiesz co? To dziwne – powiedział, wskazując głową najciemniejszą stronę wschodniego nieba. – Zawsze stamtąd przychodzi noc.

* * *

– Na sto procent są teraz w argiszu – oznajmił Kola w jeden z tych wieczorów, kiedy niebo przeciera się wreszcie po wielu dniach deszczu. Siedzieliśmy za krzywym kuchennym stołem, przy zarośniętym trawą i chwastami oknie. Spomiędzy gąszczu łodyg, liści i dzikich kwiatów zagłuszających widok wyzierało niebo. Podłoga w kuchni była krzywa. Cały dom był taki. Jak po pochyłej platformie, można było tylko się z niej zsuwać, tak jak się to stało udziałem dachu i jednej ściany. Biały stół chwiał się cały we wszystkie strony i donośnie skrzypiał. Niekiedy kładłem na blat długopis i obserwowałem, jak się toczy i spada na podłogę, czasami łapałem go wcześniej.

– Czyli co robią?

– Jadą do nas – wyjaśnił.

– Skąd wiesz?

Kola spojrzał na mnie spod oka.

– Jakbyś był Ewenkiem, to też byś wiedział.

Pominąłem tę uwagę milczeniem.

– Czyli jeśli wyruszą dzisiaj, to za jakiś tydzień będą nad brzegiem, tak?

– Będą, kiedy będą – mruknął Kola, sięgając po ciastko i maczając je w herbacie. Ruchem głowy wskazał gąszcz chwastów za oknem. – Widzisz niebo? – zagadnął po pierwszym kęsie.

– Widzę.

Było czyste i jasne, tylko tuż nad lasem płonęły chmury.

– I co widzisz? – zapytał znowu, obsypując stół okruszkami, które leciały mu z warg.

– Urodę.

– Ale ja się pytam, co widzisz. – Zniecierpliwiony wywrócił oczami. – Co myślisz, jak patrzysz?

– A co mam myśleć?

– Bo nie jesteś Ewenkiem. – Uśmiech triumfu zagościł mu na twarzy. – Jakbyś był, tobyś wiedział.

– Ale co bym wiedział?

– Na przykład to, że koniec z deszczem. Od teraz będzie już ładna pogoda – wyjaśnił Kola i sięgnął po kolejne ciastko. – Prawdziwy Ewenk czyta z nieba jak z książki.

* * *

Obudziła mnie cicha krzątanina, cały ten rumor dopiero co wschodzącego dnia. Tatiana przycupnęła w swoim kącie, nuciła jakąś melodię. Ze swojego legowiska widziałem jej pochylone plecy i czarną czapkę, którą nasunęła głęboko na czoło.

– Ooo… wyspałeś się? – Odwróciła do mnie rumianą jeszcze od rozespania twarz.

– A dziękuję. Nie pada?

– Nieee… Dobra pogoda dziś będzie, ciepły dzień, niebo czyściuteńkie. Nie zmarzłeś w nocy?

– Skąd.

Powyżej poruszyła się wielka kolorowa góra koców i poszewek. Dało się słyszeć chrząknięcie, po chwili ciche

westchnienie.

– Stary jeszcze śpi – rzuciła Tatiana. – A niech śpi, niech się wyśpi.

Maksim też jeszcze spał zawinięty w mój niebieski śpiwór.

W przeciwieństwie do ojca, któremu spod kołdry wystawały nos i siwa czupryna, był w całości ukryty w szeleszczącym kokonie. Odgradzał mnie od ogniska i wejścia. Odwrócony na plecy, rozkoszowałem się tym ukryciem w kącie, pomiędzy śpiącym chłopakiem a wilgotną ścianą. Im silniejsze było uczucie chłodu na twarzy, tym chętniej reszta ciała rozpływała się w cudownym cieple grubej kołdry.

– Mówiłam ci, żebyś się nie kładł tak daleko, całe nogi ci zamokły.

– Nic takiego.

– Nic takiego, nic takiego. Mówię ci, najważniejsze są nogi! We śnie to ci nawet mogą odmarznąć i nie poczujesz. – Pogroziła mi palcem.

Gdzieś z lasu dobiegł dźwięk dzwonka.

– Zresztą – zaczęła znowu Tatiana – ten brezent jest po prostu nic niewart, przecieka. – Wskazała na jasne, podświetlone przez słońce włókna. – Jak sito. Nie to co dawniej. – Usiadła w kucki i dołożyła do ognia. – Dobrze, że choć taki jest. Kola w Turze im ostatnią belę wydarł. Tak toby i tego nie było, i jak bez brezentu byśmy czum rozbijali, gdzie żyli? – zasępiła się. – Mówię ci, czasem jest tak ciężko, nie wiem, co z nami będzie. – Opuściła głowę. Sięgnęła po papierosa i odpaliła. Senność odeszła, chciało

się sikać. Usiadłem i natychmiast zacząłem się trząść. Sięgnąłem ręką przez śpiącego Maksima, chcąc przejść, ale palce napotkały ciepłe futro. Wystraszony Sułtan poderwał głowę, łypnął na mnie i z powrotem ułożył się na gałązkach. Leżał na boku z otwartą paszczą i wywalonym różowym językiem, przytulony do chłopaka, dyszał ciężko. – Pozwoliłam mu – usprawiedliwiła się Tatiana. – A niech sobie staruch użyje i pośpi w cieple.

Dreszcze nadal przebiegały mi po ciele, odpuściłem próbę wstania i siedząc w kucki, opatuliłem się szczelnie kołdrą. Podrapałem brodę i włosy. Okulary! Sięgnąwszy pod ściankę czumu, tuż obok żerdzi, wydobyłem je ze mchu, mokre i lodowate. Mimo że w środku było ciemnawo, to drgające na ścianach ogniki zdradzały, że las był już w dziennym ruchu, wypełniony ostrym powietrzem i blaskiem jak po wybuchu. Przez szpary, dziury i przetarcia to jasne światło znaczyło półmrok złotymi, mieniącymi się snopami, tworząc biżuterię przymierzaną przez pogrążone w cieniu przedmioty. Nie odkrywając się, sięgnąłem przez Maksima i Sułtana do jednej z rudych paczek kańskich prymek, opartych o krąg kamieni wokół ogniska. Wyłuskałem papierosa. Zakutany w ciepłe zwoje, zaciągałem się gorzkim suszem, wymiecionym chyba z najbardziej zapomnianego kąta kańskiej fabryki.

Patrzyłem na ubrania zwisające z żerdzi nad ogniskiem, wyszywane teraz złotymi nićmi jak sztandary.

– Dzisiaj przypływa Kola – stwierdziła Tatiana, wyrywając mnie z letargu. Czesała starannie długie czarne włosy.

Rzeczywiście. Wczoraj pół dnia budowaliśmy platformę między drzewami, zawieszoną kilka metrów nad ziemią. Tatiana pakowała wszystkie rzeczy do gęsto i pięknie wyszywanych juków stojących rzędem przed namiotem. Wieczorem złożyliśmy je na platformie. Jak Kola przyjedzie, wszystko będzie gotowe. Przeciwnie niż u Muktów. Nikt się tam u nich nie pokazał od czasu, jak odpłynęli za wódką. Przestaliśmy już tam chodzić, przywiązane do drzew psy wczoraj rano jeszcze szczekały.

– O ile przypłynie – ciągnęła Tatiana, kończąc czesanie.

– Na pewno.

– Skąd wiesz? A jak mu coś wypadło?

Wlała do czajnika wody z kanistra i obiema rękami zawiesiła go na żelaznym haku nad ogniskiem.

– Chciałabym już być w wiosce – westchnęła. – Pospacerować po ulicach, pełno ludzi dookoła, znajomych. Uuu… – Zajrzała do małego czajnika z rączką okręconą miedzianym drutem. – Esencja stara, trzeba wymienić. – Uchyliła płachtę wejściową, na chwilę wnętrze wypełniło się światłem, kiedy zasłona opadła, cienie pogłębiły się znowu. Zostałem na moment sam, jak podczas wachty na tratwie ratunkowej, wśród śpiących ludzi i psa. Słyszałem ich oddechy i szelest pościeli, kiedy się wiercili. Wróciła Tatiana i z brązowej walizeczki wyciągnęła paczkę z herbatą. – Nie będziemy sobie żałować. Tak nisko jeszcze nie upadliśmy – powiedziała i sypnęła pełną garść.

* * *

Rano wstałem wcześnie. Koli nie było, już gdzieś poszedł. Nastawiłem czajnik i nakroiłem chleba. Z kubkiem parującej herbaty wyszedłem na maleńki, koślawy ganek ze zbutwiałych desek. Niebo przykryte było ołowianymi chmurami płynącymi jak brudna woda po burzy. Mokre poletko kartofli falowało przede mną niespokojnie. Obok, tuż u krzywego płotu, rozgrywał się pijacki pojedynek zapaśniczy. Łapuszkin kontra któryś z Rosjan.

– Oj, blad'… oj, blad', jobanyj na chuj – stękali – jobanyj w rod, ja tjebja blad' ubju, suka.

Sapali i kiwali się, wymierzając sobie nawzajem ciosy. W końcu Łapuszkin uległ. Tamten przewrócił go na ziemię i kopał zawzięcie.

– Suka! Suka! Mazgaj jobanyj! Ubju blad' na chuj!

Liście ziemniaków zaczęły drżeć pod uderzeniami pierwszych kropel deszczu, zaraz po tym lunęło jak z cebra. Zwycięzca zmęczył się w końcu, cały mokry i zasapany odszedł chwiejnym krokiem w swoją stronę. Drzwiczki wychodka otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich Kola. Schował głowę w ramionach i uważając, żeby się nie poślizgnąć na drewnianej kładce, ruszył truchtem w moją stronę. Na ciemnym horyzoncie jedna biała fala deszczu następowała za drugą.

– Co? – zapytał, kiedy już cały mokry dopadł rachitycznego daszku. – W sierpniu zawsze tak jest, raz leje, raz nie.

– Widzisz te bańki na kałużach?

– Widzę.

– Babcia mi mówiła, że to wróży długi deszcz.

Wzruszył ramionami i otworzył zbite z kilku desek drzwi do przedsionka.

– Chodź, bo cię zleje – powiedział.

Weszliśmy do środka pachnącej drewnem i zastawionej różnymi gratami przybudówki. Deszcz walił w dach z eternitu. Przez wysoki próg dostaliśmy się do kuchni, gdzie Kola zasiadł na swoim taborecie.

* * *

Gorąca herbata wróciła mi przytomność. Nogi ścierpły i coraz bardziej chciało się sikać, co nie pozwalało dłużej odkładać założenia zimnych spodni. Na zewnątrz para buchała z ust, a las zastygł w bezruchu pod skorupą szronu i rosy. Słońce przedzierało się przez korony drzew, jednak nie było jeszcze zdolne do ogrzania czegokolwiek. Ściął mnie chłód, drżałem jak w febrze. Malczik, przywiązany postronkiem do pnia, podniósł się na mój widok. Wyciągnął się jak struna, wygiął w łuk i otrzepał energicznie. Obok wygaszonego paleniska leżały długie kłody, nacięte lekko przez Dmitrija w równych jak od linijki odstępach. Podniosłem siekierę opartą o jedną z nich. Wystarczyło kilkoma mocnymi uderzeniami odrąbać każdą taką cząstkę i już zwyczajnie przerąbać ją na pół, na ćwierć i jeszcze mniejsze. Stopniowo chłód odchodził, puls powracał do ściśniętych z zimna żył. Biłem mocno, aż wyszlifowany do granic trzonek poznaczył się krwią z bąbli i przetarć na rękach. Był zbyt wyrobiony, z jednej strony zamienił się w ostry grzebień kaleczący dłonie przy każdym uderzeniu.

Dmitrij mówił, że trzeba będzie zrobić nowy. Po powrocie. Odrętwiały świat dziwił się temu uporczywemu pukaniu z samego rana. Ze szczytu namiotu, skąd sterczał pęk żerdzi, płynął spokojnie strumień ciepłego dymu. Kiedy skończyłem, było mi już w sam raz gorąco, obok leżał stos cienkich szczapek. Tatiana wyszła i kręciła się po obejściu. Przyniosła wielki garnek, nasypała do niego mąki, po czym zalała wrzątkiem z czajnika. Mieszała energicznie grubym kijem, odwracając przy tym głowę od kłębów pary, które buchały z kotła.

– Starczy, starczy! – zawołała do mnie. – Będzie dość już tego drewna.

– Akurat tyle, żeby mnie rozgrzać.

– Aaa. – Pokiwała głową. – Dobrze, dobrze. Jak wrócimy, to sił nie będzie na rąbanie. Lepiej mieć pod ręką.

Sułtan przez cały ten czas deptał jej po nogach, nie odstępując na krok.

– Dobrze. No masz już – mruknęła, odrywając się od poobijanego garnka. Pies podskoczył i zachłannie zaczął chłeptać zawartość, chowając głowę do środka aż po końcówki spiczastych uszu. Przy każdym hauście poruszał się jego przyschnięty do kręgosłupa żołądek, co chwila podnosił głowę dla zaczerpnięcia powietrza, a wtedy biały kleik spływał wielkimi kroplami z pyska z powrotem do garnka. Drugi pies, widząc to, wiercił się na sznurku i skomlał. Rzuciłem siekierę i poszedłem między drzewa. Wracałem wolno, omijając co większe skupiska mokrych borówek. Patrzyłem na Tatianę. Przy szarym stożku

namiotu wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle. Jej długie włosy, spięte z tyłu, opadały po pas. Patrzyła nieruchomo gdzieś w górę, na niebo czy drzewa, otoczona dobytkiem, wianuszkiem przedmiotów rozwieszonych dookoła jak bombki na choince. Czerpakiem z brzozowej kory do zbierania jagód, dziesięcioma jukami w dwóch rzędach pokrytymi sierścią i niebiesko-czerwonymi wzorami, umywalką z połowy butelki zawieszonej do góry nogami, dwoma rzuconymi butelkami po wódce, uprzężą zwisającą z drzewa, garnkiem przewróconym na bok, trójnogiem nad czarnym paleniskiem, stertą świeżego drewna i wbitą w pniak niewielką siekierą.

– Ładny poranek.

– Ładny, ładny, taki jasny. – Uśmiechnęła się. – Żebyś ty wiedział, jak tu jest ciemno w zimie. Słońce nigdy nie wstaje.

– A zorze?

– A tak, są zorze – przyznała. – One szumią – dodała ściszonym głosem.

– Szumią?

– Zawsze, kiedy usłyszysz taki szum, możesz wyjrzeć i zobaczysz zorzę. A różne bywają, mówię ci, też takie w nieznanych kolorach, tańczą na niebie i szumią – mówiąc to, spojrzała jeszcze raz w górę, jakby spodziewając się zobaczyć którąś z nich, szybko jednak opuściła głowę i rozejrzała się po obozie. – Chodź – zaprosiła mnie ruchem ręki – popijemy herbaty i obudzimy tych dwóch leni.

– Najpierw prysznic.

– Nie zaszkodzi – zaśmiała się. – Mydło masz w umywalni.

Był to ostatni wynalazek Maksima, który parę dni temu powiesił obciętą połówkę plastikowej butelki na drzewie, szyjką w dół. Odkręcało się tylko lekko zakrętkę i woda ciekła jak z kranu. Mydło było przezroczystym białym listkiem. Ostrożnie, by go nie pokruszyć, umyłem twarz i ręce. W czumie zastałem obudzonego Dmitrija, w połowie przykrytego kołdrą, palącego papierosa. Wsparł głowę na jednej ręce niczym postać z greckich waz, a drugą machinalnie dostarczał peta do ust. Na mój widok skinął głową i zasalutował dymiącą prymką z niewyraźnym uśmieszkiem błądzącym po pomarszczonej twarzy. Maksim leżał zawinięty jak przedtem. Tatiana pokroiła chleb i ułożyła na stoliczku, obok ustawiła trzy kubki, do których kolejno dolewała esencji i wrzątku.

– Ostatni bochenek – poinformowała, kładąc to wszystko przed siedzącym już pośrodku mężem.

– Jutro skoczę do piekarni – powiedział Dmitrij, zanurzając kromkę w puszce z olejem.

– Po francuskie bułeczki – dodałem. Wybuchnęli śmiechem.

– Oj. Pobawimy się w wiosce – westchnęła podekscytowana gospodyni. – Tam wszystko jest.

– Co trzeba, to jest na pewno – dorzucił rozbawiony Dmitrij. Sięgnął po cukier i załadował cztery kopiaste łyżki do swojego kubka. Rozmieszał, siorbnął potężnie i odetchnął z zadowolenia, mrużąc oczy. – Jesteś już z nami jakiś czas, Andrze – zaczął w przerwie pomiędzy łykami –

ale dalej nie mogę zrozumieć, jak możesz pić herbatę bez cukru.

* * *

– Ja jebię – mruknął do siebie Alosza. – Tu wszyscy pijanieńcy.

Niedawno przyleciał z krasnojarskiej szkoły milicji na wakacje do rodziców. Skończył pierwszy rok, ale barczysty, z przystrzyżoną blond fryzurą, wyglądał na starszego. Staliśmy w zaciszu drewutni, wyglądając na główną drogę zza nieułożonych do końca półmetrowych bierwion. Wzdłuż płotu Koli dryfował po wzburzonym morzu traw Giena Łapuszkin. Wyminęli go jacyś trzej, zataczali się i trzymali pod ręce jak w nieznanej nikomu wersji kozaka. Gienadij nie zwrócił na nich żadnej uwagi, szurał tylko za dużymi i za ciężkimi teraz dla niego gumiakami. Głowa opadała mu na pierś, a ręce same wyciągały się przed siebie, jakimś cudem utrzymując resztę ciała w pionie. Co kilka kroków odzyskiwał wigor i z podniesioną głową człapał kolejnych parę metrów. Dla pewności jednak macał wówczas omszałe sztachety w płocie, obok którego szedł.

– Idzie tu – zauważyłem.

Łapuszkin ruchem ameby zbliżał się do zamkniętej furtki. Giął się niczym brzoza na wietrze, ale szedł.

– Chowamy się! – zakomenderował Kola.

Alosza ze śmiechem umknął z progu i stanął za ścianką z poukładanych już okrąglaków. Całe pomieszczenie było rodzajem wiaty przykrytej falistym eternitem, służącej do przechowywania drewna na zimę. Częściowo zapełniał je

wczoraj przywieziony nauczycielski deputat Koli, jednak na środku zostało jeszcze sporo miejsca usłanego korą i chwilowo zbędnymi drobiazgami. Aż pod sam strop pięły się metrówki, skrywając nas przed oczami ciekawskich. Za to my przez szpary i dziury mogliśmy obserwować wszystko, co się działo na podwórku. Giena przeżywał właśnie pierwsze zdziwienie towarzyszące próbie sforsowania płotu. On chciał do wewnątrz i z rozmachem, a tu furtka na zewnątrz i ani drgnie. Suka. W drewutni pachniało pokrzywami, których grube owłosione łodygi sterczały zewsząd pomiażdżone przez bierwiona. Słychać było nawet tu jakieś bełkotanie, dobywające się z ust Łapuszkina. W końcu poradził sobie, bramka klapnęła o płot i gumiaki zastukotały na drewnianej kładce. Żeby dostać się do domu, musiał przejść koło nas. Szedł powoli, przygarbiony, co parę kroków przystając dla złapania równowagi. Kawał wydartego z szarych spodni materiału zwisał w postrzępionym frędzlu, odsłaniając blade pośladki. Głowa tak jak przedtem kolebała się to w tę, to w tamtą. Przeklinał kogoś pod nosem i nawet do nas dochodził mlask śliny zalepiającej wydęte wargi, miotające te niemal bezgłośne obelgi, kiedy tak mijał nas ukrytych za sągami drewna. W naszej kryjówce zaległa cisza, gdzieś od strony lądowiska dobiegało rzężenie piły motorowej. Kola nie spuszczał z Łapuszkina wzroku, a Alosza, z rękami w kieszeniach i kpiącym uśmieszkiem, stał oparty o jeden ze słupów podtrzymujących dach. Nagle Gienadij Łapuszkin zatrzymał się. Po pijacku synkopując obrót, stanął

naprzeciwko nas. Zachwiał się lekko, ale ustał jak łyżwiarz po tulupie i mrużąc oczy, zaczął wpatrywać się w stertę drewna, za którą staliśmy. Był krępym człowiekiem, lat około trzydziestu. Czarne jak węgiel włosy okalały trójkątną, ciemną twarz, której wystające kości policzkowe i wściekle wykrzywione usta nadawały wygląd maski. Zmęczone oczy wpatrywały się w nas tępo, usiłując przeniknąć mgłę.

– Patrz, Locha – syknął Kola, odruchowo chowając głowę. – Myśliwy.

Już wydawało się, że zostaniemy odkryci, jednak po długim świdrowaniu wzrokiem drewutni Giena odwrócił się znowu i po chwili był już przy drzwiach. Oparł się ciężko i z całej siły walnął w nie pięścią.

– Odkrywaj! – ryknął. Cisza. Słychać było tylko jego mruczenia i przekleństwa. – Odkrywaj! – Po czym już ciszej. – Job twoju mat'.

Całą uwagę skupił na drzwiach, próbując za wszelką cenę zmusić je do ustąpienia masą swojego ciała i wulgarnymi zaklęciami. Słyszeliśmy każdy jego ruch. Gienadij z wściekłością kopnął w drzwi, które zatrzeszczały niebezpiecznie.

– Otkrywaj, jobanyj!

Alosza wyciągnął papierosa, odpalił, chowając na chwilę twarz w dłoniach jak bohater serialu kryminalnego.

– Kolka, do chuja! – Wściekły Łapuszkin cofnął się dwa kroki. Jak człowiek niepewny konsystencji podłoża, delikatnie zszedł z ganku i ruszył w stronę płotu. Wkrótce

zaczął się na niego gramolić w desperackiej próbie skrócenia sobie drogi.

– Giena! – zawołał Kola, wystawiając głowę zza osłony.

Łapuszkin zamarł wypięty na płocie, po czym powoli cofnął jedną nogę, potem drugą. Kiedy tylko stanął pewniej, odwrócił się w naszą stronę, lustrując otoczenie. O dziwo, wcale nie skierował się do nas. Obracał się w kółko i z wysiłkiem wyciągał szyję w różnych kierunkach, ni to węsząc, ni to wypatrując. Po ubitej drodze ktoś przejeżdżał motocyklem z przyczepką, jakieś puste blaszane bańki czy kanistry obijały się w niej, hałasując na każdej dziurze. W końcu Giena zatrzymał w miejscu tę swoją karuzelę i gwałtownie rzucił się w stronę okna, depcząc rosnące pod nim wysokie chwasty. Złapał się kurczowo niebieskiego parapetu i zaczął zaglądać do środka. Stukał w szybę i mamrotał coś niezrozumiale. Nie wytrzymał długo tak wygięty i osunął się na ziemię między zielska zwieńczone żółtymi kwiatuszkami.

– To co, Nikołaj Dmitrijewicz? – odezwał się wreszcie Alosza. – Płyniemy dzisiaj?

– Płyniemy – przytaknął Kola, nie patrząc na niego – tylko herbaty popijemy.

– Mi ojciec łódkę da, ale paliwa to nie mam.

– O paliwo się martwisz? – obruszył się Kola. – Paliwo będzie.

Gienadij zdołał wstać i kuśtykając, po raz kolejny ruszył w stronę płotu. Macał przy tym przed sobą rękami jak ślepy. Stękając, zaczął gramolić się na drugą stronę.

– Ej! Łapuszkin! – zawołał Kola, tym razem nie wychylając się nawet na zewnątrz.

Usiadłem na pniaku. Szeleściła trawa, kroki zastukały na kładce. Do drewutni wsunęła się suczka Koli Damka. Przyczłapała pod ścianę, gdzie ułożyła się z głębokim westchnieniem, łypiąc na nas brązowymi ślepiami. Kroki ucichły, słychać było, jak Giena pacnął na ziemię, podniósł się i ruszył dalej. W szczelinie między kłodami mignęła mi jego postać. Wyjrzałem. Brodził pośród trawy zarastającej drogę, kontynuując swój przerwany marsz w dół krzywego płotu.

– Ładnie, to spotykamy się na brzegu – rzucił Alosza.

– Spotykamy się.

– Eee! – krzyknął chłopak na całe gardło, widząc kumpla, który przechodził właśnie środkiem drogi. – A ty gdzie, jebany?!

Tamten zatrzymał się i wlepił w nas wzrok. Z rękami w kieszeniach czekał na Aloszę, który właśnie rzucił peta w wilgotną trawę i ruszył w jego kierunku. Razem zniknęli, prowadząc ożywioną dyskusję.

– Dobrze się uczył? – zagadnąłem.

– Może i dobrze – odpowiedział Kola – ale leniwy – dodał, po czym zaczął zbierać porozrzucane dookoła bierwiona i układać je na sągach.

* * *

– Mini gorbif Andrzej – powiedziałem.

– Tak, taaak… – Dmitrij kiwał głową. – Dobrze, dobrze.

– Mini dudonif Polsza.

– Dobrze, dobrze… – chwalił mnie dalej.

Tatiana dopiero co uprzątnęła stolik i wysypała okruszki na zewnątrz. Teraz zabrała się do cerowania spodni. Maksim w skandaliczny sposób pozostawał poza biegiem wydarzeń, wciąż zanurzony w niebieski śpiwór, głuchy na wszystko, co się działo wokoło niego. Odpoczywaliśmy po śniadaniu, starając się napełnić puste żołądki nasionami z szyszek. O ile ja nie zadawałem sobie zbyt wiele trudu i zjadałem je jak leci, to Dmitrij cierpliwie podgrzewał każdą szyszkę nad ogniskiem, twierdząc, że gorące są znacznie smaczniejsze.

– A ogień jak będzie? – zapytałem.

– Gululum – rzuciła Tatiana znad roboty.

– Gululum – zapisałem w notatniku. – A słońce?

– Dilasa – odpowiedział Dmitrij.

Siedziałem w kucki, pochylony nad białymi kartkami notatnika telefoniczno-adresowego, i notowałem słówka.

– Czyli powiedz, u ciebie w domu po rusku nie mówicie? – zapytał Dmitrij tym razem sam z siebie.

– Nie.

– To dobrze – stwierdził. – Każdy niech mówi po swojemu.

– Pewnie, każdy powinien po swojemu – przytaknąłem.

– Tylko ciekawe, jak byśmy się wtedy dogadali, gdybyśmy nie znali tego ruskiego – zastanowił się gospodarz.

– Najlepiej jest znać dużo języków – orzekła Tatiana, spoglądając znad okularów.

– Tak, tak – zgodził się jej mąż. – My to na przykład już z tymi z Tury się nie rozumiemy. My po innemu, oni po

innemu.

– Maksim pięknie mówi po waszemu – zauważyłem.

– Ja go nauczyłam – szepnęła Tatiana.

– A Kola? – zapytałem.

– On zapomniał – powiedziała i na powrót schowała się za masywnymi szkłami.

W wiosce widziałem rysunki *a la Wilk i Zając* w podręczniku do ewenkijskiego. Wydany w Leningradzie, zawierał kilkadziesiąt podstawowych słówek i zwrotów: chleb – kolaba, plus rysunek bochenka. Książka pachniała strychem jak te, za pomocą których chciano kiedyś nauczyć mnie rosyjskiego. Szare i pomazane przez znudzone dzieciaki, próbujące dociec ich sensu poprzez studiowanie obrazków, na których pionierom dosmarowano pepesze, granaty, papierosy, wielkie penisy i wąsy. Ta książka wyglądała podobnie. Na grubej tekturowej okładce nosiła ślady psich zębów. Na stronie tytułowej ktoś nagryzmolił niknącym tuszem: „Lena! Ojciec leży pijany, ja poszłam do Wieni, nie zamykaj drzwi, wrócę późno. Porąb drzewa i napal w piecu. Zjedz zupy! Mama”.

– A spotkałeś w wiosce Ninę? – zapytała Tatiana i ściągnęła okulary.

Przytaknąłem. Ninę najczęściej widywałem w towarzystwie Bosmana, kiedy błądzili razem po wiosce. Ostatni raz spotkałem ich w obejściu Łapuszkina. Była ubrana w długi do kostek szary płaszcz, który spływał ciężko na pocięte gumiaki, a na głowie zawiązała sobie kolorową chustkę. Znalazła się na tyle blisko mnie, że

poczułem mdlący smród przetrawionego technicznego spirytusu, dobywający się z jej zalepionych białą pianą, pokrzywionych ust. Miała zmęczoną twarz, spiętą w dodatku przechodzącym po przekątnej okropnym grymasem, niesymetrycznym i przerażającym. Nie przeszkadzało to jednak Wowie Łapuszkinowi, który porwał ją przede mną w czułe objęcia, wystawiając ułożone do całusa usta. Zatoczyli się, ale Ninie nie spodobały się te amory, bo z całej siły odepchnęła mężczyznę, który bezwładnie upadł na trawę, przeklinając okropnie. Kobieta zaskrzeczała wściekle i otwarła szeroko usta, z których znowu pociekły lepkie krople białej śliny. Też się zatoczyła, bełkocząc coś niezrozumiale, ale mimo to udało się jej w końcu dowlec na ganek i zniknąć za podziurawionymi drzwiami.

– Wiesz, dlaczego ona nie może mówić?

– A nie może?

– Nie. – Tatiana zajrzała mi przelotnie w oczy, wzięła głęboki oddech i poprawiła się na siedzeniu. – Kiedyś, nie tak dawno, gdzieś tak w latach sześćdziesiątych, przyjeżdżało do nas dużo ekspedycji.

– Jakich ekspedycji?

– Z Moskwy. Wszystko mierzyli, zbierali, długie miesiące w lesie siedzieli – wyjaśniła. – Pewnego razu taka ekspedycja poprosiła ojca Niny, żeby ich poprowadził przez las, został ich przewodnikiem. Zgodził się, dali mu urlop z brygady, zabrał rodzinę, wsiedli na renifery i pojechali.

– A wiadomo dokąd?

– Gdzieś nad Wiwi. – Machnęła ręką zniecierpliwiona, zastanowiła się. – To było na północ stąd. No i - ciągnęła – Nina pojechała z nimi. Tylu ruskich gierojów żadna by nie odpuściła. Był tam taki jeden, brodaty, wysoki, zdrowy chłop. No a Nina też była ładna, młodziutka, chłopaki się za nią uganiały. Minęło trochę czasu i któregoś dnia ekspedycja gdzieś w lesie spotkała idole.

– Idole?

– Ehhh… – westchnęła Tatiana i wbiła wzrok w kolano. – No wiesz. – Spojrzała na męża, szukając wsparcia, jednak Dmitrij milczał zapatrzony w ogień. – Szamani jeszcze jak byli… zostawiali w tajdze takie idole.

W muzeum okręgowym w Turze widziałem ich sporo. Mieściło się ono w obszernym baraku z brązowej dykty, z której pomarańczowa farba odeszła już jakiś czas temu, pozostawiając po sobie jaskrawe płaty i odpryski. Szło się do niego, przeskakując kakaowe błoto, a także martwego szczura, leżącego bezwładnie pośrodku prowadzących do drzwi drewnianych schodów. Wewnątrz zimno, aż para buchała z ust, specjalne kapcie i błyszczące linoleum. Przechodziłem przez salę geologiczną, potem zoologiczną, gdzie wypchane zwierzęta upozowano w naturalistyczne scenki rodzajowe. W końcu dotarłem do etnografii, zatłoczonej mnóstwem eksponatów: szkieletem szamana znalezionego przez geologów na drzewie, bronią i narzędziami, ubraniami. Był tam także oryginalny szamański namiot ze skóry, obstawiony smukłymi figurkami wystruganymi z jednego kawałka drzewa, bez rąk i nóg, ze

schematycznie wyciętymi głowami i ustami. Stały tam na środku linoleum cicho i potulnie, w milczącym tłumku, otoczone przez stado zbitych ze skrzyżowanych deszczułek magicznych ptaków.

– No wiem, to takie figurki.

– No, no – przytaknęła gospodyni z ulgą – figurki. Ruscy zaczęli je sobie pokazywać palcami, dziwić się. A Nina zsiadła na ziemię, podeszła do jednej i na nią napluła. Zaczęli się wszyscy śmiać, a najgłośniej się śmiała Nina. Chciała pokazać temu geologowi, jaka to ona jest nowoczesna. Pośmiali się wszyscy i pojechali dalej. Na drugi dzień rano, gdy jeszcze spali, młody geolog zakradł się do czumu Niny. Jak tylko wszedł do namiotu, rozległ się okropny krzyk. Cały obóz się zerwał, powybiegali, pytają jeden drugiego: Co się stało? Kto tak krzyczał? Zobaczyli tego chłopaka z twarzą szarą jak popiół. Włosy to mu dosłownie dęba stały ze strachu. Zapytali go, dlaczego krzyczał i co się stało. On ledwo mógł mówić, ale powiedział, że tam w czumie nie Nina leży, tylko jakaś paskudna starucha na jej miejscu. Koledzy go wyśmiali i jeden poszedł sprawdzić. Po chwili i tamten wyleciał cały przerażony. „Rzeczywiście – mówi – jakaś obrzydliwa, pomarszczona starucha zajęła miejsce dziewczyny”. Na to przyszła babka Niny, która tam z nimi była. Kazała im wszystkim być cicho. Sama poszła do czumu i odgadła od razu, co się stało. Zbudziła dziewczynę, owinęła w czerwoną chustkę i posadziła na renifera. Ludziom w obozie kazała czekać. Pojechały tylko we dwie

z powrotem w tamto miejsce. Po dwóch dniach wróciły. Babka była zmęczona jak po porodzie, a Nina znowu młoda. Tylko że od tego czasu nie umie mówić ani po ewenkijsku, ani po rusku. I jej renifer zdechł jeszcze w ten sam dzień. I urodę straciła – dodała po krótkiej pauzie Tatiana.

* * *

Południe ze swoim charakterem codziennej niedzieli rozsadzało wszystkie szczeliny i zakamarki pokrzywionej kuchni, unosząc ją dwa metry nad ziemią. Blask bił od bielonych ścian, tuszując ciemną siatkę pęknięć gęsto pokrywającą farbę.

– I co mu powiedziałeś? – Kola wstał energicznie z taboretu i podszedł do stoliczko-kredensu, na którym stała biała elektryczna kuchenka. Złapał za chochlę tkwiącą w wielkim garnku i kilkakrotnie zamieszał.

– Że jedziemy do lasu – odpowiedziałem ze swojego miejsca przy zarośniętym oknie. Kola spojrzał na mnie swoimi czarnymi oczami i uśmiechnął się szeroko.

– To się musiał Chiejkuri zdziwić – stwierdził. – Fiński lis – dodał po chwili.

Wiaczesław Sołowicz Chiejkuri piastował urząd miejscowego naczelnika wioski. Jak wieść niosła, był dzieckiem fińskich zesłańców powojennych. Miał około pięćdziesiątki na karku, sumiaste wąsy i zwalistą posturę. Budynek administracji, gdzie Chiejkuri sprawował swój urząd, był niewielkim dwuizbowym domkiem zaraz na skraju osady, tuż nad wysoką skarpą, poniżej której rozwijał

się atłasowy dywan Dolnej Tunguzki. Szeroka, porośnięta trawą ulica biegła przez środek wioski, by przed tym budynkiem, pierwszym i ostatnim zarazem, zakręcić zamaszyście niczym tor bobslejowy, wyjeżdżona przez gąsienice i koła. Obok zawsze stało zaparkowane terenowe suzuki, z którego chromowymi blachami doskonale się komponowały dwie olbrzymie anteny satelitarne, zapatrzone w pustkę nad tajgą po drugiej stronie rzeki. W budynku tym biło administracyjne serce wioski i tu po kilka godzin dziennie przesiadywał naczelnik w asyście specjalisty od elektroniki, chytrego siwego jegomościa.

– Myślisz, że ci da łódkę? Nie ma szans – zniechęcał mnie jeszcze przed wyjściem Kola.

Nie czekając, aż uda mu się ostatecznie odwieść mnie od zamiaru, wskoczyłem w trampki, kurtkę i z czapką w ręku wyszedłem witany przez ostre powietrze. Pogoda była nie najgorsza, taka w stylu na dwoje babka wróżyła. Akurat nad wioską pojawiły się błękitne dziury czystego nieba, włączając jak do prądu pożółkłą trawę, która jaśniała teraz złociście. Tylko że z drugiej strony nad lasem znowu czarno. I chuj, pomyślałem. Wyjrzałem zza płotu w dół ulicy. Jest! Srebrny pocisk mienił się w tym nieśmiałym słońcu jak brylant, a jeśli suzuki stało, był i Chiejkuri. Cicho jak makiem zasiał, pusto jak po dżumie, tylko srebrna terenówka skrzyła się i rosła w oczach. Najpierw wchodziło się do podłużnej poczekalni z rzędem składanych krzeseł, jak w starym kinie złączonych ze sobą drewnianą listwą. Stał w niej też piec niczym metalowy pies stróżujący,

przytwierdzony do ściany za pomocą blaszanej rury. Do właściwego pomieszczenia wszedłem z głośnym „Dzień dobry, Wiaczesławie Sołowiczu!” na ustach. Siwy cwaniaczek od komputerów podniósł bez entuzjazmu głowę znad klawiatury i wymamrotał odpowiedź. Sam Chiejkuri siedział na końcu długiego stołu, tuż pod wiszącą na ścianie podobizną orła, zaglądającego mu jedną z głów przez ramię w jakieś papierzyska.

– Dzień dobry, dzień dobry – pozdrowił mnie naczelnik, unosząc brwi. – Siadajcie – zaprosił ruchem ręki.

Oprócz nas i technika w sali nie było nikogo, krzesła skrzypiały co jakiś czas same z siebie, a powietrze pachniało stęchlizną. Chiejkuri uśmiechał się, błyskając złotymi zębami spod obfitych wąsów.

– A co zrobił, jak mu to powiedziałeś? – dopytywał się Kola, dzwoniąc dwoma talerzami, które zdjął z pieca i postawił obok kuchenki i garnka. Zupa cioci Walii już zaczynała pachnieć, parowała, pokrywając szyby gęstą obiadową mgłą.

– Ja tu, Wiaczesławie Sołowiczu, z pewną sprawą – tak zacząłem. – Pasterze pewnie już podeszli na brzeg, jutro jedziemy do nich z Nikołajem.

– A co, za rodzicami się stęsknił? – zakpił Chiejkuri.

– Trzeba by ich czymś do wioski przywieźć – pociągnąłem temat.

– Po co? – zdziwił się naczelnik. – Myślicie, że oni tam długo tak blisko wioski wytrzymają? U nas może mało

atrakcji, ale tej jednej nie brakuje, oj, nie.

– Tylko jak tu się dostaną?

– Jak konie do wodopoju tu przygnają, uwierzcie mi. – Spojrzał na mnie pobłażliwie. – Dadzą sobie radę, tratwy zbudują i na nich te parę kilometrów tutaj spokojnie spławią się po rzeczce. Ich nie trzeba nigdzie wozić.

Spec od komputerów właśnie zakładał spraną wojskową kurtkę i wychodził na fajkę, zdążył jednak parsknąć śmiechem.

– Swołocz – sarknął Kola. Zamieszał jeszcze raz w garnku, po czym nalał zupę na talerze. – Jak tu przyjechali, to nic nie mieli – powiedział. – Jakby nie nasi, toby powymarzali już pierwszej zimy. Prosto na brzeg ich wysadzili, bez niczego. Stali tak gromadą i nawet mężczyźni płakali. – Jego twarz zrobiła się zacięta. – On sam od małego między naszymi się wychowywał, spał w czumie, nosił skóry, doglądał reniferów. Jemu życie ocalili Ewenkowie. A teraz? – Pokiwał głową. – Zapomniał Wiaczesław Sołowicz o wszystkim, o wszystkim.

Drzwi uchyliły się i w progu stanął mały Wowa w czerwonej czapce z daszkiem.

– Siadaj, pojesz – powiedział gospodarz.

Chłopak kiwnął głową i cicho jak cień zajął miejsce na ostatnim wolnym taborecie. Zdjął czapkę, obrócił parę razy w rękach, po czym wstał i ostrożnie powiesił na wieszaku przy drzwiach. Miał może ze trzynaście lat i nawet jak na swój wiek był wyjątkowo małomówny. Melancholię

wypisaną na śniadej twarzy rzadko zakłócał uśmiech. Patrzył tylko swoimi wielkimi czarnymi oczami i milczał.

– Żadna nowina – Kola kontynuował przerwaną myśl, stawiając przed nami talerze. – Nawet nie liczyłem, że nam da tę łódkę. Od administracji dostał, żeby ludzi wozić, a kogo wozi? Na pewno nie nas, bo my to nie ludzie.

– Posłuchajcie – ciągnął dalej Chiejkuri – o nich naprawdę nie trzeba przesadnie dbać, sami sobie dadzą radę. Pod jednym warunkiem – zastrzegł. – Że siedzą w lesie. Wiadomo, ciągnie wilka do lasu, cha, cha – ściszył głos, mimo że byliśmy sami. – Jak są tutaj, to Boże broń. – Pokręcił głową, patrząc mi głęboko w oczy. – Jak dzieci są. Tylko do tego – tu klepnął się po szyi wymownie – myślicie, że im się tak znowu pali wracać do lasu? Będą tu siedzieć i szczęście, jak po tygodniu zostaną w jednych całych portkach. Mówię wam, jak są nad rzeką, to już ich nic tam nie utrzyma. Rzucą renifery, rzucą wszystko, co mają, i choćby wpław się tutaj dostaną, a potem… – naczelnik rozparł się na krześle wygodnie – …uwierzcie mi, ciężko ich będzie wygnać stąd z powrotem.

Z przedsionka dały się słyszeć kroki i w drzwiach stanął zarośnięty drab, od stóp do głów w wojskowym kamuflażu. Obdarzył nas ciężkim spojrzeniem i mrucząc jakieś przywitanie, rozsiadł się wygodnie za stołem przy ogłuszającej kakofonii skrzypień i trzasków. Pożegnałem się i wyszedłem na zewnątrz. Zamiast iść prosto do domu, skręciłem w prawo i znalazłem się na tyłach budynku, tuż obok anten, na skraju kamienistej rzecznej skarpy. Jakiś

rudy pies tam się kręcił, a widząc mnie, wyszczerzył kły. Ominąłem go ostrożnie i ruszyłem wzdłuż krawędzi skarpy, do miejsca oddalonego o parę zaledwie kroków, gdzie do Dolnej wpadała Tutonczanka. Powstał tam rodzaj cypla, ostrzem zwróconego w stronę zakrętu, za którym ginęła rzeka przysłonięta rozległym wzgórzem. Podszedłem na sam skraj, tuż obok olbrzymiej tablicy z napisem tutonczany, skierowanej tam, skąd mieli wyłaniać się potencjalni przybysze. Rzeka była drogą, szeroką, równą i piękną. Światło ślizgało się po jej powierzchni, rażąc oczy, nie pozwalało dojrzeć niczego na odległym drugim brzegu. Ze swojego miejsca, tuż obok tablicy, widziałem budynek administracji i drogę zjeżdżającą łagodnie po zboczu aż na sam brzeg. Stało tam w długim kolorowym sznurze wiele wciągniętych na kamienie łodzi: wichry, rakiety, meteory i sputniki. Blaszane, plastikowe, drewniane. Niektóre pomalowane jaskrawymi farbami, inne odrapane, przez co brzeg wyglądał jak zaatakowany kolorowym grzybem. Jacyś ludzie się tam kręcili, ktoś próbował motor, krzyczał coś do kogoś. Odgłosy te wsiąkały w las po drugiej stronie rzeki, czyhający na nawet najdrobniejsze poruszenie, niespuszczający z wioski ani na moment żadnego z setek swoich oczu.

– „Wy, Ewenkowie, jesteście jak niedźwiedzie i renifery, nic nie umiecie” – zacytował Kola, siorbiąc zupę – tak właśnie powiedział kiedyś pan gubernator Zołotariew. Dałbyś łódź niedźwiedziowi?

Zaprzeczyłem, przeżuwając kawałek ugotowanego mięsa.

– A widzisz, zresztą – machnął ręką i rozchmurzył się trochę – ja bym dał prędzej niedźwiedziowi niż Jakutowi.

Na twarzy Wowy pojawił się blady uśmiech.

– Jakutowi?

– Wolę się wyspać w jednym łóżku z niedźwiedziem niż z Jakutem – ciągnął.

– A co ci Jakuci zrobili?

– Są najgorsi, jeszcze gorsi od Ruskich. Złośliwi i agresywni. Lepiej nie wchodzić im w drogę, bo zabiją.

– W Turze poznałem jednego i wyglądał normalnie.

– To pozory – przestrzegł.

– Dobra zupa – pochwaliłem.

– No.

Ciocia Walia opiekowała się wiecznym kawalerem i podsyłała coś ekstra do jedzenia. Tym razem zupę, w której obok kartofli i makaronu pływało nawet pokrojone w kostkę mięso.

– Skąd ciotka wzięła mięso? – zapytałem.

Kola akurat przeżuwał z wyraźnym zadowoleniem wielki kęs.

– Jeszcze z zimy – wymamrotał z zębami wbitymi w żylasty kawałek tłuszczu.

W wiosce istny przednówek, ludzie żyją na konserwach. Na samą myśl o reniferach siedzących w lesie cieknie ślina. Jak tylko zjedliśmy, musieliśmy ruszać w drogę, bo Alosza już pewnie czekał na nas gdzieś przy łodzi.

* * *

– Słyszycie?! – Dmitrij gwałtownie uniósł głowę i w skupieniu wpatrywał się w jasną plamę dymnika. Było bardzo cicho, tylko w ognisku strzelało, moja wina, narąbałem zbyt świeżego drewna.

– Co? – Tatiana poruszyła się nerwowo.

Jej mąż zamknął oczy i w milczeniu nasłuchiwał.

– Barka – odezwał się niespodziewanie Maksim, który, jak się okazało, wysunął już głowę ze śpiwora i także nasłuchiwał. Ojciec pokręcił głową z dezaprobatą.

– Motorówka – stwierdził zdecydowanie.

Różnica była kluczowa. Jeśli to łódź, to na pewno płynęła z wioski w górę rzeki. Barka mogła płynąć równie dobrze i w dół, w stronę ujścia Tunguzki do Jeniseju i dalej, może i do Krasnojarska. Od brzegu dzieliło nas pół godziny zdrowego marszu, jednak krystaliczna obecność rzeki dawała o sobie znać, niosąc dźwięki swobodnie rozchodzące się po powierzchni wody. Czasami nocą, kiedy wszyscy kładli się spać, wdychając mroźne powietrze, słychać było basowy łoskot turbin płynącego rzeką statku. Wypełniał nocny las, wprawiając w drżenie drzewa i przedmioty, jakby pochodził ze środka ich wszystkich, przekazywany nie zwyczajną drogą, powietrzem, lecz potajemnymi, głębinowymi drogami aż do korzeni i pni. Dźwięk taki pęczniał, łagodniał i gasł. Nie zdarzało się to jednak często. Dolna Tunguzka, mimo że poza powietrzem była tu jedyną drogą komunikacyjną, nie cierpiała na zbytnie natężenie ruchu. Wręcz przeciwnie, każdy transportowiec wywoływał takie same zdziwienie

i ekscytację. Jeszcze raz komuś chciało się wspinać serpentyną zawijasów pod prąd, między progami i mieliznami. Choć statki nie były duże, to i tak ich przybycie na wiosnę oznaczało, że korpulentna pani zdejmie metalowe sztaby z drzwi wymiecionego do czysta jeszcze jesienią sklepu i znowu będzie wszystko, czego dusza zapragnie.

– Barka – upierał się Maksim, wyłażąc ze śpiwora.

– Motorówka – powtórzył Dmitrij, uniósł przy tym palec, jakby odwołanie się do nieba miało być ostatecznym dowodem. Ja także nadstawiałem ucha i już prawie mi tam zaczęło buczeć w oddali, ale trudno było stwierdzić cokolwiek pewnego. Tatiana spojrzała w moim kierunku pytająco.

– Motorówka czy barka? – zapytała niczym eksperta, który zaraz przeważy szalę.

– Motorówka – odpowiedziałem, woląc zaufać długoletniemu doświadczeniu w nasłuchiwaniu silników z oddali.

– Oczywiście, że motorówka – powtórzył Dmitrij zadowolony.

Maksim smarknął z całych sił i założył spodnie, zaraz potem fioletowe gumiaki.

– Barka – rzucił, wychodząc przez uchylony brezent. Tatiana rozejrzała się niespokojnie dookoła. Z głośnym trzaskiem złożyła okulary i schowała do pudełka. Zagarnęła też cały swój kram drobiazgów do szycia, jakieś motki, igły, łatki, które leżały w kolorowej stercie rozsypane przed nią.

Zebrała je wszystkie, odłożyła do walizeczki, zatrzasnęła i przyczesała włosy.

– Kola jedzie! – oznajmiła podekscytowana.

Sięgając po kolejną szyszkę, wyjrzałem przez pozostawioną w wejściu szczelinę. Maksim mył sobie właśnie twarz w towarzystwie psów wachlujących go puszystymi ogonami.

– W dzisiejszych czasach – zaczął Dmitrij, narzucając sobie na ramiona kufajkę – robią takie silniki, że ich nie usłyszysz, chyba że ci wjadą prosto do czumu. – Mówiąc to, podniósł się lekko i wyszedł na zewnątrz.

Widziałem, jak schodzi w dół po mchu, pochylony do przodu, jakby coś dźwigał, rozglądając się z zadartą głową po mieniącym się teraz kolorami lesie. Tatiana też wyszła, słyszałem jej szurania zza ściany. Wnętrze, przed chwilą wypełnione, teraz gościło już tylko zapach ludzi. Nie chciało mi się wychodzić, wyciągnąłem się na plecach, potem przekręciłem na bok. Zanurzyłem policzek w pachnącej skórze. Akurat z tego miejsca widziałem drzewa przez odchyloną płachtę wejściową. Zupełnie jakbym zaglądał do wnętrza rozległej groty, porośniętej zapuszczonym ogrodem postrzępionych stalagmitów. Mój świat teraz skurczył się do tego ciepłego gniazda, sondy rzuconej w Rów Mariański czy gdzieś. Wyjście z niej groziło zamarznięciem. Tak bardzo daleko od domu. Wróciła do mnie historia sprzed stu lat, widziana któregoś wieczoru w telewizji, której akompaniowały chrapanie mamy na wersalce i szum wezbranego potoku za oknem. Niemiecki program, czy

może Discovery, opowiadał przebieg próby zdobycia bieguna północnego za pomocą balonu przez trzech śmiałków, chyba ze Sztokholmu. Rzecz działa się na początku xx wieku, w czasach kiedy ludzie chodzili bardzo szybko i przebierali nogami. Najważniejszy z nich był geografem w szwedzkim Królewskim Towarzystwie Geograficznym, jeśli właśnie tak nazywała się instytucja. Postanowił dostać się na niezdobyty dotąd biegun północny za pomocą balona na ogrzane powietrze. Namówił kolegów, którzy ruszyli z nim, namówił sponsorów, króla samego też. Jeden z przyjaciół odwołał ślub, w obliczu przygody i niechybnej sławy zadowolił się jedynie kosmykiem blond włosów i pisaniem dziennika. Z niego wiadomo, że kiedy wystartowali ze Spitsbergenu, szybko ogarnęła ich mlecznobiała mgła. Spędzili w niej kilka dni, zawieszeni w niezdefiniowanej przestrzeni, pozbawionej góry i dołu. W końcu ich specjalnie przygotowany do arktycznych warunków wiklinowy kosz silnie uderzył o coś dnem, uniósł się i uderzył ponownie. Zmęczeni i zziębnięci, nie domyślali się jeszcze, że potężna lodowa skorupa wytworzona na górze balonu nieustępliwie wtłacza go w krę pod ich stopami, a powietrzny statek nie był już zdolny wzbić się wyżej niż na kilka metrów. W dzienniku po raz pierwszy pojawia się strach wśród zwyczajowych zapewnień codziennej miłości. Od tej pory wehikuł a to uderzał o ziemię, a to wznosił się, żabimi skokami pokonując coraz zimniejszą i bardziej przeklętą lodową pustynię. To już pewnie wtedy długie sople przywarły do ich niegolonych

twarzy niczym lata do twarzy ich sąsiadów ze Sztokholmu. Czarny Potok za oknem szumiał wściekle, mama chrapała, a srebrny ekran pokrywał wszystkie meble warstwą białego kurzu. W końcu szef ekspedycji podjął trudną decyzję: opuszczają swoją skaczącą coraz niżej i niżej kapsułę. Zaczyna się marsz po skrzypiącym jak zeschnięta deska lodzie. Nocami budziły ich echa pękającej setki kilometrów dalej kry, powielane przez głębie lodowatej wody pod nimi. Skonstruowali sanie, byli ciepło ubrani, a mięso polarnych niedźwiedzi szybko stało się ich chlebem powszednim. Notatki były optymistyczne, zapisał, że każdego dnia robią ileś tam dziesiątków kilometrów i jak obliczenia wskazywały, niedługo dotrą do wyspy pośród lodu i tam przezimują. Jak Bóg da, będą w domu na wiosnę. Tylko że nie przewidzieli faktu dzisiaj oczywistego. Kra arktyczna dryfowała w kierunku przeciwnym do kierunku ich marszu, w dodatku o ileś tam kilometrów szybciej, i w rzeczywistości z każdym dziesiątkiem kilometrów w przód byli beznadziejnie kilka kilometrów w tył, dzień za dniem. Nie wiedzieli też, że w surowym mięsie niedźwiedzi, którego obfitością się cieszyli, mieszkają małe, niewidzialne robaczki, czujące się w szwedzkich wątrobach równie dobrze, co w niedźwiedzich. Zaczęli chorować i jeden umarł. Dwóch, geograf i niedoszły żonkoś, dobrnęli w końcu wyczerpani do maleńkiej, skalistej wysepki, zupełnie bezludnej i zapomnianej. Później, zdaje się, nazwano ją Białą Wyspą. Końcem tej historii stała się awaria wielorybnika, którego kapitan postanowił przybić do

wyspy, dokładnie trzydzieści lat po tym, gdy balon zniknął w mlecznej mgle. Zdziwienie załogi było niepomierne, kiedy po wylądowaniu wyciągnęli z mocno zaciśniętych dłoni świetnie zakonserwowanego trupa pękaty dziennik. Jak to bywa przy takich okazjach, zaczęli lekturę od końca, by znaleźć tam ledwo czytelne słowa: „Dom, nareszcie”.

Po czumie kręcił się Dmitrij, cały zdrętwiałem. Gospodarz dorzucił do ognia i usiadł na swoim miejscu, zrzucając z ramion kufajkę. Po chwili wróciła też Tatiana, zadumana usiadła i wydobyła papierosa. Myśli nie przychodziły i w głowie ssało jak w pustym żołądku, ręka sama sięgnęła po fajkę. Trochę piszczało mi w prawym uchu, jednak mimo to z oddali łagodnie zaczęło napływać do mnie głębokie dudnienie silnika.

– Motorówka – powiedziałem bezwiednie.

– Barka – mruknął Dmitrij.

Papierosy dopalały się spokojnie, podczas gdy daleki odgłos przeradzał się w coraz bliższy warkot, który zaczął w końcu robić się coraz dalszy i cichszy, aż zniknął zupełnie.

– To już pewnie ostatnia. – Maksim uchylił płachtę wejściową i stanął nad nami z zadowoloną miną.

– Skąd wiesz?

– Mówię wam – orzekł – o tej porze, i jak dwie już przeszły w dół, co je kiedyś słyszeliśmy. Ile ich tam mają, trzy, cztery?

Fakt. Przed stateczkami do Krasnojarska droga daleka, a żaden nie chciał utknąć pośrodku Jeniseju na całą zimę.

– Już lada tydzień tajga zaszumi – powiedziała Tatiana, błądząc myślami zupełnie gdzie indziej.

– Zorze polarne? – zapytałem.

– Sezon polowania, Andrze – wyjaśnił Dmitrij zdziwiony. – Wszystkie chłopy ze wsi do tajgi się wyprowadzą. Tu też będą przyjeżdżać.

– Tak. Rano łodziami podpływać będą do brzegu i trach! – ożywiła się Tatiana. – I to z samego rana człowieka budzą. Mówię ci, nie wyśpisz się, aż podskakujesz.

– Najpierw na głuszce, potem na sobole – wyliczył Dmitrij. – A jak się sobol zacznie, to wnyki trzeba zakładać, czyścić, skóry suszyć. Kupa roboty.

Maksim przechylił się na bok i pstryknął playem. Plastikowe urządzenie wypełniło namiot koślawą muzyką, jeszcze powyciąganą w tył i w przód, bo baterie były na wykończeniu. Tatiana porzuciła smutki, wyciągnęła spod gałązek szachownicę i zaczęła się rozglądać za przeciwnikiem do warcabów.

* * *

Kola założył wyjściową skórzaną kurtkę, a Wowa złapał za wcześniej przygotowany worek z konserwami i paroma bochenkami. Z szopy dźwignęliśmy dwa kanistry z benzyną. Sprawnie przeleźliśmy przez sztachety na tyłach posesji i brnąc w mokrej trawie po pas, ruszyliśmy w trójkę przez lądowisko najkrótszą drogą nad wodę. Owiewał nas zapach benzyny chlupoczącej w kanistrach. Po kilku chwilach błotnistym parowem zeszliśmy na usłany drobnymi kamieniami brzeg. Kilkadziesiąt metrów dalej Alosza

właśnie parkował swój motocykl z przyczepką, z której w biegu wyskoczył jego gruby kolega. Opodal unosiła się długa blaszana łódź, przytwierdzona liną zakończoną pordzewiałym żelastwem. Podczas gdy właściciel zajął się przelewaniem paliwa z kanistrów do zbiornika, my wnieśliśmy wszystkie rzeczy na pokład, skacząc najpierw na rozchybotany dziób i ostrożnie dalej. Miejsca było akurat na pięć osób, mnie trafiło się na siodełku obok kierowcy. Ostatni wsiadł Kola, przed tym wrzucił kotwicę na pokład i wskoczył gładko na uwolnioną łódkę. Zdążył jeszcze zepchnąć do płytkiej wody Damkę, która chciała płynąć z nami. Mokra wydostała się na brzeg i ociekając, bez ruchu patrzyła, jak ci z tyłu za pomocą krótkich blaszanych wioseł obracają naszą metalową rakietę dziobem do celu podróży. Kiedy wystartowaliśmy w górę rzeki, pies rzucił się w pościg wzdłuż nabrzeża, ale szybko został w tyle i zniknął nam z oczu. A my jak na skrzydłach, wystrzeliliśmy z zadartym dziobem, prując wodę i rozpryskując pianę. Szybko przemknęliśmy wzdłuż skarpy, na której widać było dachy domów, minęliśmy ujście Tutonczanki i z hukiem zanurzyliśmy się w szeroko rozlany zakręt rzeki. Alosza trzymał niedbale jednym palcem małą wyścigową kierownicę, międlił w ustach papierosa i mrużąc oczy, starał się nie wychylać ponad porysowaną przednią pleksi. Z tyłu reszta, siny z zimna Kola i wpychany na niego przez grubego kumpla Aloszy Wowa z poważną miną. Mimo że szofer dał gaz do dechy, cała prędkość gdzieś uleciała. Kiedy tylko ostatnie zabudowania śmignęły za burtą i łódź

pokonała łuk rzeczny, wszystko się zatrzymało, a my zdawaliśmy się wcale nie poruszać. Maleńcy opadaliśmy na niekończącą się równinę, poznaczoną gdzieniegdzie samotnymi wzgórzami. Hałas na pokładzie sprawiał, że rozmowa była bezcelowa, więc siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się grze światła na wodzie, kamieniach i lesie. Nic zdawało się nie mącić snu tego miejsca. Powoli i majestatycznie brzegi odsłaniały przed nami kolejne zakręty i wzniesienia. Z każdą chwilą robiło się na łodzi coraz zimniej i mimo kurtki zacząłem szczękać zębami, reszta podobnie. Nie minęła godzina, kiedy wyrosła przed nami masywna góra z żółtym grzbietem.

– Nikołaj Dmitrijewicz! – krzyknął co sił w płucach Alosza. – To gdzieś tutaj?!

Kola nachylił się nad nami i palcem wskazał jakieś miejsce na brzegu, dość jeszcze odległe.

– Tam!

Łódź łagodnie zeszła z kursu i skierowała się w stronę prawego brzegu. Teraz szła w poprzek nurtu, więc blaszanka zaczęła podskakiwać jak na kocich łbach.

– Zawracaj! To nie tu! – zawołał nagle Kola. Kierowca odwrócił głowę i spojrzał na niego wymownie.

– Dalej! – krzyknął tamten.

Brzeg wszędzie wyglądał tak samo, kamienisty pas, zamurowany od pewnego miejsca ścianą lasu. Kola lustrował teren, w końcu wskazał miejsce i uśmiechnął się rozluźniony. Po chwili motorówka zaszurała dziobem o żwir. Cisza po wyłączeniu motoru była jak haust świeżego

powietrza. Pokład zadudnił pod naszymi stopami, zachrzęściły kamienie. Chłopaki przysiadły na głazach i zapaliły.

– I jak wy to poznajecie? – zapytał Alosza z kwaśną miną i splunął soczyście na ziemię. Adresatów tego pytania już nie było, zabrali worek i zaczęli mozolnie wspinać się po stromym zboczu usłanym okrągłymi kamieniami. Gruby rzucił peta, po czym przechylając się do środka motorówki, wyciągnął spinning i z dużą wprawą zarzucił daleko w nurt rzeki.

– Może jakaś ryba się złapie – mruknął, kręcąc kołowrotkiem. – Mały tajmieszonek by, kurwa, nie zawadził.

Rzeka była olbrzymia. Poczułem, jakby świat zaraz miał stracić równowagę, podcięty jej szeroko rozlanym i gwałtownym nurtem.

– To co, nie idziesz z nimi? – zagadnął Alosza. Odwróciłem głowę, zobaczyłem dwie szczupłe postacie na skraju lasu. Stali obok siebie, Kola i Wowa. Spory kawałek już przeszli, byli teraz jak dwie nieruchome figurki zwrócone wyczekująco w moją stronę. Jeszcze krok i zniknęliby w lesie.

– Idę.

Potykając się, dołączyłem do nich, stojących wciąż bez ruchu. Ruszyliśmy. Najpierw w górę stromego wzniesienia, potem brodząc w głębokim po kolana mchu. Zaraz otoczyła nas gęsta chmara meszek i stokroć gorszych komarów. „Komary to nic – przypomniałem sobie słowa barczystego

Jewgienija. – Poczekaj, jak cię bąk upierdoli, to dopiero będziesz śpiewał”.

Kluczyliśmy po przestronnym lesie pełnym karłowatych świerków i brzóz, ze dwa razy trzeba było przeskakiwać strumień.

– Spójrz! – Kola wskazał palcem kikut niewielkiego drzewka. – Wiesz, co to jest? – Pokręciłem głową. – To popatrz tutaj. – Odszedł kawałek i wskazał kolejny podobny, dokładnie na linii pierwszego. – I tutaj. – Wskazał następny kilka metrów dalej.

– Ścieżka?

– Dobrze zgadłeś – pochwalił mnie zadowolony. – Renifery, kiedy idą w argiszu, zaczepiają rogami. – Tu zademonstrował rękami rozłożystość poroża. – Boli je, trzeba wycinać niektóre krzaki. Zresztą – machnął ręką – te to i tak z zeszłego roku.

Wowa, korzystając z przerwy, schylił się i zagarnął trochę borówek. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że są ich tutaj dookoła miliony, na każdym kroku czerniły się granatowe kuleczki. Gdzieś z wysokiego drzewa sfrunął czarny ptaszek i zaskrzeczał przeraźliwie.

Chwilę później wspięliśmy się na suchszy teren, gdzie niczym wyszukane sklepienie rozpościerały się nad nami korony syberyjskich cedrów. Pociemniało, pośród gałęzi zaszemrał deszcz. Kola zatrzymał się nagle.

– Nie ma ich – powiedział głośno.

– Co?

– Nie ma ich tu – powtórzył i teatralnym gestem zatoczył ręką. – Jesteśmy na miejscu.

Podszedł do nas zdyszany Wowa i rozejrzał się w milczeniu.

* * *

– Ha! – Tatiana zatarła ręce, po czym płynnym ruchem zbiła kilka pionków naraz.

– Eee… babska gra – mruknął zniechęcony Maksim i sięgnął po szyszkę do pieczenia, zrezygnował jednak i założył gumiaki. – Ogień trzeba rozpalić – przypomniał sobie na głos i wyszedł.

– London. Pariiż – dochodził z zewnątrz głos jego ojca, który braki w znajomości tekstu uzupełniał niskim murmurandem.

– Szczęściara z was – rzuciłem, widząc rozpromienioną Tatianę, która chowała szachy pod poduchę.

– A żebyś wiedział – przyznała i poprawiła sobie obiema rękami czapkę. Spojrzała na mnie z wahaniem. – A wiesz czemu?

Na zewnątrz zabrzmiały dzwonki. Słońce przygrzewało, więc renifery jak zwykle napłynęły do obozu chrapiącą i łamiącą gałązki falą.

– Aaa… pokażę ci – szepnęła, nachylając się w moim kierunku. – Dima mi niby nie pozwala – tutaj nowe wątpliwości wystąpiły jej na twarz – ale tobie pokażę – zdecydowała. – Za ten scyzoryk dla Maksima.

Dałem mu go po przyjeździe, był tani, mimo to i tak Tatiana, głaszcząc chłopaka po głowie, powiedziała

z uznaniem:

– Dobry prezent.

Teraz odwróciła się i sięgnęła do swojej walizki. Wyciągnęła z niej woreczek wyszyty kolorowymi paciorkami. Spojrzała na mnie jeszcze raz, po czym rozsupłała sznurek i wydobyła na światło dzienne niewielki przedmiot. Podała mi go z nabożną miną jak coś cennego i kruchego zarazem. Na mojej dłoni rzecz wydała się lekka, była podłużna, przypominała filigranowy kawałek kości.

– To jest bardzo rzadka rzecz – powiedziała z niepewnym uśmiechem. – Każdy, kto taką znajdzie, ma dużo szczęścia w życiu.

– Co to jest?

– To czasami rośnie u renifera, o tu. – Naciągnęła sobie skórę w miejscu, gdzie mężczyźni mają jabłko Adama. – Ale bardzo rzadko, oj rzadko. Raz na parę tysięcy – dodała.

– I umiera od tego?

– Nie! Nie, nie – zaprzeczyła gorąco – w ogóle mu to nie przeszkadza, po prostu rośnie i jest. I ja to znalazłam.

Mała rzecz była ciepła w dotyku. Oddałem ją właścicielce, która szybko schowała ją do woreczka i z powrotem na swoje miejsce w walizce.

– No to teraz już wiesz, dlaczego jestem taką szczęściarą – powiedziała jakby nigdy nic.

– Ja też mam taką jedną rzecz.

Tatiana szeroko otwarła oczy ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Nie z renifera… – sprostowałem. Z trzaskiem rozdzieranych rzepów otworzyłem wojskową kieszonkę przyczepianą do paska. Podałem jej woreczek z grubego lnu, zamknięty poczwórnie skręconą, seledynową gumką recepturką. Wzięła go delikatnie, zważyła w dłoniach, po czym zwróciła ostrożnie.

– Leciutki – powiedziała. – I miękki.

Przytknąłem go sobie do nosa i odetchnąłem oleistym zapachem lnu.

– Też jestem szczęściarzem.

Dzwonienie rozbrzmiewało ze wszystkich stron. Zasznurowałem trampki, na grzbiet narzuciłem bluzę i wyszedłem z czumu. Przywitał mnie Sułtan, kiwając ogonem i zerkając niepewnie, jakby nie wiedząc, co począć z tak liczną, przybyłą właśnie gromadą. Przestrzeń wokoło zatłoczona była brązowymi ciałami zwierząt, które spacerowały lub leżały grupkami niczym jakaś tajemnicza pielgrzymka podczas sjesty. Najsilniejsze nosiły na szyjach blaszane dzwonki, niekiedy przytroczone też do rozłożystych poroży. Kiedy tylko wyszedłem, natychmiast poczułem na sobie kilkadziesiąt par orzechowych oczu. Przyglądały mi się uważnie i bez pośpiechu, oceniając ewentualne perspektywy ze mną związane. Słońce grzęzło w mokrej od rosy sierści jak w pluszu, ciasno opinającym pękate brzuchy i długie, sękate nogi. Kłęby pachnącej piżmem pary unosiły się ponad delikatnymi łukami grzbietów, łopatek i szyj. Zwierzęta były duże i łagodne. Te, które skupiły się między drzewami, kładły się jak cienie

innych, tkwiących w pełnym słońcu. W pobliżu kilku samic orbitowały nie większe od psów cielaki. O dziwo, komary raczej nie dokuczały. Wysiłki Maksima biedzącego się właśnie nad rozpaleniem ogniska były raczej symboliczne, mające przede wszystkim nie zawieść wypracowanych przez pokolenia zwierząt i ludzi oczekiwań. Leżące we mchu renifery niczym ławica rozstępowały się na dźwięk moich kroków, czasem pod wpływem muśnięcia ręką porośniętych miękką skórą rogów. Podnosiły się wtedy lekko i ustępowały parę kroków, po czym ponownie zalegały, tupiąc i sapiąc. Kiedy udało mi się zbliżyć do jednego, ten zastygł jak skamieniały pod dotykiem moich palców. Łypał przy tym bezradnie wielkimi oczami na wszystkie strony. Maksim przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Myślisz, że to lubi? – zapytałem, nie przerywając drapania mokrej sierści.

– Nie – odpowiedział tamten ze zmarszczonym czołem i zabrał się z powrotem do pracy.

* * *

Najpierw dostrzegłem parę butelek rzuconych u stóp drzewa. Nalepki już z nich poodłaziły, a w środku mętniały żółte kałuże, obok leżała pordzewiała puszka.

– Hoop! – krzyknął z całej siły Kola przez złożone w trąbkę dłonie. Cisza. Żadnego odzewu, tylko deszcz coraz głośniej szemrał wśród listków brzóz.

– To tu? – zapytałem.

– Tu – wskazał ręką.

Jak w trójwymiarowym kinie po założeniu specjalnych okularów, tak teraz przed moimi oczami na tle zielonej mozaiki wyłonił się stożek z ułożonych równo po kole długich żerdzi. Przypominały dziwne rusztowanie lub szkielet paleolitycznego zwierzęcia, pozbawionego ciała przez tysiąclecia wiatrów, deszczów i zimy. Wszedłem między żerdzie, na środku czerniało mokre palenisko.

– Andrze – Kola spojrzał na mnie krytycznie – nigdy nie wchodź do czumu inaczej jak wejściem. To przynosi pecha. Masz coś do pisania? – zapytał po chwili.

Dałem mu długopis i wyrwaną z zeszytu kartkę. Oparł ją o drzewo, napisał parę zdań, zwinął w rulonik i opakował wydobytym z kieszeni kawałkiem folii.

– Chodźcie, sprawdzimy jeszcze inne miejsce – zakomenderował, chowając szeleszczący pakunek z powrotem do kieszeni. Po mniej więcej półgodzinie stanęliśmy na miejscu bardzo podobnym do poprzedniego, tak samo pustym. – Tutaj się urodziłem – powiedział Kola, rozglądając się po okolicy. Wręczył mi aparat i zawołał Wowę. Ustawili się na tle gołego rusztowania, wcześniej przygładzili fryzury. Pstryknąłem zdjęcie, wyszło świetnie. Ubrany w czarną skórę Kola z zagadkowym uśmiechem na prześwietlonej twarzy obok nadętego Wowy w czerwonej czapce. Sprawiali wrażenie, jakby wetknęli głowy w odpustową dekorację, której wypłukana do granic możliwości chemia fotografa nadała charakteru tajemniczej scenografii. Droga powrotna była łatwiejsza, cały czas w dół. Prowadziła nas ledwo dostrzegalna ścieżka, bardziej

wyczuwalna niż widoczna. Nie rozmawialiśmy ze sobą, siąpiło. Aż do brzegu rzeki zatrzymaliśmy się tylko raz, w miejscu, gdzie ścieżka schodziła w wąski parów. W nim Kola przywiązał szeleszczący pakunek do gałązki tak, że zawisł dokładnie pośrodku.

– Znajdą?

– A ty byś przegapił? To jedyna droga.

Pozostawiliśmy dyndającą na sznurku wiadomość i wkrótce, pokonując ostatnią stromiznę, zeszliśmy na brzeg, ale w innym miejscu niż to, z którego wyruszyliśmy. Niedaleko rzeka zakręcała, więc trudno było stwierdzić, gdzie konkretnie znajduje się nasza łódź. Przed nami piętrzyły się zwały grubo ciosanych kamieni. Skierowaliśmy się wzdłuż lasu w stronę zakola i wkrótce naszym oczom ukazała się góra, a w dali dojrzeliśmy maleńki przecinek łodzi. Dotarłszy na skraj zakrętu, Kola z Wową przystanęli nagle naprzeciwko pochylonego jak szlaban drzewa. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że to pokrzywiona sosna o grubym, pokrytym jasnymi łuskami pniu. Jakiś metr nad ziemią pień się rozszerzał, tworząc żywą fałdę obrastającą ze wszystkich stron małą spłowiałą tabliczkę. Musiała zostać do niego przybita, kiedy drzewo było jeszcze młode, bo z biegiem lat pochłonęła ją drzewna tkanka. Tkwiła zatopiona w pniu jak różne drobiazgi umieszczone dla zabawy w gęstniejącym betonie. Na jej popękanej powierzchni ledwie widocznymi już literami ktoś wykaligrafował: F. J 1885 r. Drzewo pochylało się nad rozległym rzecznym łukiem, który w jego tle niespiesznie

zagarniał przestrzeń jak miotła kurz i śmieci, zostawiając za sobą w chaosie krnąbrne okruchy głazów i połamanych pni. Daleko na brzegu dostrzegłem wreszcie dwie maleńkie postacie nieopodal jaśniejącej pod niespodziewanym snopem słonecznego światła blaszanej motorówki.

– Coś wam zeszło – skwitował nasze przybycie Alosza.

– Za tydzień jeszcze raz przypłyniemy – powiedział na to Kola. – Dasz radę?

– Dasz benzynę, ja dam radę. – Chłopak się zaśmiał.

– Jak ryby? – zagadnąłem grubasa.

– Ni chuja.

* * *

– Pod względem lekarstw profesjonalnie się przygotowałeś – powiedziała z podziwem Tatiana, obserwując białą reklamówkę, na której namalowałem flamastrem wielki czerwony krzyż.

– Nigdy nie wiadomo.

– Zwłaszcza jak się chce pół świata przejechać – zgodziła się.

– Właśnie.

Popołudnie już minęło, wyschły wszystkie lodowate mgły i poranne rosy. Mężczyźni zajęci byli na zewnątrz ostatnim pakowaniem albo grzaniem się w słońcu.

– Apap – przeczytałem.

– Na co?

– Na przeziębienie.

– A to dobre. – Kiwnęła skwapliwie głową. – Trochę mi Maksim grypował.

Wręczyłem jej trzy paczki.

– Plastry na odciski.

Tatiana obejrzała opakowanie, po czym schowała do torebki upstrzonej maleńkimi logami „Twojego Stylu”, tłoczonymi w śliskim materiale. Nie ma to jak gadżety z promocji.

– Przyda się – zaaprobowała.

– Woda utleniona, na rany cięte, do polewania.

– Mhhh.

– Bandaże, witamina C, plaster na zranienia.

– Mhhh.

– Krople żołądkowe na ból brzucha i węgiel na sraczkę.

– Węgiel?

– To jest specjalny medyczny węgiel. Do łykania.

– Mhhh… – Niepewnie pokiwała głową.

– No naprawdę, zresztą Maksim już zjadł jedno opakowanie.

– Zjadł? I co?

– Przeszło mu. Naprawdę.

– A to dobrze – rozpromieniła się.

– Aha! – przypomniałem sobie. – Maść rozgrzewająca.

– O! – zaciekawiła się, zaglądnąwszy do pustawej już torby. Na dnie leżało kilka strzykawek i jednorazowych igieł.

– Strzykawki – powiedziałem.

– Jak w szpitalu. – Pokiwała głową z niedowierzaniem.

– Moja bratowa jest pielęgniarką, to mi tego nawciskała.

– Aha.

W ciągu kilku minut cała apteczka sprawnie przeniosła się do niebieskiej byłej kosmetyczki, teraz w posiadaniu Tatiany. Gospodyni głośno zasunęła biały zamek i zapakowała ją do walizki. Dolatywały nas strzępy rozmowy Dmitrija z synem, ostatnie renifery dzwoniły w krzakach.

– Andrze – zaczęła niepewnie Tatiana, kiedy już wszystko zapakowała i na powrót usiadła obok mnie. – A ty sam, to za kogo się uważasz? – mówiąc to, sięgnęła po papierosa, którego przypalaniem zajęła się podczas chwili kłopotliwego milczenia.

– Jak to za kogo?

– Noo… na przykład… – rzuciła na mnie okiem – za podróżnika?

– Trudno tak powiedzieć, za kogo. Za człowieka, najprędzej – zażartowałem beznadziejnie.

Tatiana paliła z namaszczeniem, podwinąwszy kolana pod brodę. Patrzyła zamyślona w maleńki płomień, ledwo się teraz tlący. Poszedłem za jej przykładem i tak gapiliśmy się we dwoje.

– To trudno wytłumaczyć… – zacząłem znowu. – A wy kim jesteście? – zapytałem tak głośno jak zwykle, gdy mówiłem do niej. Wyszło niechcący jak na komisariacie.

– Człowiekiem – odpowiedziała i wyciągnęła kolejnego papierosa, śmiejąc się pod nosem ze swojej riposty.

– Uff – powachlowałem się dłonią – to dobrze trafiłem.

Roześmiała się głośno, aż Dmitrij Nikołajewicz, którego zauważyłem chwilę wcześniej przechadzającego się z zamyśloną miną, zajrzał do czumu przez uchylone wejście.

– Uff… ulżyło mi – błaznowałem przy akompaniamencie jej głośnego chichotu.

– Tak, tak, Andrze. Kiedyś, za kołchozu, byłam gospodynią czumu i za to dostawałam pieniążki. Teraz jestem człowiekiem – roześmiała się jeszcze raz.

– No a ile było gospodyń na brygadę?

– Naszą? Piątą?

– No.

– Trochę było… – zamyśliła się – ale powiem ci jedno, Andrze, z jakichś powodów zawsze mniej niż mężczyzn. Niestety.

Przez cały ten czas Sułtan leżał przy wejściu z nosem prawie przekraczającym granicę tego, co można by było uznać za wnętrze namiotu. Czerpał widać z tej błogiej iluzji bycia w środku wiele przyjemności, bo na jego poszczerbionym, siwym pysku malowało się rozanielenie. Miał przymknięte oczy i jedyną niedogodność stanowiły komary, które krążyły w plamie ciepłego światła, łaskawie spływającego z nieba na psa. Nagle uniósł łeb. Wystawił mokry nos w kierunku drzew i z uwagą wciągał powietrze. Podbiegł Malczik. Sułtan poderwał się i nerwowym truchtem pobiegł do granic obozu, z napięciem obserwując gęstwinę. Drugi pies trzymał się trochę z tyłu, ujadał i wył na przemian. Dmitrij Nikołajewicz i Maksim stanęli blisko siebie, wpatrując się mniej więcej w kierunku wskazywanym przez psy. My także znaleźliśmy się po chwili obok. Stado chwilę wcześniej już się gdzieś rozeszło, więc byliśmy tam sami, we czwórkę, u wejścia do brezentowego

namiotu, a przed nami psy oszczekiwały czort wie co. Dał się słyszeć trzask łamanej gałęzi. Sułtan natychmiast wystrzelił w tamtym kierunku. Sadził ciężko, olbrzymimi susami, z mrożącym krew w żyłach charkotem, a tuż za nim pognał Malczik, kręcąc ogonem. Obserwowaliśmy, jak przemykają pomiędzy drzewami. Po chwili jednak coś się zmieniło. To, co brzmiało tak groźnie, przeszło w czyste, donośne ujadanie psa zadowolonego z powrotu pana z pracy. Wkrótce też z zarośli wypadł Malczik z wywalonym różowym językiem, zawrócił i pobiegł z powrotem. Zza drzew już wyłaniała się niewielka postać, pewnie kierująca się w naszą stronę.

– Kolka przyjechał – powiedziała cicho Tatiana.

Był w gali, w swojej skórzanej kurtce i nowym kamuflażu. Podszedł z dość enigmatyczną miną.

– Pieski pilnują – stwierdził na przywitanie, stając naprzeciwko nas. Psy w tym czasie kuliły ogony i kładły się na jego stopach, to szczerząc długie kły, to wysuwając języki.

– Czym przypłynąłeś? – zagadnął go ojciec.

– Aaa… Merkurym Chiejkuriego.

– To dlatego tak cicho, nowiutka sztuka – domyślił się Dmitrij.

– On też jest. – Wskazał ruchem głowy w stronę rzeki.

– Zaszczyt nas kopnął – powiedziałem.

– Chce się z dobrej strony przed ludźmi pokazać – przytaknął Kola.

– I dobrze – skomentował Dmitrij.

Wszystko było gotowe, rzeczy uprzątnięte. Maksim w odświętnym dresie, jego ojciec w świeżej flanelowej koszuli, a Tatiana w szykownym sweterku. Tylko ja psułem efekt, bo połatane w wielu miejscach spodnie znowu poprzedzierały się w kilku następnych, szajs z niemieckiego demobilu. Nie było nad czym się zastanawiać. Gość szybko wypił herbatę i kiedy tylko Maksim uporał się z podrzuconym mu snickersem, zaczęliśmy się krzątać, znosić przed wejście nieliczne tobołki do zabrania. To była zaledwie garstka tych najpotrzebniejszych rzeczy, resztę jeszcze wczoraj zanieśliśmy do drewnianej skrytki na drzewie. Gdzieś tutaj niedaleko, w bardzo podobnej, leżały zimowe akcesoria. Czekały na powrót Dmitrija i Tatiany, pierwszy śnieg, a wcześniej szron, który zmrozi wszystko jak w chłodni. Spały tam futrzane ubrania, sanie, skórzane poszycie czumu i wszystko inne, potrzebne w ciszy nowego, białego świata po przyjeździe z wioski. Na razie jednak jesień migotała nieśmiałym światłem, a Kola zarzucał sobie właśnie na plecy parciany worek i wolnym krokiem, gnąc się trochę pod ciężarem, ruszał z powrotem w las. Z Maksimem i Tatianą podążyliśmy w ślad za jego niknącą między drzewami sylwetką. Towarzyszyły nam psy, na odchodne przeganiając jeszcze jakiegoś marudera z pobliskich krzaków, który sapiąc, tupiąc i podzwaniając dzwoneczkiem, oddalał się w sobie tylko znanym kierunku. Na jakiś czas on i reszta powrócą do stanu pierwotnej bezpańskości, włócząc się, dokąd tylko ich oczy poniosą. Zanim sypnie śniegiem i pojawią się wilki, muszą nabrać

siły. Szedłem ostatni, więc nie potrafiłem oprzeć się pokusie spojrzenia jeszcze raz na obóz. Odwróciłem się, za późno. Tajga miała niezawodną właściwość gubienia wszystkiego. Dałem spokój, choć przez chwilę miałem wrażenie, że widzę zielony stożek. Przede mną ostrożnie szła maleńka Tatiana, patrząc pod nogi, za nią Maksim stawiał krótkie, energiczne kroczki, niosące go w szybkim tempie przez zarośla. Gdzieś od strony obozu Muktów dało się słyszeć zawodzenie. Widać któryś z psów wyczuł poruszenie wśród ludzi i próbował przypomnieć o swoim istnieniu. Wkrótce ścieżka stała się nieco wyraźniejsza i skręcała gwałtownie w prawo, jakby ugięta przez inną, wpadającą do niej z naprzeciwka i dawno nieużywaną. Maksim bez zastanowienia minął skrzyżowanie. Nie dość, że wszyscy znaliśmy je na pamięć, to był jeszcze drogowskaz. Tuż przy skręcie, na mchu, leżały białe kości, układające się w duże, zgięte w kierunku rzeki skrzydło. Kostki, niczym w muzeum, leżały wachlarzowato, w pełni oddając kształt pierwotny, ogromny i smukły. Reszta ptasiego szkieletu, niekompletna i poszarzała, sterczała obok, zatknięta na gałęzi.

– Co to za ptak? – zapytałem kiedyś Maksima.

– Orzeł – rzucił przez ramię, nie zwalniając kroku i nawet nie patrząc w tamtą stronę.

– Skąd się tu wziął?

Maksim zatrzymał się i spojrzał za siebie, najpierw na kości, potem na niebo, jakby chciał prześledzić drogę, którą ptak pokonał w ten feralny dzień.

– Bosman go zastrzelił. – Wskazał blaknącą wśród mchu ścieżkę. – Kiedyś tam stał jego czum.

* * *

Kiwał się przy płocie, a strużka krwi ciekła mu z nosa pomiędzy rzadkie wąsy i dalej, po prostych jak druty włosach brody na niebieską koszulkę polo, znacząc ją dużymi plamami. Małe, skośne oczy Bosmana patrzyły na mnie bezradnie, podczas gdy usta układały się same w pojednawczy, przepraszający uśmiech.

– Nic wam nie jest? – Trąciłem go w ramię.

– Nie, nie… – powtarzał tamten i patrzył niepewnie.

– Na pewno?

– Nie, nie… nic – upierał się, uśmiechając się jeszcze szerzej i bezradniej. Był zupełnie nieświadomy czerwonych glutów, które wisiały na jego brodzie, wciąż zasilanych gęstym strumieniem. Brodzie tej, sztywnej i sięgającej piersi, zawdzięczał ksywkę. Nieczęsto można było zobaczyć Ewenka z takim zarostem, co zresztą wielu tutejszych skłaniało do poszukiwań przynajmniej jednego z jego przodków gdzieś na południu, w Tatarstanie na przykład. Fakty zdecydowanie przeczyły takim plotkom. Władimir Ilicz Mukto, rocznik czterdziesty trzeci. Miał tyle szczęścia, że ojcu było Ilja i dziecko zapisywał akurat w urodziny wodza rewolucji. Urzędnik nawet nie chciał słyszeć o żadnym tam Amarcianie, Wacilianie czy Urguncie. „Jak wam na imię Ilja, to synek będzie Władimir, na cześć rewolucji!”, stwierdził podobno.

– Moja mama też jest z czterdziestego trzeciego – powiedziałem.

– Naprawdę, naprawdę?! – rozentuzjazmował się Bosman. – A. a to jesteśmy rówieśnikami!

Przytaknąłem.

– No, no. Ale jaki zbieg okoliczności! Rówieśnikami! Jestem rówieśnikiem twojej matki, kto by pomyślał. – Kręcił głową, dziwił się i energicznie szarpał brodę. – Rówieśnikami! – Parsknął jeszcze raz i siorbnął herbatę.

Siedzieliśmy we dwóch przy krzywym stole Koli. Popijaliśmy herbatę, a mój rozmówca co jakiś czas sięgał po kolejną kromkę z dżemem borówkowym. Miał rozbiegane oczy i bezzębne dziąsła, z których wypadały okruszki chleba. Tuż przy wysokim progu stały jego gumiaki, a on sam siedział na białym taborecie, zakładając jedną obrośniętą pleśnią brudu stopę na drugą. Co chwila wycierał ręce o wyświechtane spodnie dresowe, które błyszczały atłasowo.

– Masz tu starego pastucha – chwilę wcześniej rzucił Kola od progu. Za nim stał niewielki brodaty człowiek z szeroko otwartymi z wrażenia oczami. Gospodarz posadził go na taborecie i wyszedł naprawiać drewutnię. Zostaliśmy sami, mierząc się ciekawie i nieśmiało wzrokiem.

– Może herbaty się napijecie?

– Można. – Gość skinął głową.

Nastawiłem czajnik, nakroiłem chleba i posmarowałem dżemem. Jadł łapczywie.

– Jak jesteście rówieśnikami, to znaczy, że oboje w wojnę się urodziliście – powiedziałem.

– Tak, tak, w wojnę – przytaknął. – Oj, bombili w tę wojnę. Słyszałem, że bombili. Pół świata rozburzyli, narodu pobili. A co, nie?

Minuty mijały, rozmawialiśmy. Bosman jadł kromki, potem okrągłe jak rzeczne kamienie ciastka.

– Miało się reny, dużo, dużo. – Rozłożył ręce. – Mięsa było, ile kto chciał.

– I nie macie już?

Spojrzał na mnie i zamaszyście zaprzeczył ruchem głowy z wyrazem wymuszonego ubolewania.

– Nie, teraz już nie ma. – Wydął wargi i wzruszył ramionami.

– I co, pogadaliście sobie? – zaśmiał się Igor, siedząc na grubej bali drewna pod ścianą drewutni. Zebrało się większe towarzystwo. Był tam Igor właśnie, czyli zarośnięty kozak z kolczykiem w uchu, był Iwan Iwanowicz, byli Wołodia i Kola. Ten ostatni, w przeciwieństwie do reszty, z młotkiem w ręce, jakby rzeczywiście coś robił.

– Co, Bosman, pogadaliście? – zaczepił go Iwan Iwanowicz, ale swoje wyblakłe oczy wbił we mnie.

– A tak, a tak – przytaknął Władimir Ilicz i dosiadł się obok. – My rówieśnicy jesteśmy – obwieścił podekscytowany, poprawiając się na kłodzie.

Wybuchnęli śmiechem.

– Coś ci staro z gęby patrzy – ryknął Iwan Iwanowicz.

– A nie, nie – zaszczebiotał Bosman. – Nie my. Ja z jego matką rówieśnik.

– To skocz po trochę tego eliksiru młodości – zaśmiał się Igor.

– Nam też się przyda – burknął Wołodia.

Po chwili był już z powrotem, wzruszony niósł pół litra i plastikowy kubek.

– No, to dawajcie, odmłodzimy się trochę, a? – zachichotał. Oddał butelkę Iwanowi, a sam usiadł, wiercąc się nerwowo. Nie spuszczał roześmianych oczu z fałszywej czerwonej etykiety z napisem „wódka” na półlitrowej butelce. Rozlewający odkręcił i polał z namaszczeniem każdemu po kolei. Najpierw Igor, potem Wołodia, Bosman chciał przejąć kubek, ale ręka mu się zatrzęsła i cała zawartość rozchlapała się na trociny. Po drewutni rozszedł się zapierający dech w piersiach, mdły odór chemikaliów.

– Kurrrwatwojajebanawdupęmać! – zawarczał Iwanowicz. – Bosman, nie rozlewaj, kurwa.

Tamten zerwał się z siedziska, przyskoczył do Iwana Iwanowicza, obiema rękami złapał nalany mu drugi kubek i jednym haustem opróżnił zawartość. Na szczęśliwy koniec wypił i sam Iwan, po czym odłożył butelkę pod drewnianą podporę. Mnie nawet nie częstowali.

– Musiałbyś potrenować – powiedział kiedyś Iwan.

Bosman oparł się plecami o sąg drewna i patrzył dookoła zadowolony, śmiał się, przekomarzał to z jednym, to z drugim, znosił spokojnie uszczypliwości pod swoim adresem. Coraz bardziej się krył za opuszczonymi już

prawie do połowy powiekami. Uniesione brwi, szeroko rozdziawione usta, broda i gęste włosy otaczające płaską twarz nadawały mu wygląd Bachusa, który w towarzystwie leśnych stworów zażywa właśnie krótkiego odpoczynku. Skośne oczy patrzyły kpiąco, a spokojna już ręka sięgała kolejny raz po plastikowy puchar wypełniony białym jak woda syntetycznym winem.

Patrzyłem, jak główny strumień już spłynął, jak pozostawił po sobie kroplę dyndającą na wąsie. Wciąż się opierał o ogrodzenie i uśmiechał zakłopotany. Pogładził wąsy, po czym spojrzał zdziwiony na lśniące palce, które zaraz potem otarł o spodnie, dotknął twarzy jeszcze raz, spojrzał i znowu wytarł. W tle, zza rogu domu, wyszedł Giena, przeklinał, po czym zawołany przez kogoś, chwiejnie osunął się z powrotem za róg jak w teatrze lalek. Pewnie tam, gdzie przed chwilą siedzieliśmy razem na ganku – ja, Bosman, Giena i Olga. Ganek był wąski, więc przytulaliśmy się ściśnięci do siebie, ale najbardziej to chyba ona do Gieny, z pozostałościami urody, zmarszczkami i małym perkatym noskiem. Była cała opatulona w brązowy płaszcz i czerwonożółty szalik, przewiązany wokół głowy, spod którego wymykały się siwe kosmyki. Spirytus działał na ich usta, wykrzywiał je w dziwnych, luźnych uśmiechach i grymasach jak u plastelinków. Bez żadnego ostrzeżenia Giena odepchnął energicznie trzymającego go pod rękę Bosmana, a tamten wygiął się cały, ale nie puścił.

– Puść, chuju… – wycharczał rozwścieczony Gienadij. Naparł całym ciałem na starego i prawą pięścią wymierzył

mu kilka mocnych ciosów prosto w twarz. Bił mocno, zaciskając zęby jak imadło, w którym tężały wykrzywione ku dołowi wargi. Kostki zaciśniętej pięści pobielały trupio, a żyły i ścięgna wyszły wszystkie na wierzch gęstą siecią. Jęczenie ofiary zlało się w jedno z wrzaskiem Olgi, która złapała obiema rękami za uniesioną piąchę, gotową jeszcze bić. Bosman podniósł się i pochlipując, ruszył koślawym truchtem w stronę furtki. Jego pogromca z pełną triumfu i pogardy miną powiódł wzrokiem za oddalającym się starym, pozwalając jednocześnie, by Olga obejmowała go i całowała w policzki dla uspokojenia. Co chwilę też poprawiał poły stalowoszarej marynarki w jodełkę, w rytm przekleństw przerywanych soczystymi splunięciami.

– Idźcie do domu – nalegałem. – Odpocznijcie.

– Nie trzeba, nie trzeba – powtarzał stary. W końcu pokiwał głową i przygarbiony ruszył w dół drogi. Jego mizerna sylwetka oddalała się coraz bardziej, aż zniknęła zupełnie na tle zielonego wału lasu, górującego nad wioską po drugiej stronie rzeki.

– Przyjeżdżają do lasu, jak tylko się dowiedzą, że pastuchy podeszły – opowiadał Kola. – Proponują podwiezienie łódką do wioski, ale za to chcą, żeby im renifera zakłuć. A wiesz, ile na wolnym rynku kosztuje kilo mięsa? Za takiego byka toby do Moskwy dojechali, a nie te marne parę kilometrów. – Zamilkł na chwilę, przeżuwając gniewne myśli. – Albo za butelkę ubić.

– Jedną butelkę?

Spojrzał na mnie, jakby miał ochotę w trybie przyspieszonym wysłać mnie do przedszkola.

– A co ty myślisz? – zapytał z gorzkim uśmiechem. – Myślisz, że czemu Bosman całe stado stracił? Wszystkie wyrżnął!

Poprawiłem się na taborecie, który zaskrzypiał żałośnie.

– Teraz żreć nie ma już co. Ręce tylko wyciągać umie.

* * *

Wkrótce stanęliśmy na skraju skarpy i ostrożnie zeszliśmy w dół, wydostając się na zalany jaskrawym światłem brzeg. Tatiana zmrużyła oczy i przyłożyła dłoń do czoła. Prawie dokładnie naprzeciwko nas leżały oparte nosami o brzeg dwie blaszane łodzie. Stał tam Chiejkuri, patrząc w naszą stronę, jakby spodziewał się nas zobaczyć dokładnie w tym momencie. Obok Kola i jeszcze jeden. Podszedłem uśmiechnięty do naczelnika.

– Dzień dobry, Władysławie Igoriewiczu! – przywitałem się.

Mimo że miał na imię Wiaczesław, w dodatku Sołowicz, i tak podał mi rękę. Dopiero później wspomnienie niepewnego spojrzenia, jakim mnie przy tym obdarzył, uświadomiło mi gafę. Jego motorówka była błyszcząca i wypucowana, obciążona z tyłu wielkim motorem. Za to druga łódka – pożal się Boże. Poobijana, z roztrzaskaną przednią pleksi, napędzana małym umorusanym silnikiem, na dokładkę pozbawionym obudowy. Dryblas, który ją przyprowadził, pasował do niej jak ulał, brudny i obdarty. To on codziennie woził dwie krowy przez Tutonczankę na

pastwisko po jej drugiej stronie. Kosił też siano, ustawiał je w stogach, po czym zwoził na zamieszkany brzeg do swojej nadgniłej stodoły. Jego łódź nosiła widoczne ślady krowich kopyt, które codziennie wgniatały ją w wodę, a ona mimo to jakimś cudem wciąż utrzymywała się na powierzchni. Dryblas nie wyszedł na powitanie, trzymał się z daleka, tyczkowaty i posępny w żelaznej gondoli marki Rakieta.

– No i jak? – Chiejkuri stanął nad siedzącym Maksimem wielki jak góra, powiększona mocą urzędu. – Dali ci rodzice postrzelać?

Zamarłem. Zapytany jednak wydął wargi i nie patrząc w górę, wyrecytował:

– Rodzice nie mają broni.

Zaraz też wstał i odszedł w kierunku swojego brata, który niespokojnie patrzył w naszą stronę.

* * *

– I jak oni mają tu żyć? – zapytał retorycznie Kola. – Wyobrażasz sobie życie w tajdze bez karabinu? – Mówił z pełnymi ustami, a ja obserwowałem, jak jego wargi i broda coraz mocniej się umazują na czerwono.

Przed nami na stole stał talerz wypełniony śliskimi wnętrznościami. Odkroiłem sobie kawałek wątróbki.

– Posól lepiej – poradził mi, ocierając brodę wierzchem dłoni. – I z chlebem – dodał.

Zaraz też poczułem w ustach słodki smak krwi, która wypełniała wątrobę jak gąbkę, kontrastujący z goryczką tkwiącą w niej samej. Obok pieca stało blaszane wiadro,

z którego wystawały uzbrojone w długie szpony, zaciśnięte palce właściciela tych smakołyków.

– Powiedzieli, że teraz wszystkich będą badać psychiatrzy i decydować, komu dać pozwolenie, a komu nie – ciągnął Kola. – I co, taki Łapuszkin przejdzie komisję? Dadzą pijakowi broń do ręki? A bez tego jak pójdzie na polowanie? Z czego będzie żył?

Popiłem herbatą, odkroiłem sobie jeszcze jeden kawałek, posypałem solą i już śmielej zagryzłem z chlebem. Długie palce, po trzy w każdej łapce, były brązowe i powleczone gadziopodobną łuską. Zanim znalazły się w wiadrze, widziałem też smukłą głowę zwisającą swobodnie i skrzydło ciągnące się po podłodze. Pomarszczone powieki szczelnie przykrywały duże wypukłe oczy, jak we śnie, wolnym już od bólu. Schronił się za nimi do bezpiecznej kryjówki, zatrzaskując drzwiczki na dobre.

– Spróbuj serca, najlepsze – zachęcił Kola.

Przytrzymałem je palcami, ślizgające się po talerzu, i odkroiłem plasterek. Rzeczywiście, w smaku o wiele delikatniejsze od wątroby, twarde, ustępowało dopiero po zagryzieniu, uwalniając orzeźwiający sok. Wątroba była jak wszystkie grzechy. Serce za to smakowało jak zapis poranków, kiedy promienie słońca ogrzewają wreszcie ukryte w wilgotnym cieniu leśne zakamarki.

– Idę pobiegać – poinformował mnie podekscytowany Kola.

Wchodząc do kuchni, zastałem go pochylonego nad dubeltówką. Dmuchał w lufy, sprawdzał zamki, sprężyny

i co tam jeszcze. Wydobył ją z przedsionka, gdzie drzemała ukryta w niewielkiej szafie pancernej. Obok opinii psychiatry sejf był kolejnym urzędowym warunkiem posiadania broni. U Koli był jeden, ale już w czumie zupełnie nie było gdzie takiego wstawić. Zresztą, jeśli nawet, to i tak czum nie nadaje się na adres zameldowania, a bez tego – zapomnij.

– Z tym? – pobiegać. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Fakt, sezon zaczyna się dopiero za dwa tygodnie. Patrzyłem, jak grubym płótnem ostrożnie owija przełamaną na pół broń i przytracza ją do drewnianego nosidła. W końcu przeskoczył płot. Zbliżał się wieczór, jego szczupła postać ukryta w zielonym uniformie szybko się rozpływała w matowiejącym z wolna powietrzu. Chwilę potem zniknęła zupełnie w trawach za wychodkiem, ciągnących się aż do granicy lasu.

– Chyba pójdę dzisiaj na spacer, na chuj – stwierdził, marszcząc brwi, Iwan Iwanowicz na wieść o wieczornych biegach Koli.

– A pukawka? Macie już pozwolenie? – zapytałem.

– Taaa, mam. – Z irytacją pokiwał głową. – Z dupy chyba. Nielegalkę mam w lesie, a co? Tuzowkę, na chuj. Zrobię tylko zastrzyk i zapierdalam spacerować, na chuj. – Mówiąc to, potrząsnął niewielką walizeczką z obdartego skaju, którą trzymał w ręce.

Staliśmy pośrodku zarośniętej drogi, przecinającej osadę na pół. W dole jej koniec zaznaczony był widocznym

z oddali srebrnym wozem Chiejkuriego, w górze nikła w lesie.

– A co się stało?

– A nic. Psom Demiańczuka na wściekliznę trzeba dać.

Iwan był kiedyś technikiem weterynarii przy kołchozie.

Jeździł od obozu do obozu i doglądał zdrowia reniferów. „Biały Ewenk”, śmiał się z niego Kola. Ze starych czasów zostało mu sporo towaru i co roku kupuje nowy, więc bierze czasem fuchę i robi zastrzyki.

– Tuzowką to niewiele zwojujecie – wyraziłem wątpliwość.

– Co, kurwa, nie zwojuję? – obruszył się Iwanowicz. – Człowieku! Na wiosnę łosia dostałem na chuj.

– Poważnie?

– Nie, na żarty, kurwa – obruszył się, strosząc wąsa i wbijając we mnie niebieskie oczy gotowe rzucić wyzwanie każdemu, kto rzuci wyzwanie im. Były wyblakłe jak sprana bielizna, każde otoczone białym pierścieniem. Miałem przeczucie, że to właśnie te mleczne obwódki są przyczyną ślepnięcia Iwanowicza. Kola mówił, że to spirytus. – Zaczaiłem się w lesie, bo go już wcześniej wyśledziłem. Jak tylko wylazł, to jebnąłem, na chuj, aż się momentalnie nogami nakrył. Wiesz – popatrzył na mnie – fik i leży, na chuj, cały się trzęsie i wierzga kopytami.

– Z tuzowki łosia to wyczyn.

– Taa… – przytaknął skromnie i przystawił sobie palec do czoła. – Prosto między oczy.

– Nieźle.

– Jak usłyszałem, że idzie, to myk, założyłem okulary, na chuj, i go całego zobaczyłem. A wieeelki był, skurwysyn. Od razu go nie zabiło, gdzie. Podchodzę bliżej, a ten oczami wywraca i kopytami trzepie, na chuj, i wstawać chce, ale nie może na chuj. Przestraszyłem się, żeby mi jeszcze nie spierdolił na chuj, jak się ocknie czy co, ale się nie ocknął. Potem sprawdziłem, prosto między oczy kulka weszła i mu się w mózgu zaryła tyle, na chuj, że suka, płytko jakoś. Nawet nie było krwi, nic. A mówię ci, wielki był, skurwiel, aż strach było podejść, bo nigdy z takimi nie wiadomo, na chuj. Jebnąłem go jeszcze raz, ale to chujnia. Kulka maleńka, zeszła po czaszce i tylko mu skórę przeorała. Aż podskoczył biedak, na chuj. Wiadomo, tuzowka… – Machnął ręką.

– No i co?

– A co byś jeszcze chciał, job twoju mat'? – Wzruszył ramionami. – Trzecią go dobiłem, ale dalej mi się wydawało. Niby przestał się rzucać, za to coś tak dychał i chrapał. Przestał, jak farba z niego zeszła i gotowy na chuj.

Kilka ciężkich kropel spadło na podłogę, kiedy Kola wyciągnął zdobycz z worka. Odmierzały jego drogę przez kuchnię do stojącego pod piecem wiadra. Z tego samego worka wyciągnął także reklamówkę pełną wnętrzności. Z uśmiechem podał do stołu, przekładając zawartość plastikowej torby na głęboki talerz.

– Jezu… człowieku – sarknął Iwan Iwanowicz, paląc kiedyś w drewutni papierosa – ci to wszystko muszą zeżreć na chuj. Kiedyś byłem na brygadzie i zalałem pałę

z pastuchami. Człowiek się budzi, kurwa, łeb napierdala i suszy tak, że albo zdechnąć, na chuj, albo wypić to, co oni tam mieli. Ciemno w czumie było, złapałem za kubek i piję, a tu coś słodko, jakoś tak mdło w gębie. Łyknąłem raz, drugi, tfuuuu…! Wiesz, co oni tam mieli do popicia?

– Co mieli?

– Krew, na chuj.

* * *

Siedziałem na kamieniu opatulony w kurtkę i wystawiałem twarz do słońca. Czekaliśmy. Kola, Tatiana i Maksim razem, człowiek od krów w łodzi, a Chiejkuri nade mną, zasłaniając mi co rusz te ostatnie jesienne promienie.

– Wiaczesławie Sołowiczu – zagadnąłem – jak wam się wydaje, jak oni tam mogą wyżyć bez broni?

Naczelnik błysnął złotą koroną.

– Nic się nie bójcie, jak zechcą – mówiąc to, przestał się uśmiechać i niepewnie spojrzał w stronę Koli – to i pałką zwierza ubiją.

Odwrócił się ode mnie, spacerowym krokiem podszedł do swojej łodzi i pokopał ją delikatnie gumiakiem. Kiedy ponownie zwróciłem głowę w stronę stojącej na uboczu rodziny, był już tam Dmitrij Nikołajewicz. Człowiek w łodzi pochylił się nad resztkami silnika. Nie wiadomo skąd, na brzegu pojawiły się też psy, kręcąc się chaotycznie.

– W drogę! – zarządził Chiejkuri, nasuwając kaszkiet głębiej na czoło. W łodzi stojącej obok usadowił się Kola, za nim miejsce zajęli Maksim i psy.

Kierowca wziął się do odpalania silnika. Raz! Pociągnął za sznurek.

– Oj blad'- mruknął i splunął do wody. Założył sznurek ponownie. Napięcie na jego twarzy sięgnęło zenitu tuż przed starannie wystudiowanym ruchem, kiedy jakby od niechcenia, ale z kopyta pociągnął jeszcze raz. Cisza. Tylko jakaś część, wprowadzona w ruch, poterkotała chwilę i zamarła. Powietrze rozdarł ryk motorówki Chiejkuriego, która wystartowała bez takich problemów. Odwróciłem się i w szczelinie pomiędzy czapą Tatiany a siwą czupryną Dmitrija dostrzegłem, że w końcu i tamci ruszyli, znacząc wodę białą pianą po obu stronach poobijanego dziobu. Po chwili obejrzałem się znowu.

– Już się najechali – skomentował sytuację Dmitrij, także patrzący w ich kierunku.

Malejąca błyskawicznie łódź dryfowała teraz gdzieś pośrodku nurtu, rozchwiana szamoczącymi się w niej ludźmi i zwierzętami. My za to, prowadzeni urzędową ręką Wiaczesława, mknęliśmy bez zarzutu, pokonując kolejne

szerokie rzeczne zakręty. Milczeliśmy zgodnie, silnik wył, a motorówka co chwilę podskakiwała na falach. Podobno w Moskwie między kilkoma stacjami metra namalowano komiks, przez pęd wagoników jest ożywiany i zamieniany w film animowany. My mieliśmy tu swój, z całym mnóstwem rozedrganych, ciemnych i groźnych kształtów po obu stronach rzeki. Zresztą, może tamto to bujda?

– Znamy, znamy te wasze tajne ścieżki – mruknął naczelnik, patrząc w lusterku na studiującego brzeg Dmitrija. Tatiana za to zanurzyła się w kurtkę i niepewnie wyglądała spod czapki. Wreszcie bardzo dostojnie i bez pośpiechu odsłoniło się przed nami ostatnie wzgórze, za którym otwarła się perspektywa na szerokie rozlewisko, gdzie daleko, na samym horyzoncie, przycupnął powiększający się szybko jasny okruch.

– Wioska – wyrwało się Tatianie. Mimo że doskonale znała to miejsce, miała teraz szeroko otwarte oczy i usta, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

* * *

Spacerowały zawsze we dwie. Widoczne z daleka, przechodziły przez główną drogę wolnym krokiem, wracały opłotkami, by znowu za godzinę czy pół wyruszyć na obchód. Często, kiedy patrzyłem w dół wioski, dostrzegałem ich smukłe sylwetki. Czasem, przygarbione ze zmęczenia tym wytrwałym spacerowaniem, powłóczyły nogami. Jedna z nich zawsze zakładała żółtą wiatrówkę, którą dostrzec można było nawet z daleka. Wtedy zdawała się jedyną żywą istotą w wiosce lub może właśnie odwrotnie, zjawą

przemykającą między drewnianymi zagrodami. Tu mignęła, później patrzysz w przeciwległy kąt, a tam znów żółta kurtka właśnie się skrywa za domem. Były najlepszymi przyjaciółkami albo jedynymi przedstawicielkami swojego gatunku, miały więc masę sekretów, którymi dzieliły się konspiracyjnie nachylone do siebie. Szeptały, mimo że nikt nie podsłuchiwał, a szepty te ginęły w pustce, czyniąc z nich ciche sylwetki, nieme uśmiechy, a czasem też śmiertelnie znudzone nastolatki. Kiedy dostrzegłem je po raz pierwszy, był to mój pierwszy dzień w wiosce, pierwsza godzina nawet. Zeskoczyłem na mokry piasek z głośnym klaśnięciem i od razu je zobaczyłem, stojące na skarpie, odległe i nieruchome, patrzące w moim kierunku jak zaskoczony własną rolą komitet powitalny. Dookoła nie było nikogo, a i sama wioska ukryła się za wzniesieniem. Jedynymi dowodami na jej istnienie były szereg zacumowanych łodzi, biała tablica i te dwie, zastygłe jak słupy soli w oddali. Żółta kurtka odcinała się na tle nieba, od wody biło chłodem i zapachem błota. Skinąłem ręką na pożegnanie, kolejno: kapitanowi, sceptycznie patrzącemu zza relingu, jego żonie, uśmiechniętej kwaśno, i szturmanowi śniademu jak Cygan. Stali tak rządkiem wzdłuż burty stateczku, wystrojeni, może z wyjątkiem szturmana, do pamiątkowego zdjęcia na do widzenia. Z jednej strony miałem więc tę trójkę żegnającą, a za plecami tamtą dwójkę jeszcze niewitającą. Odwróciłem się, a one tam wciąż tkwiły nieruchomo. Pomachałem im. Odpowiedziały niepewnym gestem, więc wspiąłem się mozolnie po usłanym kamieniami zboczu. Jedna z nich, ta

prawie blondynka, mieszkała kilka domów od Koli. Często, kiedy stałem na zewnątrz i na przykład obierałem czerwone ziemniaki, widziałem, jak się kręci wokół miniaturowego domku z jednym oknem zabitym deskami. To było jedyne miejsce, gdzie widywałem ją bez tej drugiej, za to otoczoną jakimiś dzieciakami, rodzeństwem, przeszkadzającym bardziej niż cokolwiek innego przy noszeniu wody. Głównie wieczorami, kiedy nie miałem co robić, szedłem, tak jak i one, na spacer. A było tak, że dziwnym trafem większość wieczorów była ładna, chmury gdzieś znikały, a niebo pozostawało błękitne długo, aż do tej chwili, kiedy Wenus zaczęła mrugać na wschodzie, a Mars na zachodzie czy odwrotnie. Moment ten przychodzi zwykle późno, więc te piękne wieczory, pełne napływającego od niedawna zimnego powietrza, były ciche i długie. Pozwalały się dobrze zaznajomić z każdym wyjącym psem, motorówką wracającą czy wypływającą i wszystkimi tymi mało znaczącymi odgłosami, które tutaj dźwięczały jak echa jakiejś odwiecznej prawdy. Po krótkim czasie zawsze je spotykałem. W różnych miejscach: na drodze, pod starym internatem nieczynnym od wielu lat, wlepiającym swoje dziesięć czarnych oczodołów w rzekę, czy koło klubu. Zamieniałem z nimi wtedy parę zdań, a one mijały mnie niczym statyczne żaglowce niemogące się zatrzymać, by nie stracić cennego wiatru.

– Gdzie idziesz? – pytały.

– Do lasu.

– Po co?

– Na spacer.

– Tam nic nie ma – dobiegały mnie już tylko rzucone przez ramię słowa.

Istniało jednak miejsce, gdzie nasze drogi schodziły się na dłużej. Wąski cypel wznoszący się nad widłami Dolnej i Tutonczanki, do którego każdy trafiał bezwiednie prędzej czy później, zaprowadzony przez jedyną drogę lub półkolistą ścianę lasu, która przypierała osadę do rzeki. Prawdziwe bocianie gniazdo. Stawały tam na skraju wysokiej, górującej nad wodą skarpy, oparte o akurat dwa słupki tej tablicy, obwieszczającej milczącemu światu swoje wypisane spłowiałą cyrylicą imię. Patrzyliśmy wtedy we trójkę na zakręt, zza którego wyłaniała się rzeka, jak w drzwi, spodziewając się chyba, że w końcu coś się zza niego ukaże i że będzie to coś niezwykłego. Nie zwracaliśmy na siebie większej uwagi, obserwując rzekę i migocące na niej majaki.

– Dużo kosztuje bilet do ciebie? – zapytała kiedyś ta ciemna, odgarniając kasztanowe włosy związane frotką.

– Do domu?

– No.

– Dużo. Najdroższy jest bilet na samolot, a pociągi też kosztują.

– Nieźle. – Pokiwała głową i utkwiła piwne oczy w wodzie.

– U was macie ruble? – zapytała z kolei rudawa o skośnych oczach.

– Nie, złotówki.

– Chrzanisz – nie dowierzała ruda.

Akurat miałem pięć złotych w kieszeni. Obrzuciły je ciekawymi spojrzeniami.

– Nieźle – powiedziała ciemna, nie spuszczając z oczu horyzontu, który zdawał się je jeszcze rozpierać i powiększać.

Innym razem było już późno, a ruda żuła gumę, robiąc różowe balony.

– Byłeś w Turze? – zapytała.

– Przecież przyjechałem tutaj z Tury.

– I co, piękna?

– Brzydka.

– Słyszałam, że piękna – westchnęła ciemna.

– A gdzie jeszcze byłeś?

– W Borze w zeszłym roku byłem.

– Byłeś w Borze? – zdziwiła się ruda.

– Bor jest niezły – powiedziała ciemna i kopnięciem wysłała niewielki kamień w dół po zboczu. Przypomniałem sobie szczelną warstwę plastikowych butelek po piwie pokrywającą tę miejscowość gęstym kobiercem.

– Straszny – przypomniałem sobie na głos pierwsze wrażenie.

– Zgrywasz się? – powiedziała, marszcząc twarz.

– Nie, poważnie mówię.

Od strony lasu dobiegły dwa przytłumione wystrzały, niosąc się miękko po okolicy. Ktoś widocznie wyszedł pospacerować, korzystając z zapadających ciemności. Zerwał się wiatr, pozbawiona już słońca rzeka tchnęła chłodem.

– U ciebie też tak zimno?

– Też.

– No co ty?! – Obróciły się do mnie zdziwione.

– A śnieg? Jest? – upewniała się ciemnowłosa.

– Pewnie, że jest.

Pokręciły głowami.

– A samochód masz?

– Nie.

– Nie masz? – ciemna jęknęła rozczarowana. – Ale żonę masz?

– Mam.

– Nieźle.

* * *

Na początku Tutonczany przypominały tlące się ognisko, zostawione przez kogoś na brzegu. Potem policzyć można było ulatujące z kominów wysokie pióropusze dymu, aż w końcu odsłaniały się kształty domów przycupniętych na łagodnym wzniesieniu. Wioska wyglądała jak wyspa albo jeszcze jedno wzgórze, tyle że wzniesione ludzkimi rękoma. Próbowałem kogoś wypatrzyć między budynkami, było jednak jeszcze daleko, przynajmniej dla mnie, bo Dmitrij wyciągał szyję, utkwiwszy w czymś wzrok.

– Ale piękna – westchnęła Tatiana.

W maleńkiej łupinie pędziliśmy w kierunku świateł żarzących się na szybach i blachach. Po prawej ręce pojawił się jęzor Tutonczanki biorącej tutaj, razem z Dolną, osadę w kleszcze, tworząc cypel z tablicą tutonczany. Początek wsi, można już było dostrzec bez trudu wielką, pordzewiałą

barkę zacumowaną przy brzegu jako przystań i dwoje satelitarnych uszu Chiejkuriego wystawionych za budą administracji.

– No i proszę, miękkie lądowanie – stwierdził naczelnik, a odwróciwszy się do Dmitrija i Tatiany, rzucił: – Wysiadka.

Ja znalazłem się na stałym lądzie chwilę wcześniej, kiedy widząc zbliżający się brzeg, wskoczyłem na blaszany dziób, potem do wody i na kamienie, żeby przytrzymać łódkę. Operacja przebiegła pomyślnie i zaraz obydwoje zeszli na ziemię. Odepchnąłem motorówkę, która oddryfowała do tyłu i z hukiem silnika ruszyła dalej w dół rzeki, na ulubione miejsce parkingowe Wiaczesława Sołowicza. Zostaliśmy na brzegu sami, pośród otaczających nas przeróżnych śmieci. Tuż przy mojej nodze wił się zardzewiały stalowy sznur, obok niego spoczywała jakaś inna bryła starego metalu. Na brzegu nie było żywego ducha, tylko szare kamienie pokrywające skarpę piętrzyły się nad naszymi głowami. Dmitrij rozprostował plecy, stęknął i przysiadł na głazie obok. Tatiana z zadartą głową lustrowała szczyt skarpy, trzymając pod ręką niewielkie zawiniątko. Zdążyliśmy wypalić po jednym, zanim w oddali ukazała się druga łódź. Płynęła ciężko i ospale, ale koniec końców i ona przybiła do brzegu.

* * *

Wiatr dmuchał, więc na rzece dziesiątki drobnych fal marszczyło wodę. Nasza łódź, pchana ryczącym motorem, podskakiwała na każdej z nich, wprawiając pokład w regularne wibracje. Tym razem pogoda była jak dzwon,

błękitne niebo ponad opalizującymi kolorami zaczynającej się właśnie jesieni. Promienie słońca i kolebotanie, jak w pekaesie. Tam z głową przyklejoną do szyby zapada się w sen w pięć minut, tu podobnie. Jeszcze buczenie silnika, modulowane każdym podskokiem, i lenistwo, rozpierająca nirwana, kiedy czuje się cały świat jak tę rzekę szumiącą pod nogami, wypełniającą żyły jak dętkę, pompującą aż do granic, gdzie tuż przed rozsadzeniem jest ten sen z nadmiaru, a nie z braku. Alosza, Kola i ja znowu pruliśmy po wodzie i tym razem śniłem, że zjeżdżamy na sankach z olbrzymiej, sięgającej nieba góry, po pełnym kamieni stoku, w nieznane. Przez moment nawet wydało mi się, że jesteśmy samotnym, poobijanym garnkiem, porzuconym w ogromnej, wymiecionej do czysta szafie. Wtedy Alosza szturchnął mnie lekko i wskazał coś majaczącego daleko na nasłonecznionym brzegu. Takich wybielonych wodą i słońcem pni, głazów-odmieńców, niedźwiedzi-albinosów w mojej głowie było bez liku, a forma przed nami dawała się swobodnie dopasować do każdej z tych matryc.

– Pies! – krzyknął Alosza, i kształt zaczął się formować w psa. Taki pies nie-pies, bo wciąż wielokształtny i powyciągany.

– Czyli są! – krzyknąłem do Koli.

Tamten nic nie mówił, tylko wpatrywał się uważnie. Silnik mimo całego swojego buczenia zdawał się zbyt słaby, żeby pchnąć nas choćby jeszcze odrobinę bliżej lądu. Nagle kształt na brzegu podzielił się na dwa punkty falujące niedaleko siebie. Kola roześmiał się, podczas gdy z wyraźnie

już widocznych punktów oddzieliły się kolejne cztery, stając wzdłuż linii wody. Teraz widać było jak na dłoni przecinki ludzkich sylwetek, oddalonych o kilka metrów od siebie.

– Oj, Locha! – parsknął Kola. – Okulista czeka. Alosza bez słowa skierował dziób łodzi prosto w ich kierunku. Podobno dwadzieścia pięć niedźwiedzi naliczył kiedyś na brzegu Chiejkuri, płynąc kutrem z Tury do Tutonczan. Tłum w porównaniu do tych sześciu komarzych postaci. Skacząc między kamieniami, podbiegli do nas, niewielcy i szczupli. Wydawali się Pigmejami wysłanymi na zwiady przez dwie większe postacie trzymające się z tyłu, dzierżące w rękach długie tyczki. Kola zeskoczył z łodzi, jednym machnięciem ręki zbył opalonych na ciemny brąz chłopców i z powściągliwym uśmiechem uścisnął dłonie mężczyzn.

– Dorowa Baje. – Kiwnęli na mój widok głowami. Dwaj bracia, Alek i Nikita Mukto. Przyglądali się ukradkiem, zdawkowo odpowiadając na równie lakoniczne pytania Koli. Wyszło, że jego rodzice są cali i zdrowi razem z nimi w obozie. Wszyscy przyszli wczoraj w południe, spóźnieni, bo lało. Obojętny wyraz twarzy Alka równoważyły ściągnięte w skupieniu brwi Nikity, co chwilę łagodzone rozdawanymi wszystkim uśmiechami i zaraźliwym rechotem. Pomału, z zaskakująco oszczędną ospałością, skierowaliśmy się gęsiego w górę skarpy, aż do ścieżki, na której byliśmy tydzień temu. Dyskretnie wyrzuciłem pięć rubli w gęstniejące z każdym krokiem zarośla. Wydało mi się, że szelest i brzdęk upadającej monety rozszedł się dźwięcznym echem po lesie, wydało mi się też, że idący przodem Nikita

odwrócił lekko głowę i spojrzał na mnie uważnie kątem oka. Wkrótce między drzewami dało się słyszeć szczekanie, po czym wyrosły przed nami dwa brytany. Natychmiast kiedy się zorientowały, że oprócz swoich jest tam ktoś jeszcze, nastroszyły sierść na karkach. Zniknęły gdzieś równocześnie z wyłonieniem się tuż przed nami szarego stożka czumu, u wejścia którego czekali Dmitrij i Tatiana. Byli jak sękate pnie, jakoś też przezroczyści, prawie niewidoczni. Wór z grubego płótna, który przydźwigaliśmy, ustąpił bardzo szybko pod natarczywymi palcami Tatiany. Bracia Mukto odeszli do swojego namiotu, a tymczasem gospodyni sprawnie zagarniała konserwy i wkładała je do stojących rzędem juków. Cukier, mąka, herbata, zupki chińskie, papierosy, dwie laski kiełbasy i pięć bochenków chleba. Ten chleb pieką w wiosce przez pięć dni w tygodniu, od poniedziałku do piątku. Gdy go kupowałem, był piątek, co oznaczało, że każdy musiał kupić sobie dwudniowy zapas chleba. Wybrałem się więc na dziesiątą do sklepu, a tam w środku już stało kilkanaście kobiet i dochodziły coraz to nowe. Zaraz też kolejka nie tyle się wydłużyła, ile urosła w masę, z wąskiej pojedynczej niteczki przeistaczając się w gruby warkocz splątanych sąsiedzkich przysług, uprzejmości, wcześniej zajętych miejsc i sprzeczek tych z tyłu, wystraszonych pęczniejącą w oczach wizją braku chleba. Stałem wciśnięty między korpulentny tłumek przebierający nogami naprzeciwko lady, za którą królowała sklepowa w świetlistej aureoli swetra z angory, koloru wrzosowego. Nie miała szczególnie szczęśliwej miny

i patrzyła z politowaniem na nas, klientów, wyczekujących nerwowo. Nagłe poruszenie towarzyszyło zjawieniu się mężczyzny dźwigającego biały worek, zaraz też wczłapał po schodach drugi, starszy, poprószony siwizną i mąką, która sypała mu się na głowę i za kołnierz. Obaj pomogli sprzedawczyni ustawić na szerokiej ladzie wielopoziomowy mur z ciepłych jeszcze bochenków i zza niego rozpoczęła się sprzedaż. Co rusz podchodziła kobieta i prosiła w rytm klekotu paciorków liczydła o dwa bochenki, trzy bochenki. Jeden bochenek wzięła Nina, zmęczona i zła. Już miałem poprosić o te swoje sześć-pięć do lasu, jeden dla Koli, i zastanawiałem się, jak to przyjmie tył kolejki, bo chlebowy mur topniał jak śnieg w maju, gdy na środek sklepu wkroczył Iwan Iwanowicz, przeklinając i wysilając wyblakłe oczy w poszukiwaniu czegoś. Akurat stałem przy ladzie, więc kiedy tylko mnie rozpoznał, rozpromienił się cały, podszedł do mnie i poklepał po ramieniu.

– No, Andriucha, weź mi dziesięć bochenków, na chuj.

Tłum kobiet zafalował, a moje serce zabiło szybciej. Wystarczył jeden rzut oka na ladę, by to zrozumieć. Iwanowicz powiódł tylko wzrokiem po kolejce jak kapral po szeregu, poprawił dres i wycofał się po skrzypiącym linoleum, zostawiając mnie samego ze zwiniętym plikiem banknotów w dłoni.

– Szesnaście bochenków poproszę – wyjąkałem pod pytającym spojrzeniem ekspedientki. W sklepie zapanowała grobowa cisza, ucichły szepty, rozmowy i skrzypienia. Sklepowa tylko na mnie spojrzała zmęczonymi oczami.

– Koszmar – westchnęła głośno.

Kobiety odprowadziły wzrokiem każdy bochenek znikający w mojej siatce, potem w drugiej. Kiedy sprzedawczyni skończyła, na ladzie zostały jeszcze trzy chleby. Czym prędzej wyszedłem. Na brzegu drewnianej rampy siedział, machając w powietrzu nogami, Iwan Iwanowicz. Przyglądał się przejeżdżającej właśnie wolno i z hukiem ciężarówce.

– I chlebek jest – zamruczała Tatiana z zadowoleniem, kiedy odkryła te pięć bochenków na spodzie worka. – A tak to byśmy częstowali naszym, ewenkijskim – powiedziała, obdarzając mnie przelotnym spojrzeniem.

Zaproszeni przez Dmitrija, weszliśmy do środka, gospodyni podała herbatę, było dużo śmiechu. Alosza nie wytrzymał długo w kucki i pobiegł zaraz do chłopaków siodłać renifera, krzycząc, że jak już tu jest, to się musi, kurwa, na jednym przejechać. Przez uchylone wejście widziałem jego niezdarne próby wspięcia się na dorodnego wierzchowca.

– Usiądź sobie wygodnie – zachęcała mnie Tatiana. – Ty pewnie nieprzyzwyczajony, żeby tak siedzieć. Kolana bolą.

Kola przez cały czas niewiele się odzywał, spoglądał tylko na ojca z jakimś trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. W końcu przechylił kubek do dna i orzekł, że na nich czas. Zawołał Aloszę, wstał i wyszedł na zewnątrz. Po chwili tamten zajrzał do czumu.

– Ty tu zostajesz? – zapytał z niedowierzaniem i troską w głosie. – Sam?

Trzej chłopcy byli już gotowi, każdy trzymał swoje zawiniątko, jakiś koc czy kołdrę. Skorzystają z okazji i wrócą do domu. Rodzice oddali ich do tajgi na wakacje, żeby się uczyli leśnego życia, teraz zaczyna się rok szkolny i czas do mamy.

Na odchodnym Kola zdążył jeszcze powiedzieć, że za tydzień wróci z dwiema łodziami i zabierze nas do wioski. Staliśmy tam jak po wizycie hałaśliwej rodziny. Dmitrij, Tatiana, smarkający Maksim, Nikita, Alek i wysoki Sława, który pojawił się nagle z nonszalancko nasuniętą na głowę czapką moro. I ja, czujący się w tamtej chwili jak wczasowicz, co przysnął na rowerze wodnym, teraz obudzony kołysaniem fal otwartego morza. Przenieśliśmy się wszyscy do środka, prawie zapomniałem, że dwie flaszki dzwoniły w plecaku. Pokroiliśmy kiełbasy, chleb, Nikita przyniósł od siebie dwie piękne ryby. Wódka była prawdziwa, szybko przeleciała jedna i druga kolejka, omijając tylko Maksima, bo za młody, i Sławę, bo nie pije. Powietrze wypełniał perlisty śmiech Tatiany, któremu wtórował czasem basowy Nikity. Cienie rosły i ni stąd, ni zowąd zrobiło się dookoła zupełnie ciemno.

– Jak chcesz, pójdziemy jutro, to ci pokażę – zaoferował się Nikita, który właśnie opowiadał o niedźwiedziu, którego ubił, a czerep zatknął na palu niedaleko stąd.

– Ty to jesteś towarzyski człowiek, od razu widać – wyznała bełkotliwie Tatiana.

Siedzieliśmy ciasnym kręgiem i nikomu nie chciało się nigdzie wstawać, ciepło opatuleni kocami, ogniem i wódką.

Przyszło mi do głowy, żeby wyciągnąć z plecaka dyktafon Sony. Wzbudził powszechne zainteresowanie, więc go włączyłem.

Taśma zaczęła swój spokojny obrót.

Powtarzam teraz nagranie, tak jak wiele razy przedtem:

– Dobrze, dobrze, już się kręci – Sława.

– Wszystko ok, weź coś powiedz – ja.

– Już, już. Poczekaj chwilę, ona się musi trochę przewinąć i wtedy można nagrywać – Sława.

W tle suchy szum ogniska.

– Noo… już nagrywa! – Alek.

Trzask wyłączanego urządzenia, trzask, ponownie mój głos:

– Lalala, odin, dwa, tri… Przyjechałem do czumu Muktów i Hukaczarów. No wszystko. – W tle śmiech Nikity i basowe mruczenie Dmitrija.

– No już, popróbujmy – ja.

Trzask, pauza. Sława śpiewa piosenkę:

> Pasterz stary, mój ojciec [śmiech Tatiany w tle]
> W jasny dzień jesieni
> Żadnemu nie da uciec
> Ze swoich jeleni Żadnemu nie da uciec
> Ze swoich jeleni

Potem Sława zacina się i milknie.

– Żadnemu nie da uciec… eee.

– Ładnie śpiewa. Dajcie, ja wam zaśpiewam. Po ewenkijsku – Tatiana.

– Zaśpiewaj – Sława, trzask i przytłumione czyjeś zachęcanie: – Zaśpiewaj, zaśpiewaj.

– Tak? – Tatiana.

– Nie, tak trzymaj… o tak – Sława.

Cisza. Trzask, Tatiana bierze głęboki oddech i zaczyna pieśń:

Dila ciaka, garpa jeren Dila ciaka, garpa jeren Ajul, ajajul Ajul, ajajul Oron korbi girku jeren

Śpiewa wolno, każde słowo przeciągając do granic możliwości, z pijackim namaszczeniem.

– Dilasaka girku. – Tatiana po hauście powietrza zaczyna znowu i widzę oczami wyobraźni, jak rosną w ciemności liście na splecionych ze sobą gałązkach. Niechcący wcisnęło mi się przewijanie, zaraz potem dałem stop. Trzask. Śmiech Tatiany i aplauz zebranych. Trzaski i pauza.

– Aha… dobra… to idzie tak. – Sława. – A w tę białą… nie… – poprawił się.

A w tę białą krainę
Znowu, znowu ja przypłynę
Raz jeszcze w tańcu popatrzeć
Na jakucką dziewczynę

W tle ktoś zaczął klaskać, chyba ja, może Nikita, wszyscy się przyłączają, śmieją się.

Na śniegu ciemnieją cienie O nich dumają jelenie A przejrzysty księżyc świeci Sierść im posrebrzając A w tę

białą krainę Znowu, znowu ja przypłynę Raz jeszcze w tańcu popatrzeć Na jakucką dziewczynę

– Ładnie śpiewa – Tatiana, trzask i pauza. Tatiana:

Dila ciaka, garpa jeren

Dila ciaka, garpa jeren

W tle niski głos Dmitrija starającego się nadążyć za żoną, nucącego cicho:

Ajul ajajul

Trzask, koniec nagrania, kaseta obraca się nadal, ale nic nie słychać, czysta taśma.

– Ejj… kiedy człowiek tego słucha… – roztkliwił się Dmitrij – to coś w sercu kłuje i tęskno, i smutno. – Sięgnął po drugą, ledwo co napoczętą butelkę i polał do kubków.

– Trzeba zasłużyć na kaca – powiedziałem.

Towarzystwo ryknęło śmiechem.

– Ano – wzruszył ramionami – wam młodym to niewiele trzeba. – Tatianie nalał podwójną porcję.

– Niiiic… się nie bój – powiedziała uspokajająco, kładąc mi rękę na ramieniu. – Głowa nie będzie cię bolała, w tajdze nigdy nie boli.

– Nie to, co w wiosce – dodał Dmitrij.

– A tam – machnęła ręką – na to też są sposoby. Zresztą to ciekawe. Człowiek raz się napije i go głowa boli na drugi dzień, a pije bez przerwy przez tydzień i nic.

Wszyscy zgodnie przytaknęli.

– Nie bój się – powiedziała Tatiana, rozkładając pościel, kiedy już Muktowie wyszli. – U nas wszystko czyysste,

mówię ci, nic się nie bój, wszystko jest czyste, zdejmuj spodnie i kładź się, w spodniach nie będziesz spał, nie bój się, nie zmmarrzniesz.

Dmitrij obok już cicho chrapał z mocno zaciśniętymi powiekami.

* * *

Wszyscy razem wspięliśmy się po zboczu i dalej, w górę wsi, do domu. Psy szybko gdzieś zniknęły, pozostawiając nas pośrodku drogi pełnej żółtej trawy. Gdzieniegdzie kręciły się obok domów jakieś postacie, słychać było głosy, komuś heavy metal zgrzytał z magnetofonu. Tatiana kroczyła zadowolona i onieśmielona zarazem.

– Andrze – mówiła w uniesieniu – jakie te ulice są ładne, aż przyjemnie się po nich przejść.

Kola szedł pierwszy, kilka kroków przed nami, ostatni Dmitrij. Odwróciłem się. Został z tyłu, bo się zapatrzył na krasulę wyprowadzaną właśnie zza rogu pokrzywionej chałupy.

– Co za zwierzę – mlasnął z niedowierzaniem. – Powiedz sam, aż przyjemnie sobie popatrzeć.

Ruszyliśmy, ale już nie w zwartej grupie, bo okazało się, że Kola poszedł coś załatwić, a Tatiana rozmawiała na boku z kobietą w prochowcu, spieszącą gdzieś ze spuszczoną głową.

– Sanczo!

Dmitrij Nikołajewicz przystanął i odwrócił się roześmiany w kierunku, z którego dobiegło wołanie. Opodal przy płocie stał starszy już jegomość w grubych jak denka od butelek

okularach. Trzymał się sztachet oburącz i uważnie wpatrywał w nasze postacie.

– Sanczo! – powtórzył wołanie, które zabrzmiało teraz jak suche szczeknięcie.

Dmitrij wolnym krokiem skierował się w jego stronę.

– Sanczo! To ty, na chuj?

– A myślisz, że kto?

Nie czekając, aż Dmitrij dojdzie, stary niezdarnie zaczął przełazić przez płot. Kiedy z niemałym trudem tego dokonał, okazało się, że jest tylko w samych szarych od brudu kalesonach, postrzępionych nad bosymi stopami.

– Jak się cieszę! – krzyknął, stając na ugiętych, chudzieńkich nogach. Objął z całych sił Dmitrija. – Jakie piękne jest życie! – zawołał głośno, po czym mocno objął i mnie. Był niski, sięgał mi najwyżej do ramienia. Z oczu, wielokrotnie powiększonych przez soczewki okularów, płynęły łzy wzruszenia.

Uwolniłem rękę z kurczowego uścisku, człowiek się zachwiał, odzyskał równowagę i raz jeszcze objął Dmitrija. Łzy płynęły nadal, z szeroko otwartych w euforii ust śmierdziało spirytusem.

– Co za radość! Jakie dobre jest życie! – Jego wołanie nie dochodziło nawet do sąsiedniego płotu, gaszone przez mokrą szmatę ciszy, rozpostartą ciężko nad naszymi głowami.

* * *

Siedzieliśmy we dwóch przy stole w ciemnym, odrapanym pomieszczeniu. Ściany były koloru ziemi, a w rogach,

pożerane przez grzyb, odłaziły duże płaty tynku i farby. Przez szpary w deskach, którymi zabito okna, sączyło się światło trwającego w najlepsze dnia. Tutaj jednak grobowa stęchlizna otulała nas szczelnie. Stół pokryty pociętą ceratą i dwa taborety stanowiły komplet wyposażenia kuchni. W przylegającym do niej pomieszczeniu stała jeszcze połamana prycza. Zza stołu patrzył na mnie starzec. Ciemną twarz przykrywały ekrany okularów, śmiesznie powiększających parę rozmytych oczu, wpatrzonych we mnie ze złością. Reszta ciała spoczywała w wiśniowym dresie, oparta plecami o zrujnowany piec, na którym stał blaszany garnek. Nad naszymi głowami na powiązanym sznurku wisiały posępnie jakieś ubrania.

– A co?! – pytał zirytowany, poprawiając szybkim gestem złamane raz i sklejone plastrem masywne oprawki, ciągle spadające mu na nos. – Człowiek nie ma prawa się napić po robocie?! No, nie ma prawa?! – dopytywał się, podkreślając każde słowo kiwnięciem siwej głowy, jak dziecko, które się uprze i tupie nogą. Siedząc ze mną w półmroku swojego domu, a raczej domu, który dostał, jak wszyscy, w przydziale, wspominał stare czasy i wpadał w coraz większą złość. Było stado, olbrzymie, parę tysięcy głów, pięć brygad pasterzy i co z tego, do chuja, zostało? Wszystkiego ile? Kopiejki tylko. Czterdzieści? Pięćdziesiąt sztuk? – No, nie ma prawa? – Kiwnął głową jeszcze raz jak ten pluszowy piesek, co jeździ w autach za tylną szybą.

Brudna zasłona w kwiatki zwisała na oknie, z jednej strony oddarta od przytrzymujących ją gwoździ.

Udrapowana w ten sposób, spływała na podłogę ułożoną z szerokich desek poprzedzielanych ciemnymi szparami, z których kipiała bura wata pleśni. Powiększone, wytrzeszczone oczy wpatrywały się we mnie, głośniejsze od poruszających się zapadniętych ust.

– Idź do domu! Stary, idź do domu, na chuj! – cienkim głosem wołała Olga przechylona przez płot.

Kręcił się w kółko na środku drogi, z kalesonami zwisającymi do kolan i lustrami okularów odbijającymi niebo. Kilka kroków w prawo, kilka w lewo, aż w końcu się zatrzymał. Nawoływanie Olgi, która zresztą dała sobie już spokój, zbył gniewnym machnięciem ręki. Stałem jak słup soli oparty o drewnianą ścianę. Chwilę wcześniej przelazł przez płot i szurając nogami, przyszedł pukać do drzwi Łapuszkina. Tam było zamknięte na głucho, ale on uparcie walił w drzwi. Ostatecznie dał za wygraną. Wrócił na środek ulicy i nie wiedząc, co dalej, patrzył dookoła zdziwiony. Zrobił krok do tyłu, ale klapnął na tyłek. Chwilę siedział tak, jakby odpoczywał, podziwiając panoramę wioski i lasu. Wstał, międląc w ustach jakieś przekleństwa czy pretensje. Podreptał z powrotem. Nie mógł otworzyć furtki, więc przeszedł znowu górą i po długim trzymaniu się oburącz drewnianej belki podtrzymującej ganek, zniknął w trzewiach swojego domu na dobre.

* * *

W końcu luźną grupą zaczęliśmy się schodzić u furtki Koli, w której stała już zaaferowana ciocia Walia. Miała ładną,

pociągłą twarz i czarne oczy, od których rozchodziły się pęki zmarszczek. Z obu stron wystających kości policzkowych sypały rubinowymi iskrami kolczyki. Z ich obecności w tym właśnie miejscu byłby zadowolony jeden handlarz z Floriańskiej w Krakowie, co w nagrodę za dobrą pracę lub na pożegnanie wcisnął mi garść tych tandetnych piękności z barwionego szkła.

– Długo wam tam zeszło – zaczęła z pretensją w głosie, udając oburzenie, które miało pomóc jej zachować kamienną twarz.

– Trzeba było na łódkę poczekać – rzucił niby skruszony Dmitrij i wzruszył ramionami.

– Sanczo! – zawołał Bosman, który pojawił się nagle Bóg wie skąd, tym razem z połową twarzy zasmarowaną fioletem i rozległą, strupiejącą już raną na czole.

– Pansa – Dmitrij zachichotał pod nosem.

* * *

Zawodnicy kolejno rzucali oszczepami, młotami, pchali też kule i skakali przy błyskach fleszy przez płot, płotki i wzwyż. Byli kolorowi i sponsorowani przez Nike, Adidasa, Pumę. Z nieba lał się żar, pewnie ze trzydzieści stopni, a wiatr unosił reklamy, narodowe flagi i samych zawodników, miotając nimi w powietrzu jak zeschłymi liśćmi. Ciocia Walia klęczała przed telewizorem, pochylona nisko nad kilkoma płatami skóry rozłożonymi na podłodze. Z wielkim hukiem i zamieszaniem nagle skończyło się studio olimpijskie, czarne pudło wybuchło reklamami. Dużym nożem wykrajała wzór na unty. Wszystko miała starannie

rozłożone, jakieś nici, ostrza, skórę, gumowe podeszwy na traktorze i pęk rzemieni.

– Nie przemakają? – zapytałem, a ona tylko pokręciła przecząco głową.

W telewizorze dwóch młodzieńców na łodzi z żaglem rozkoszowało się twixami i dziwnym zbiegiem okoliczności czy przez nieuwagę dopłynęło aż na Antarktydę, która zamieniła się w wielkie opakowanie twixów.

– Bez tych unciaszków tobyś tu w zimie nogi na ulicy zostawił – powiedziała jeszcze, zanim się wzięła do pracy.

Zamówienie było dla wnuczki, więc i materiału dużo nie zejdzie, bo nogi małe, za to jak dla dziewczyny, to potrzeba czego innego. Dwie filcowe szkatułki obsypane gradem kolorowych koralików kryły ich w sobie więcej, niebieskich, czerwonych i przeróżnych. Paciorki układane były potem w pasy, gwiazdy i ślimaki.

– Jak przyjadę do was w zimie, to też mi takie zrobicie?

Spojrzała na mnie przelotnie i z powrotem pochyliła się nad pracą.

– Człowieku, gdzie ty się będziesz wybierał tutaj w zimie. – Pokręciła głową. – Musiałbyś do reszty zwariować.

Zaczął się teleturniej. Facet z czarnymi wąsami stał na niebieskim tle i trzymał tabliczkę ze swoim imieniem: Wiktor. Burza oklasków. Jedna cholewka była już wycięta, potem druga, pięta i skończone.

– Ojej! – Ciocia wstała i przeciągnęła się, trzymając oburącz za krzyże. – Starczy, herbaty chodź się napić – zakomenderowała. – Tak, tak – kontynuowała, mieszając już

zupę w garnku – za żadne skarby świata bym już do czumu nie wróciła. – Nalała, nie żałując kawałków łosiny, które wyławiała i układała na brzegu talerza. – Naprawdę nie wiem, jak ja dawniej mogłam tam wytrzymać.

Wszedł Kola, przywitał się i zsunął gumowe trzewiki. Powiedział coś do cioci Walii.

– Boże mój – jęknęła – mów do mnie po rusku albo się po naszemu dobrze naucz. – Dołożyła jeszcze jeden talerz i nalała. – Mówi coś do mnie i myśli, że go tak zrozumiem – zamruczała gniewnie.

Kola usiadł pokornie przy stole i zaczął obracać łyżką, mlaskaniem zagłuszając nawet teleturniej.

– To kiedy pójdziemy na jagody? – zagaiła po chwili milczenia ciocia, trzymając papierosa w ustach.

– Ja nie mogę dzisiaj – odpowiedział Kola.

– Ja mogę.

Gospodyni posłała mi pełne krytyki spojrzenie.

– I co z tego? Zgubilibyśmy się we dwoje. Trzeba chłopa, który zna tamto miejsce.

Umilkłem dotknięty.

– Tam to ja też się gubię – wyznał Kola, po czym odsunął talerz i wstał od stołu.

* * *

Ogród tonął w mroku. Spływała na niego poświata księżyca w pełni, który wisiał gdzieś po drugiej stronie dachu. Jak projektor w kinie spokojnie emitował falę bladych promieni. Było zimno, prawdziwą ozdobę tego chłodu stanowiły gwiazdy, mrugające z ciemnych partii

nieba, wolnych od przypływu księżycowego światła. Wiatr rozwiązał języki wszystkiemu dookoła, skrzypiącemu, szumiącemu, stukającemu teraz, a to dyskretnie, a to głośno i nachalnie. Całe towarzystwo gdzieś się rozeszło. Kola nie wiadomo gdzie, Dmitrij z żoną kilka razy tego wieczora już mi mignęli otoczeni gromadą znajomych, Maksim u swojej starszej siostry Ludy, sprzątaczki w administracji. Drewniana kładka do wychodka opalizowała srebrzyście. Stukałem po niej butami, przechodząc obok pochylonych liści ziemniaków, pokrywających się już pomału nocnym potem rosy. W środku ogarnęła mnie ciemność, tylko pomiędzy szparami rozklekotanych drzwi widać było w całej okazałości wielkie oko zawieszone nad domem, bliskie i jasne, bez jednego mrugnięcia wpatrujące się w moje serce. W drodze powrotnej usłyszałem klapnięcie furtki, zatrzymałem się ciekawy, kogo niesie. Zaraz też na rogu domu stanęła wysoka postać we włochatej kurtce. Odetchnąłem z ulgą. To Nikołaj, nie mój, inny. Podszedł do mnie ciężko. Miał białe, zmierzwione włosy i kanciastą szczękę. Patrzył wyczekująco.

– Wejdziecie? – zapytałem.

– Nie, nie – zaprzeczył zachrypniętym głosem. – Zdjęcia przyniosłem – powiedział i wręczył mi niewielki, przewiązany kawałkiem sznurka pakunek.

– Kiedy wam oddać?

– Weź sobie – powiedział. – Mi one już na chuj potrzebne. – Rzucił i nie poczekawszy na odpowiedź, zniknął za rogiem.

To było w administracji, tym gabinecie Chiejkuriego ze skrzypiącymi krzesłami i piecem na korytarzu. Nikołaj chciał nowy dowód osobisty i musiał wypełnić papiery. W swojej kurtce z czarnego misia sam wyglądał jak niedźwiedź. Pochylał nisko nad formularzem zorane zmarszczkami czoło. Chiejkuri mówił do mnie coś o jakichś zdjęciach wioski, nagle powiódł wzrokiem po sali.

– Nikołaj Władymirowicz! – powiedział głośno. Tamten przestał pisać i przymknął przekrwione oczy. – Wy macie zdjęcia, prawda?

Nikołaj zwilżył spierzchnięte wargi językiem i podniósł na nas zmęczony wzrok.

– Dacie zdjęć na pamiątkę obcokrajowcowi?! – huknął naczelnik.

– Mogę dać – wychrypiał, pochylając się z powrotem nad kartką.

Zapaliłem światło w pustej kuchni, podsunąłem sobie taboret. Paczka była pękata, składały się na nią zdjęcia związane jak plik listów. Z trudem rozsupłałem zaciśnięty węzełek. Na pierwszej, strasznie pomiętej fotografii były strzeliste czumy rozbite między domami w wiosce, tej samej, tylko jakby nowszej. Obok jednego z namiotów dwie ciemne postacie, posiekane pajęczyną białych załamań. Potem kolejna, nieostra, na której Nikołaj, w czarnym golfie, robił straszną minę. Miał wtedy krótką brodę i nie więcej niż trzydzieści lat. Następnie zdjęcie legitymacyjne, ale tym razem nachmurzona kobieta z kokiem patrzyła w dal. Usta w ciup i przechylona głowa, jak to u fotografa. Jakbym

słyszał: „Tak, tak, dobrze, trochę w lewo, w prawo i w górę, taaak”. Kolejne było kolorowe, choć kolorów w nim właśnie zabrakło. Przez środek biegła czarna kreska lasu, nad nią białe niebo, a pod nią biała, zamarznięta rzeka, cała poorana niebieskimi bruzdami jak pole ciągnące się po horyzont. To wszystko pod czujnym okiem psa, co stulił uszy z zimna i pełnił tylną straż za maleńką karawaną postaci szarych jak on sam. Na jej przodzie szedł pochylony przewodnik w futrzanym kapturze, wsparty na długim kiju dźgającym niebo wysoko nad jego głową. Za nim trzy tłuste renifery, uwiązane do sań, na których przysiadła kobieta ukryta pod wielką czapką. Zakończenie roku w którejś klasie, pełno warkoczy i chałatów z białymi kołnierzykami. Na innym dziewczynka w rajtuzach, z aureolą białych, prawie przezroczystych kokard wpiętych po jednej w każdy kucyk. Weszła potem na kolana Nikołaja, ogolonego, uśmiechniętego, w koszuli w prążki i z kołnierzem tak spiczastym, że gotów był powybijać jego córce oczy. Sikał na pień i śmiał się do fotografa przez ramię. Sześć zabitych wilków leżało rozciągniętych na śniegu jak śpiące psy, a on nad nimi, dumny i dużo starszy. Później impreza. Kobieta z kokiem już bez koka siedziała trochę sztywno na wersalce. A dziewczynka wciąż taka sama, nie starzała się na żadnym ze zdjęć, na jednym w ogródku, na innym znowu w kokardzie. Na stole rósł stos odkładanych fotografii, niektóre zwijały się w rulony, inne błyszczały matowo. W piecu strzelał ogień i zacząłem się zastanawiać, co tym

razem próbuje mi powiedzieć, nie zważając, że w jego języku wciąż nie rozumiałem ani słowa.

* * *

– To jest Saszka – powiedział Kola, wskazując na niewielkiego chłopaka na czarno-białej fotografii. – Mój najlepszy przyjaciel. – Wyciągnął ze swojej meblościanki album ze starannie ułożonymi zdjęciami. – Każde wakacje spędzaliśmy w lesie z rodzicami. – Kola uśmiechał się do swoich wspomnień. – Kiedyś uciekliśmy z obozu, żeby się wspiąć na jedną górę. Nikt tam nie chodził. Po drodze się okazało, że była dalej, niż się można było spodziewać. Noc nas zastała, pogubiliśmy się i za nic nie mogliśmy trafić z powrotem. Ale wiesz co? Nikt nas nie szukał. Ojciec powiedział matce, że jak nie trafimy do obozu, to i tak nic z nas nie będzie i prędzej czy później przepadniemy.

– I co?

– Całą noc i cały drugi dzień się błąkaliśmy, w końcu Sasza usłyszał z daleka dzwonki reniferów. Poszliśmy za nimi i dotarliśmy. Ojciec się śmiał, że prawdziwych pasterzy chowa, bo akurat przygnaliśmy parę sztuk, o których myślał, że już je dawno wilki zjadły.

– Gdzie Sasza teraz jest?

– Spalili go.

– Spalili?

– Zaparli drzwi do zimowiska w lesie i podpalili. Z dwoma innymi jeszcze w środku.

– Kto?

Wzruszył ramionami.

– Sasza miał pecha, taki los. Z takiej rodziny był. Jeden już z nich tylko został. O. a widzisz tego? – Wskazał na najwyższego chłopaka w kilkuosobowej grupce rozpartej na ogrodzeniu. – Tego zastrzelili w Czirindzie.

– Dlaczego?

– Popijanemu.

Kola nie miał wiele tych zdjęć, kilka zaledwie, oglądanie poszło szybko.

– Tak tu się żyje. – Wstał od stołu i schował album do szafki. – Myślisz, że to już wszyscy? – zapytał gorzko. – Właśnie zeszłej zimy znaleźli jednego, do klasy z nim chodziłem. Ruscy mówili, że pijany, ale jeśli nawet. Zostawili go jak psa samego w lesie, na śmierć, rozumiesz? Jak psa.

Oparł się o stół i patrzył na coś za oknem, próbując przebić wzrokiem zarastającą je roślinność.

– A ty się nie boisz? – zapytałem.

– Ja nie wierzę w śmierć. – Zaczął zakładać trzewiki, przekroczył wysoki próg i już go nie było. Mignął mi za oknem, słyszałem, że kogoś wołał.

* * *

Para szła z ust. Biały tuman opadał, odsłaniając błękitne niebo, co po nocy jak kryształ wróżyło taki sam dzień. Szedłem środkiem drogi, przemieniającej się z każdym moim krokiem w rzekę spływającej zewsząd gęstej mgły. Zgraja wron przysiadła na zwisającym luźno przewodzie elektrycznym, rozwieszonym na pochylonych słupach. Ptaki były puchate i przyglądały się, kiedy przechodziłem obok,

każde jednym okiem. Pachniało lasem. Ludzie spali, oszroniona ulica była zupełnie pusta. Gdyby żył tu jakiś kogut, pewnie piałby teraz. Furtka obok otworzyła się z cichym skrzypnięciem i na ulicę wyszła zamyślona Olga, żwawym krokiem kierując się w moją stronę. Jej siwe włosy wciąż związane były szalikiem w stylu korsarskiej chusty, szła lekko pochylona ze wzrokiem wbitym w ziemię. Odskoczyła wystraszona, kiedy weszła prosto na mnie.

– Aaa, to wy – odetchnęła. – Nie poznałam. – Przystanęła i przyjrzała mi się zmęczonymi oczami. – Byłby z was przystojny mężczyzna, jakbyście się ogolili – dodała i powędrowała dalej.

Jeszcze parę kroków i już płot Koli, jak wszystkie tutaj szczerbaty i pokryty zielonkawym nalotem. Od strony domu piętrzył się stos ułożonych równo drewnianych klocków, od ulicy wdzierała się fala pożółkłej trawy. Tuż przy płocie w wygniecionym w niej legowisku spoczywała skulona, ciemna postać. Podszedłem bliżej. Czarna kurtka, czapka i kolorowa spódnica nasiąkły wilgocią i ciężkie przywarły do ciała. Nie widziałem twarzy ukrytej w trawie, ale nie potrzebowałem tego, by rozpoznać Tatianę. Leżała bezwładnie z jedną ręką ułożoną tak, jakby kogoś obejmowała, a drugą podkurczoną pod głową. Kurtkę znaczyły smugi białego szronu i wymięte, zielone ślady odciśnięte na śliskim materiale. Była jak szmaciana kukiełka porzucona tutaj przez znudzone dziecko.

– Odpoczynek? – głos za moimi plecami wyrwał mnie z odrętwienia. Odwróciłem się. Stał za mną Mistrzu, patrząc

nieruchomo. Miał bardzo delikatną, bladą twarz, co jeszcze mocniej podkreślało czerń skośnych oczu. Świdrowały mnie jak zwykle śmiało i natarczywie, jakby chciały wyssać do reszty każdy kolor inny od tej ich czerni. Burza jego puszystych włosów w najciemniejszym miejscu miała barwę popiołu, w większości jednak była zupełnie biała. Na oko Mistrzu nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Jego wargi ozdobione były rzadkimi, przyciętymi jak u muszkietera wąsikami, tworzącymi jedną całość z równie jak one lichą, mlecznobiałą kozią bródką.

– Daj odpocząć – powiedział. – Niech leży, nie ruszaj.

– Widziałeś Dmitrija Nikołajewicza?

Mistrzu uśmiechnął się kpiąco, dotknął palcem ust, po czym wskazał dom Koli.

– Sanczo też odpoczywa, zostaw, chodź, wypijemy herbatę.

Jego dom stał naprzeciwko, więc przytaknąłem i przeszliśmy na drugą stronę drogi. Słońce muskało nas po twarzach, bo mgła odpłynęła już gdzieś, odkrywając całą wioskę. Kiedy tylko znaleźliśmy się w zasięgu cienia rzucanego przez jego domostwo, chłód otoczył nas znowu. Mistrzu otworzył zamaszyście drzwi do drewnianej przybudówki i gestem zaprosił do środka.

Nadchodził wieczór, na jasny nurt rzeki zaciągała się z obu stron chłodna przesłona pełznących od brzegów cieni. Stałem na skarpie pod białą tablicą. Patrzyłem, jak długa drewniana łódź powoli rośnie i zbliża się do brzegu. Siedział w niej tylko jeden człowiek. Zwinnie wskoczył do wody

i wyciągnął łódkę na kamienie. Jego biała czupryna świeciła w zmierzchu. Zarzucił sobie na plecy ogromne nosidło, poruszał się szybko i cicho. Stałem daleko, mimo to dochodziły mnie jakieś słowa, które kierował sam do siebie, i głośne stęknięcie, kiedy dźwignął ładunek. Nie zważając na ciężar, lekko i sprężyście wspiął się po ścieżce w górę skarpy, po czym zniknął między ciemnymi domami.

– A, ten… – skrzywił się Kola. – To Daniło, Mistrzu. To nikt. Trzymaj się od niego z daleka.

To było u płotu Łapuszkina.

– Mistrzu – przedstawił się. – Jak będziesz kiedyś coś chciał, pytaj o Mistrza. Mistrzu wiesz… – wycelował we mnie palcami jak z pistoletu – i załatwione.

Siedział na taborecie w kuchni, jeszcze przed chwilą stukał natarczywie. Oparł się plecami o ścianę bledszy niż zwykle.

– Spłonęli – westchnął. – Moi bracia. Spalili ich.

– Wasi bracia? – zdziwiłem się.

– Głowa boli – powiedział, starając się zajrzeć mi głęboko w oczy. – Masz pięćdziesiąt rubli?

– Skąd wezmę?

– Masz. Mistrzu cię prosi, ty dobry jesteś człowiek, czy zły? Daj pięćdziesiąt rubli. – Wpatrywał się prosząco, to znów groźnie, a zaraz znowu przyjacielsko. – Błagam, daj pięćdziesiąt rubli.

Przy każdej odmowie kiwał pijaną głową i kierował wzrok w okno, które z powodu egipskich ciemności na zewnątrz

odbijało jego twarz i oczy wciąż wpatrzone we mnie. Kilka razy przysunął się bardzo blisko, opierając pięść o udo, a wtedy mój wzrok mimowolnie wędrował do długiego noża, przytroczonego do specjalnie w tym celu wszytego w spodnie niebieskiego guzika.

– Zdechnę.

– Nie mam.

Wstał i nachylił się nade mną, potrząsnął czupryną, jakby w ostatniej chwili zrezygnował z powiedzenia czy zrobienia czegoś. Szybko założył gumiaki i wyszedł bez słowa.

– Andrze – powiedział siedzący pod piecem Kola – nigdy po zmroku nie otwieraj nikomu drzwi. Niech stukają w szyby, ile chcą, a ty nie otwieraj, nawet się nie odzywaj.

Weszliśmy do pogrążonej w cieniu kuchni. Z domu nie wyparował jeszcze zapach śpiących, mieszał się z dymem z huczącego już pieca, w którym migotał pomarańczowy płomień, rzucając najdziwniejsze cienie na podłogę. Przy stole naprzeciwko okna siedziała starsza kobieta. Na dźwięk naszych kroków odwróciła głowę i przywitała się z uśmiechem. Tuż powyżej brwi nabitą miała olbrzymią, świeżą śliwę, w tym momencie ciemną jak obtłuczone jabłko. Pół twarzy było opuchnięte, a miękki granatowy guz przysłaniał jej nabiegłe krwią oko. Obok kuchni, na środku ciemnego pokoju, stała rozłożona czerwona wersalka, a na niej, przykryta przeróżnymi kołdrami i kolorowymi poszewkami, spała kobieta, przytulając kilkuletnie dziecko.

– Siadajcie. – Ta obita ustąpiła mi miejsca. – Zaraz herbaty zrobię. – Przygarbiona zaczęła się kręcić koło pieca

i wiaderka z wodą. Nie szło jej, choć może właśnie szło, i to nadspodziewanie dobrze.

– Siadaj, siadaj – zachęcał mnie Mistrzu, rozparty już na swoim taborecie.

Stałem w progu pokoju, jeszcze raz zajrzałem do środka. Na różowej twarzy dzieciaka rysowała się nieobecność, buchał z niej żar, który zdawał się docierać aż tu. Matka była bardzo blada i piękna. Od tej dwójki, otoczonej wzorzystymi piernatami w dusznym pokoju, bił blask, a może to tylko światło dnia przedzierało się przez zakryte okna. Kobieta nalała herbaty, pokroiła chleb.

– Całą noc się bawiliśmy – wychrypiała, kiedy z Mistrzem zaczęliśmy jeść i popijać, a ona przysiadła na stołeczku pod piecem. – Oj… pobawiliśmy się, pobawiliśmy się za wszystkie czasy – ciągnęła bełkotliwie, jakby nie czując posiniaczonej twarzy. – Z pastuchami się bawiliśmy. Trzeba pohulać, gdy są.

– Trzeba pohulać – uśmiechnął się Mistrzu. – Bo widzisz… – zwrócił się do mnie, spoglądając zza przymkniętych powiek – niedługo się rozstaniemy.

– Trzeba.

– Jak mus, to mus, mówię. – Zamyślił się. – Wiem. Musisz coś wziąć w prezencie, Mistrzu tylko nie wie, co by ci tu dać. – Podrapał się po siwej głowie i zaczął wodzić wzrokiem po półkach.

– To mu daj – powiedziała chrapliwie kobieta, wstała energicznie i zdjęła coś ze ściany, po czym rzuciła na stół. Rzecz zachrzęściła o drewniany blat i w tej samej chwili

zniknęła w dłoni Mistrza. Spojrzał na kobietę drwiąco. Zaczął obracać między palcami przedmiot, który okazał się naszyjnikiem z gęsto nawleczonych zwierzęcych kłów.

– Niee, tego nie mogę. – Pokręcił głową i schował go do kieszeni. – Co ci dać? – mruczał do siebie, siorbiąc herbatę. – Już wiem – oświadczył po chwili. – Wiesz, co ci dam?

Do kuchni weszła śpiąca. Jedną ręka przecierała oczy, a drugą podtrzymywała dziecko, które oburącz obejmowało ją za szyję. Ziewnęła przeciągle. Poszarzała, długa do kolan koszulka odsłaniała ramiona. Była bosa, tak jak i dziewczynka, która, cała jeszcze zaspana, przytulona do matki, patrzyła na mnie wielkimi czarnymi oczami.

– Dam ci czterdzieści stopni mrozu – powiedział Mistrzu, klepnął mnie w kolano i zbliżył swoją woskową twarz do mojej. Była bez wyrazu, tylko gdzieś w głębi, w sposobie, w jaki patrzył, białej skórze, jej napięciu, czuło się hamowany obłęd. Zamiast słuchać słów, które wypowiadał, poruszając bladymi wargami, słyszałem tylko panikę wzbierającą w mojej głowie.

– Dobrze, nie? – Cofnął się na swoje miejsce zadowolony. – Czterdzieści stopni mrozu to dobry prezent, dam ci czterdzieści stopni mrozu.

Sięgnąłem po herbatę, dziecko tymczasem uwolniło się z rąk matki i świecąc gołą pupą, zaczęło się kręcić po kuchni.

– Ile ma lat? – zapytałem

– Siedem – usłyszałem cienki głosik.

– Cztery – sprostowała oparta o piec matka znad szklanki herbaty, którą sobie właśnie zaparzyła.

– A ty? – zapytało dziecko.

– Jak ci się wydaje?

– Na pewno z osiemdziesiąt – powiedziała matka. – Taka broda… – dodała z uśmiechem.

Każdy wypił, co miał w kubku, wyszedłem na zewnątrz. Słońce stało już wysoko, jednak wioska nadal sprawiała wrażenie scenografii opuszczonej przez statystów. Tylko białe nitki z kominów wspinały się pionowo, świadcząc o obecności anonimowych dusz ukradkiem dokładających do ognia.

– Pamiętaj, co masz ode mnie – powiedział jeszcze raz Mistrzu. – Zabierz to ze sobą do domu.

Kiwnąłem niepewnie głową, wyszedłem za ogrodzenie i spojrzałem jeszcze raz na jego szczupłą postać. Stał wyprostowany, nieruchomy i patrzył za mną. Odszedłem kilka kroków, ale zawróciłem pod płot, gdzie nadal nieruchomo tkwił Mistrzu.

– W takim razie ty też musisz wziąć prezent – powiedziałem, odpinając swój nóż z paska. Nie najgorsza rzecz, Kopromedu, kupiony specjalnie na wyjazd w sklepie online ze zniżką, okazja. Nie dość, że dobrze leżał w dłoni, był niewielki i ostry, to jeszcze na klindze, metodą laserową, jak przeczytałem na stronie, miał wyżłobiony wizerunek jelenia, którego tu i tak wszyscy brali za renifera.

– Czterdzieści stopni mrozu – zaśmiał się Mistrzu i także odpiął swój nóż schowany w dużej czarnej pochwie. Szybko

dokonaliśmy wymiany, po czym każdy ruszył w swoją stronę.

* * *

Walentin siedział w kuchni u Koli i wiercił się niespokojnie na taborecie. Mówił cicho, onieśmielony i zawstydzony. Był bosy, na grzbiecie miał tylko brudny łach, pod tym wojskowy pasiak. Dopiero co przyleciał z Tury, osiem lat go nie było. Zaraz po internacie poszedł do wojska i służył, zdaje się, gdzieś w okolicach Moskwy, ale sam dokładnie nie wiedział. Potem była jeszcze jakaś ciotka w Turze i ta, co ją podobno zgwałcił, a co ją codziennie w innym łóżku gwałcą i nic. Przeciw niemu zeznała. Jego dom stał nadal tuż nad skarpą, ale dawno opustoszał ze wszystkiego, no i zwłaszcza po ostatniej zimie, kiedy ktoś powybijał szyby, grzyb się rozrósł na potęgę. Za to podobno nauczył się grać na gitarze i obiecał coś zagrać, jak tylko uda się jakąś znaleźć.

– Jak dojechałeś? – zapytał, nie patrząc na niego, Kola.

– Aaa… helikopterem – zachichotał tamten przez szpary po powybijanych zębach. – Skorzystałem. Na gapę się udało. Wiecie, normalnie wskoczyłem, myk między ładunek i wszystko. Tak, kurde, dojechałem. – Nastąpiła pauza, podczas której Walentin chlipał z kubka i rzucał nam niepewne spojrzenia. – Widziałem tam Pankowa – powiedział w końcu. – Nawet jak go puszczą, to on tu już nie wróci. Boi się.

Kola wstał i wyszedł do przedsionka. Słyszałem, jak otwiera komórkę i przekłada jakieś graty.

– Taki los. Kto zawinił? – W mętnych oczach Walentina pojawiło się coś na kształt pytania. – Pech. Przez tę skrzynkę. Na co im to było trzymać?

– Jaką skrzynkę? – zaciekawiłem się.

– Po szamanie skrzynkę.

Wszedł gospodarz, niosąc w ręce parę gumiaków. Położył je obok bosych stóp gościa i usiadł na swoim miejscu. Było kilka rzeczy najpilniejszych do zorganizowania. Kiedy tylko Walentin zniknął w nowych gumiakach i z haczykami na ryby mojego teścia w garści, Kola zaczął wyliczać: buty, deski do zabicia okien, jakieś ubranie. Same najpotrzebniejsze.

– A ten Pankow to kto? – zapytałem.

– Taki sam głupek jak i ten – powiedział Kola, wskazując głową Walentina palącego na zewnątrz. – W wojsku go nauczyli zabijać i podpalać.

* * *

Nóż nie wyglądał jak żaden z tych, które do tej pory widziałem. Był brzydki, na pierwszy rzut oka nieforemny, choć teraz, wyciągnięty z szuflady, wydaje mi się piękny. Zachował zapach, który łowię, przystawiając nos do prostej, wystruganej z kawałka jasnego drewna rękojeści. Nie znajduję dla niego porównania, jednak wyraźniej niż każde inne wspomnienie podsuwa mi obrazy stamtąd. Drewniana rączka akurat taka, że pasuje do ręki, ma wydrążony wąski otwór, w którym Mistrzu osadził ostrze z ciemnego metalu, poznaczonego okruchami rdzy. Jeśli przyłożyć je sobie do palca, czuć, jakie jest twarde, gdyby pchnąć je odrobinę

mocniej, na pewno popłynęłaby krew. Nosi ślady używania, zużycia, w paru miejscach jest trochę wyszczerbione, a tuż przy rękojeści trzykrotnie nacięte. Zwykle ukryte w pochwie z czarnego błyszczącego skaju, grubo obszytego mocną plastikową dratwą. Takie przedmioty widywałem u dziadka w stodole, a także w pracowni jednego starego krawca, gdzie maszyny do szycia służyły za budę dla Wichra, psa myśliwskiego. W ich szufladach pełno było właśnie takich igieł, szpikulców, sierpów, osełek i pordzewiałych ostrzy. Ten nóż mógłby być, równie dobrze jak i one, kamieniem, gałęzią, kością zdechłego zwierzęcia.

– Przecież dlatego oni to trzymali w zimowisku, w lesie – powiedziała ciocia Walia. – Nieszczęścia im na dom sprowadzało. Ale co mieli z tym zrobić, wyrzucić? Potem w zgliszczach te rzeczy poznajdowali.

– A skąd się to u nich wzięło?

– Wiesz skąd? – Odwróciła wzrok. – Na pewno im zostawił jakiś szaman. Mało tu tego było? Jak ich wywozili na południe, to oni chowali po lesie te swoje rzeczy, po ludziach zostawiali. Myśleli, że wrócą, a żaden nie wrócił. Jakbyś coś takiego kiedyś w lesie znalazł, to bądź mądrzejszy i nie ruszaj.

– A co, tamci ruszali?

– Myślisz, że nie? Już wcześniej ich matka umarła, to powinni wiedzieć, że coś nie tak. Ich babka wiedziała, kazała zabrać skrzynkę do myśliwskiej izby w lesie i tam trzymać. A tam nie miał już kto upilnować. Na pewno dotykali. – Ciocia otworzyła pudełko i zanurzyła palce

w niebieskich i czerwonych paciorkach. – To było w styczniu, gdy Pankow przyszedł do nich z wódką. Na sobole chciał ją widać wymienić. – Ciocia Walia z uwagą nawlekła koralik na nitkę. – Ale mu nie dali. Najpierw ich zbił, potem oblał benzyną. Podparł drzwi i podpalił. Dwóch braci Daniły tam się spaliło, trzeci wyczołgał się przez okienko, ale zamarzł. Na śniegu go znaleźli.

– Dlatego Daniło osiwiał? – zapytałem.

– Nie. Taki był już wcześniej.

– Skąd ty to masz? – zapytał Kola lodowatym tonem, widząc, co trzymam w rękach.

– Od Mistrza, zrobiliśmy wymianę.

Cały aż poczerwieniał.

– Głupio zrobiłeś – mówił, nie patrząc na mnie. – Bardzo dobry nóż wymieniłeś na zły. – Nie chciał nawet spojrzeć. Z wściekłością złapał kilka szczap leżących pod piecem i wrzucił je do dogasającego ognia, po czym głośno zatrzasnął żelazne drzwiczki. Wstał i popatrzył na mnie błyszczącymi oczami. – Najlepiej zrobisz, jak pójdziesz do lasu i wyrzucisz go. Zrób tak! Wyrzuć go.

– Mam go wyrzucić?

– Możesz tego nie robić – powiedział już spokojniejszy – ale wtedy on wiele razy będzie przecinał twoją rękę. Nic nim nie zrobisz, do niczego ci się nie przyda. – Usiadł i zdenerwowany założył nogę na nogę.

Bosy Daniło szedł dokądś drogą.

– Jak ci służy nowy nożyk, Mistrzu? – zapytałem. Uśmiechnął się zakłopotany, dotknął paska i nogi, potem

głowy.

– Zgubiłem. Co za pech – odpowiedział, patrząc na mnie badawczo.

– Zgubiłeś?

– Zgubiłem. – Wzruszył ramionami. – Bo, widzisz, na jagodach byłem w lesie. – Pochylił się, demonstrując zbieranie, by wyprostować się gwałtownie i złapać za pasek. – Sprawdzam, a tu nie ma. Wypaść musiał. – Rozłożył ręce, uśmiechając się bezradnie i uważnie na mnie patrząc. – Szukałem – dodał. – Nic! Przepadł. Taki pech.

* * *

Odległy warkot rozchodził się w powietrzu, ginął, by odezwać się na nowo, głośniejszy i bliższy. Stałem na łagodnie opadającym stoku, rzadko porośniętym przez chuderlawe drzewa. Gdzieniegdzie sterczał między nimi wysoki maszt sosny, pokryty łatami czerwieniącej się na tle niebieskiego nieba kory. Jak daleko mogłem sięgnąć wzrokiem, schemat ten powielany był w setkach egzemplarzy, w końcu zatracał się w jednej, najpierw luźnej, potem zbitej zielonej masie. Od góry królowało nad nią kłujące w oczy niebo, opadało na każdy milimetr rozciągniętej pod nim materii, wypełniając ją swoją natarczywą obecnością. Dyszałem, ciężko oparty o pień, i czułem, że gdzieś w górze kołysze się on nade mną łagodnie. Dźwięk narastał, już trudno było powiedzieć, skąd dobiega, zdawał się emanować zewsząd. Tuż nad moją głową z łoskotem ciężkich śmigieł przeleciał olbrzymi, pomalowany na pomarańczowo helikopter. Zanim zniknął za

drzewami, zdążyłem tylko zobaczyć jego brudny brzuch i okopcony długi ogon. Cisza na powrót zamknęła się nade mną. Wskazówka znalazła się sama. Z bijącym sercem ruszyłem w dół zbocza, by po chwili minąć szerokim łukiem rozległe bagno i skręcić w prawo, tam, gdzie kierował się jeszcze przed momentem śmigłowiec. Po chwili przedzierania się przez mech dostrzegłem połyskującą zza drzew rzekę. Całkowicie już uspokojony, skręciłem jeszcze raz w prawo, tam, gdzie znalazła się nawet ścieżyna, a na niej wyblakłe paczki po papierosach, niechybny drogowskaz. Durnowaty Stiepan dostrzegł mnie już z daleka i aż podskoczył z wrażenia. Rzucił się do płotu, wylazł na coś i machał, krzycząc, jakby to on był rozbitkiem i potrzebował pomocy. W końcu dał sobie spokój, przesadził swoimi długimi nogami ogrodzenie i puścił się pędem w moim kierunku.

– Tutaj! Tutaj! – wołał, biegnąc w rozczłapanych gumiakach. Kilka metrów ode mnie zatrzymał się cały zdyszany, z trudem wydobywając słowa. – A jak dobrze, że się znaleźliście! Trzeba szybko powiedzieć Iwanowi Iwanowiczowi! Wszystkim!

– To leć powiedzieć.

Bez słowa odwrócił się na pięcie i pognał w przeciwnym kierunku. Stiepan miał około dwudziestki, ale entuzjazmu pozazdrościłby mu dziesięciolatek. Lubił mówić, a kiedy już zaczął, trudno go było powstrzymać. Świergotał wtedy jak ptak, przerywał w pół słowa, brał głęboki oddech i znowu.

– A bo niedźwiedź, to co wy! Stoi tam, to jednym susem by tutaj przysadził i po nas. Nie, nie, my to do tajgi w ogóle bez porządnej giwery nie wychodzimy. A w zeszłym roku, co tata łapał czerwoną rybę, to nic nie złapał!

Jego ojciec był niskim, milczącym drabem, ponuro patrzącym na wszystkich. Kiedyś widziałem, jak tłukł Stiepana, który stawiał zaciekły opór i wrzeszczał: „Na chuj ty mi jesteś potrzebny! Sam se, kurwa, noś! Nie będę!”. Uległ pchnięty na trawę.

Teraz biegł przede mną jak posłaniec, głoszący wszem i wobec dobrą nowinę, że jednak do spółki z Iwanem Iwanowiczem nie zgubili w lesie obcokrajowca, tak jak się jeszcze przed godziną obawiali. Zaczęło się od tego, że poszliśmy razem na grzyby. Zbieraliśmy trochę, paliliśmy. Iwan mimo ślepoty zbierał jakimś cudem najwięcej, a w czasie licznych przerw na papierosa zwykle gasił paplaninę Stiepana, cedząc „stul pysk” lub coś w tym guście. Starałem się nie tracić ich z oczu, cały czas słyszałem też roznoszący się po lesie szczebiot chłopaka. W chwili, kiedy zamilkł, okazało się, że nie ma też i ich postaci między drzewami. I klops, znowu się zgubiłem, choć tym razem nie do końca, no i ten helikopter zjawił się w samą porę i pokazał kierunek. Zawsze mogłem pójść w przeciwną stronę, jak tamten biedak w zeszłym roku, jednak nie miałem ochoty przypominać sobie znowu tej historii, bo las wydawał mi się wtedy labiryntem rządzonym przez jakąś uwielbiającą rebusy inteligencję.

– A już myślałem, że się zgubiłeś jak tamten w zeszłym roku, na chuj – stwierdził na mój widok Iwan Iwanowicz, siedząc na pniaku w drewutni Koli, gdzie zastałem ich w towarzystwie zdyszanego Stiepana.

– Widzisz, chciał ci gościa zgubić w lesie – powiedziałem do Koli.

– Ciesz się – mruknął Iwan. – Zwykle nie zapominam też ich w tym lesie zakopać, na chuj.

– Co to był za helikopter, co tu leciał? – zapytałem, ignorując żarcik Iwana.

– Spiecrejs.

– Po co?

– Aljeksieja zabrali – z powagą w głosie oświadczył chłopak.

– Kozioł jebany – zaklął Iwanowicz. – Trojara, na chuj, mu się zachciało.

– Przewrócił się – dodał Stiepan.

– I co, sam pił?

– Niee. – Iwan machnął ręką. – Z chłopakami nad rzeką. Tylko on kopyrtnął w pizdu, na chuj.

– Nie żyje?

– Żyje, tylko tak jakoś śmiesznie, kurwa, bo całkiem go sparaliżowało, tylko że po jednej stronie. Całą lewą stronę, na chuj.

– Co też mówicie, Iwanie Iwanowiczu – zaoponował Stiepan. – Prawą!

– Możliwe, na chuj.

– Tylko po jednej stronie, poważnie?

– Dziwne, kurwa, nie? Jedną rękę, nogę i podobno pół gęby, job twoju mat'.

– Może go w Turze naprawią – pomyślałem na głos.

– Może i nie – Kola wydawał się nie mieć złudzeń.

W drewutni miał rozłożoną robotę. Rok szkolny blisko, więc wziął się do łatania pomocy naukowych. Te tutaj nazywały się sanki i w rzeczywistości były zbitymi z listewek wielościanami różnej wielkości. Były koniecznym sprzętem do „skoku przez sanki”, dyscypliny sportowej będącej oczkiem w głowie Koli. Jeszcze w Chabarowsku obronił się z tradycyjnych syberyjskich dyscyplin sportowych, a w Tutonczanach był ich gorącym propagatorem. Z podręcznika, który mi kiedyś podsunął, wynikało, że dawno, dawno temu, zanim Ewenkowie zostali ucywilizowani, przemierzali tajgę, używając zaprzężonych w renifery sań. Przed wyruszeniem w drogę zawsze było wiele zamieszania, zwierzęta się niecierpliwiły, plątały rzemienie, blokowały nawzajem. Pasterz, chcąc sprawnie zorganizować pochód, musiał umieć przeskakiwać przez sanie, czasem przez wiele z nich, żeby szybko reagować na powstające w tłumie i zamęcie problemy. Stąd teraz, dla poprawienia sprawności i dla podtrzymania tradycji, uprawia się na północy dyscyplinę zwaną „skok przez sanki” W sali gimnastycznej ustawia się rząd takich sanek i dawaj, można skakać do woli. Regulamin jednak jest surowy i nakazuje oddawanie skoku ze złączonymi nogami, kto tego nie zrobi, jest dyskwalifikowany. Próbowałem przed drewutnią i wysiadłem po trzech, a podobno byli tacy, co

dali radę przeskoczyć i dwadzieścia ciurkiem, ale to był już poziom zawodniczy. Sanki, które Kola wyciągnął ze strychu i które teraz piętrzyły się w drewutni, w większości były połamane i zbijanie ich do kupy to robota na parę ładnych dni. Po obiedzie miał przyjść Wowa i pomóc.

– Ale wy się więcej tak nie gubcie – powiedział z namaszczeniem w głosie durny Stiepan. – Dobrze?

* * *

Sprawa wyglądała nie najlepiej. Drzwi do baraku mieszczącego port lotniczy były zamknięte na głucho, żadnych ludzi. Nie chciało mi się nawet wychodzić po skrzypiących schodach na ganek, i tak wiadomo, że dzisiaj lotu nie będzie.

– Hej, riebiata! – zawołała do nas ze swojego pola ziemniaków kierowniczka lotów. – Dzisiaj nie przyleci. Pogoda.

Machnąłem jej ręką i bez specjalnego zawodu ruszyliśmy z Wową w drogę powrotną. Nie mieliśmy daleko, trzeba było tylko przejść całe lądowisko w poprzek i już się wychodziło na tyły domu Koli. Tak czy owak, nasze sylwetki musiałyby się wydać pilotom helikoptera, gdyby przyleciał, maleńkimi punkcikami brodzącymi wolno przez jezioro poszarzałej trawy.

– Jakie masz ulubione przedmioty? – zapytałem Wowę.

Ten właśnie odłamał sobie długie źdźbło trawy i trzymał je między zębami jak fajkę.

– Histę i ruski.

– A matma?

Pokręcił głową z obrzydzeniem. Podniósł z ziemi jakiś niewielki kamień i rzucił nim z całej siły za siebie. Linia domów zbliżyła się, budynki rosły i nabierały cech indywidualnych. A to jeden z niebieskimi okiennicami, a to z rozbitym wychodkiem, pokryty papą, a nie eternitem, mniejszy, większy, wszystkie w rządku, wszystkie tyłem do lądowiska. Podobno kiedyś na tych tyłach, cztery razy do roku, czasem częściej, wyrastała druga wioska z gęsto ustawionych obok siebie czumów. Teraz rozciągały się tam improwizowane miniwysypiska, niektóre ukryte w trawie, inne świeże, wywalające wnętrzności rozwleczonych przez psy szmat, kolorowych butelek, podartych gumiaków.

– Co oni mają do tej pogody? – Pokręciłem głową. Niebo było czyste jak łza, mieniło się intensywnym, jesiennym błękitem.

Wowa wzruszył ramionami.

– A czemu akurat te lubisz?

– Przerabiamy książki różne fajne.

– Masz jakąś ulubioną?

– Ja?

– No.

– Przygody Tomka Sawyera.

Wowa skinął głową na pożegnanie i odbił w prawo, tam, gdzie mieszkał z babcią i jeszcze jakimiś dzieciakami. Kola kiedyś wspominał coś o jego rodzicach, że nie żyją, ale przyciśnięty nie chciał powiedzieć nic więcej.

Tydzień temu też nie było lotu, pogoda też była nie ta podobno, nie u nas, tylko gdzieś dalej na zachód. Dzisiaj

jakoś nikt się nawet specjalnie nie spodziewał, choć tak jak i ostatnio pogoda jak dzwon.

– Nic się nie martw – powiedział kiedyś Iwanowicz. – Musisz tylko poczekać, aż będzie żabami prało, wtedy przylecą na pewno.

Dzisiaj rano też był ostrożny.

– No, Andriucha – poklepał mnie po plecach – jeśli dzisiaj wylecisz, najlepszego!

Ten tryb przypuszczający świadczył o bogatym doświadczeniu życiowym. Na wszelki wypadek nie warto było się rozpakowywać, choć nie należało się też za wiele spodziewać. Najcenniejszy był cynk, że już leci i będzie za cztery godziny. Rzuconego kamienia nikt z drogi nie cofnie. Jednej starszej pani z Tury, Tamarze Michajłownej, zachorował szwagier i postanowiła polecieć do Bajkitu, by zaopiekować się nim i siostrą. Samolot miała w poniedziałek, tylko że lało i tak z dnia na dzień zeszło do środy. Przychodziła z walizką dzień w dzień, a w czwartek szwagier umarł. Pogoda, jak na złość, też wcale się z tego powodu nie poprawiła, więc lot odłożono do następnego poniedziałku. Pogrzeb ustalono na wtorek, zatem miała nadzieję, że zdąży chociaż pochować szwagra. Tak więc Tamara Michajłowna wyruszyła w ten poniedziałek po błotnistej drodze w górę, na lotnisko. Pogoda taka, że nijak nie można było zgadnąć. A jednak nie, nie leci, dowiedziała się szczęśliwie od radiooperatorki wracającej z dyżuru. Przynajmniej nie musiała iść całej tej drogi na marne. Przyszedł w końcu wtorek, chmury się podniosły, słońce

zaświeciło i samolot wyleciał, tylko Tamara Michajłowna zaspała.

Korzystając ze specjalnie w tym celu podstawionego pieńka, sforsowałem płot. Wąską drewnianą kładką wzdłuż pola ziemniaków doszedłem pod drzwi. Na mój widok ciężko podniosły się z zielska Sułtan i Malczik. Całe znudzone i odrętwiałe od niewoli, którą im zgotował Kola za pomocą dwóch krótkich sznurków przywiązanych do sztachet. Sułtan podobno rzucił się na felczera z izby chorych i tamten zagroził, że go zastrzeli. Woleli nie ryzykować, zwłaszcza że człowiek cieszył się opinią gotowego na wszystko. Kłódka wisiała teatralnie na drzwiach, mimo że i tak nie było do niej klucza. Gospodarz wyszedł.

* * *

Ciemność wypełniała niewielkie pomieszczenie, topiła nas jak w najgłębszej studni. Pozwalała, by chłód przenikał do kości przez ubranie i koce, którymi byliśmy nakryci. Czasami dochodził nas plusk wody lub głuche metaliczne stukanie, czasem odległy szum wiatru, błądzącego pomiędzy koronami drzew.

– Dolać ci? – jak z oddali dobiegł mnie szept.

– Dolać.

Usłyszałem szczęk sprężyn na koi i z cienia wyłoniła się ręka trzymająca półtoralitrową butelkę „grubasa”. Podstawiłem kubek i dał się słyszeć syk bąbelków, chlupot i te wszystkie inne piwne odgłosy. Ręka cofnęła się, przede mną zamajaczył ciemny kształt.

– Może uda się w zimie dostawić jeszcze jeden moduł – cichy głos rozbrzmiał na nowo.

– Można tak? – zapytałem.

– Mowa – obruszył się. – O cztery metry dłuższy kadłub będzie. Wyporność wzrośnie.

Słyszałem spokojny oddech Swiety śpiącej tuż obok. Za drzwiami, w sterówce, rozlegały się ledwo słyszalne kroki Władymirowicza na wachcie. Pewnie zdrętwiał z tego zimna.

– Kuchnię byśmy wtedy dostawili – szeptał głos.

– Wasza żona by się ucieszyła.

– Oj tak – popłynął szemrzący śmiech. – To by było dla niej pomyślane.

Biegnące w kierunku brzegu drobne fale huśtały statkiem, wystukując monotonną kołysankę na blaszanej burcie. Staliśmy zakotwiczeni dziobem w stronę lądu, skąd pochylone drzewa rozciągały nad nami parasol gałęzi. Nic nie zakłócało ciszy w gęstwinie, wydawała się martwa i pusta. Nisko nad wodą przewalały się gęste chmury, jakby próbowały w ten sposób uzupełnić zapas wody na jutrzejszą ulewę.

– I tak macie tutaj jak w domu.

– To Swieta postanowiła, że będzie ze mną pływać. – Głośne chrząknięcie Władymirowicza świadczyło, że czuwa. – Nie chce się już ze mną rozstawać. Szkoda by nam było tego czasu osobno.

– Dawniej kapitanowie też podobno wozili ze sobą żony – wyszeptałem.

– Co?

– Dawniej też tak było.

– No… i robi wszystkie papierki przy okazji. Ja jestem cały dzień za kółkiem, to nie mam do tego głowy.

– Jasne.

Szpara w uchylonych drzwiach do sterówki pulsowała bladym światłem. Mimo że noc należała do tych najciemniejszych, i tak na zewnątrz było widniej niż w środku. Chłód ciągnął od wody, owinąłem się kurtką, szeleszcząc i szurając materiałem.

– Zimno?

– Trochę.

– To masz jeszcze. – Ręka pojawiła się znowu i polała hojnie. – Najgorsze, że z powrotem płyniemy na pusto. Stąd nie ma co brać. Ejjj… chyba ostatni raz na Dolną robimy kurs. – Pociągnął kilka łyków. – No i Swieta tak daleko nie powinna chodzić. Nigdy nie wiadomo.

– To kiedy będziecie w Krasnojarsku?

– Gdzieś tak za miesiąc. Może zrobimy jeszcze jeden rejs w tym roku. Ale już bliżej, po dużej rzeczce.

– A potem?

– Wakacje zimowe – zachichotał. – Roboty będzie dosyć. Ten moduł chciałem dostawić. Wszystko trzeba zrobić samemu, nie ma kto pomóc. Ci z floty mają dobrze, warsztaty wszystko im przez zimę zrobią. A ja sam muszę stukać.

Podwinąłem nogi i cały się skryłem pod kurtką. Oczy się kleiły, choć w tych ciemnościach i tak miałem wrażenie, że

śpię już od dawna. Przyśniły mi się rzeka, deszczowa noc, szumiąca tajga i ten głos bliski i bardzo daleki jednocześnie.

– Mogłem zostać we flocie. Wygodniej bym miał, ale nie chciałem.

– Za to teraz macie swój statek. – Przetarłem oczy.

– Fakt. Mamy statek, a kupiliśmy wrak. Sam go wyremontowałem… no, udało się. Żeby tylko zamówienia były, bo tak, to po kosztach pływamy. Konkurencja silna, pływają, są tacy, co i w październiku po kaszy idą, żeby zarobić. I czort z nimi.

– Dobre piwo.

Butelka pojawiła się znowu, dolewając mi do kubka.

– Lubię się wieczorem napić piwka. Cały dzień nie mogę, nie ma jak, a rzeczka tutaj naprawdę nielekka. Trzeba uważać. Jak w górę szliśmy przez progi, to myślałem, że mi Władymirowicz ze strachu na głowę wskoczy. – Zaśmiał się cicho. – Nie mam dobrego szturmana.

– A on? – zapytałem, choć stopy zaczęły mnie już łaskotać, a oczy zamykać się niezależnie od woli. Musiałem odstawić blaszany kubek na stolik i zwinąć się na rozkładanej pryczy.

– Niedoświadczony.

Głos zamilkł, ale dla mnie nie miało to już wielkiego znaczenia, bo zasnąłem w tej czarnej, żelaznej jamie, w brzuchu metalowego wieloryba zacumowanego na nocny odpoczynek na skraju wielkiego lasu i nikt, zupełnie nikt nie wiedział o tym.

* * *

To był środek dnia, środek drogi. Wracałem ze sklepu, a tu widzę objętą parę, machającą rękami raczej nie do mnie, tylko ogólnie z emocji czy może dla równowagi.

– Halo, Andrze! – wołał już z daleka roześmiany Dmitrij.

Padliśmy sobie w ramiona niczym bracia po stu latach rozłąki.

– Co u was? – zapytałem. Mieli szare jak popiół twarze, zmęczone i opuchnięte.

– Dobrze, dobrze – zapiszczał cienkim, podniesionym głosem Dmitrij.

– Bawimy się – dodała Tatiana, po której nie było widać żadnego większego uszczerbku po tych paru godzinach w trawie. Tylko usta miała całe spękane i zmarszczki wokół oczu głębsze. Jeszcze kurtka była zupełnie pomięta, z jakimiś podejrzanymi, zaschniętymi zaciekami na rękawie i różnymi rzeczami poprzyczepianymi do niej. A to źdźbłem trawy, a to brązową smugą ziemi czy nowym rozdarciem, z którego sączyły się pasemka białej waty. Jej mąż się śmiał. W kącikach jego oczu zalegały żółte grudki niestartych śpiochów. Humory dopisywały znakomicie, Dmitrij jakby zapomniał o swoich korzonkach, kroczył wyprostowany z uniesioną wysoko głową.

– Zabawa dobra rzecz – powiedziałem.

– E tam! – Tatiana uwiesiła się na moim ramieniu. – Z tym starym to już żadnej zabawy.

Adresat tej pretensji zbył ją gniewnym machnięciem ręki. Kiwnął do mnie zawadiacko i odwrócił się na pięcie, by

ruszyć przed siebie, zataczając się co prawda, ale w sposób pełny wojowniczości i zdecydowania.

– Zazdrosny jest! – zachrypiała zdartym głosem Tatiana. – Andrze, Andrze, żebyś ty wiedział, jaki on jest zazdrosny.

– Dmitrij Nikołajewicz! – zawołałem za oddalającym się z wolna. – A wy gdzie się wybraliście?!

– Do Chiejkuriego! – zapiszczał tamten. – Wszystko mu powiedzieć! Dosyć milczenia! To nie może tak dłużej trwać! – krzyczał, idąc przed siebie jak sędziwy prorok nawołujący do pokuty, jednak głosem zbyt bełkotliwym, by mógł wywrzeć jakikolwiek efekt poza współczuciem. – Wszystko załatwię! – w dodatku seplenił śmiesznie z ewenkijskim akcentem. Im więcej mówił, tym szybciej szedł, jakby bał się stracić impet, niezbędny, by móc stanąć twarzą w twarz z naczelnikiem. – Co on sobie myśli! – wyrzucił jeszcze z siebie, po czym zatrzymał się nagle w miejscu, jakby się zadumał. Odwrócił się w naszą stronę. Za jego plecami, kilkadziesiąt metrów dalej, majaczyła w ciszy srebrna, terenowa gablota, jak zwykle zaparkowana przy administracyjnej budzie. Dmitrij stanął w rozkroku, poprawił kufajkę, której rękawy zsunęły mu się z ramienia i opadły aż do łokcia, unieruchamiając go jak w kaftanie.

– Widzisz – pochyliła się do mnie Tatiana – z nikim mi nie pozwala zostać. Taki zazdrosny, nie pozwala.

Założyła wełnianą czapkę i ruszyła do męża, ostatnie kilka kroków pokonując truchtem, by po chwili zawisnąć na ramieniu Dmitrija. Oboje pochylili się w lewo, potem w prawo, ale pion utrzymali. Takim samym krokiem jak

przed naszym spotkaniem potoczyli się w stronę urzędu, ni to balansując, ni wygrażając rękami.

* * *

– Tylko popatrz, jaki młody. – Swieta pochyliła się nisko nad tabliczką, ostrożnie, żeby nie upuścić przezroczystej torby z cukierkami, którą trzymała pod pachą. – Padają jak muchy.

Na tabliczce rodzina zmarłego nakleiła czarno-białe zdjęcie, z przysięgi pewnie, bo w galowym mundurze. Przed wilgocią miała je chronić szybka, za którą ktoś wsunął kartkę w kratkę z wypisaną niebieskim długopisem datą narodzin i zgonu. Swój worek, znacznie większy i też po brzegi wypchany śliwkami w czekoladzie, bombonierkami, karmelkami i innymi, postawiłem pod jedną z chudzieńkich brzóz gęsto nas tutaj otaczających.

– Rzeczywiście. – Przyjrzałem się z bliska. – Zaraz, to ile miał?

– Dwadzieścia cztery lata.

– Młody.

– Mówiłam ci, niedługo ich wszystkich tutaj szlag trafi. – Pokręciła głową z dezaprobatą i powiodła spojrzeniem po grobach, wśród których staliśmy. Tkwiły w niewielkich odstępach, wszystkie całkowicie zatopione w pochylonym od nadmiaru wody brzozowym młodniku, tak zbitym i gęstym, że z trudem znajdywaliśmy w nim miejsce dla siebie. W dolnym piętrze tego gąszczu plenił się inny, złożony z wysokich na metr nagrobków przypominających pale, na każdym zaś wisiał pokaźnych rozmiarów parciany

worek. Niektóre z tych pakunków zwisały też z drzew, jedne nowe, inne szare i poprzedzierane, grożące uwolnieniem całej napierającej na nadwerężony materiał zawartości. Gdzieniegdzie coś już wystawało, jakieś szmaty, kawałek buta w jednym miejscu. Swieta, przeciskając się pomiędzy drzewami, ostrożnie przechodziła od jednego wysokiego nagrobka do drugiego. Z zaciekawieniem czytała tabliczki, jeśli jakieś były, i zagłębiała się w ten zagajnik, zaciągnięty podnoszącą się z ziemi mgłą, jak to zwykle bywa w lesie po długim deszczu. Postępowałem za jej korpulentną postacią, okrytą szarą chustą z kosmatej baszkirskiej wełny, starając się nie stracić jej zupełnie z oczu w tej białej parze i gęstych jak trzcina brzozach. Kiedy dzień wcześniej na rzece wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem, brała właśnie prysznic na rufie. Zanim zdołała się zakryć białym prześcieradłem służącym jej za ręcznik i wygonić mnie ze śmiechem z powrotem do sterówki, zobaczyłem jej jasną skórę okrywającą duże ciało, piersi, ramiona, wydatny brzuch, tworzące jedną gładką i krzepką całość, zwieńczoną mokrymi blond lokami. Gumowym szlauchem do mycia statku kierowała na siebie strumień lodowatej wody, który spłukiwał z niej obfitą warstwę mydlanej piany, spływającej po silnych nogach na blaszany pokład, a z niego prosto do Dolnej Tunguzki. Cała się od tego zaróżowiła, była mocna i tryskająca energią, która zdawała się promieniować na ciemne brzegi i chlupoczącą pod nami wodę. Teraz kluczyła między drzewkami z reklamówką kolorowych cukierków w ręce i rezygnacją wymalowaną na rumianej twarzy. Wokół

nas pełno było nagrobków, musieliśmy uważać, żeby na któryś nie nadepnąć czy nie oprzeć się zamiast o drzewo. Niektóre były ogrodzone maleńkimi, pomalowanymi na niebiesko lub zżartymi przez rdzę, ozdobnie kutymi płotkami. Na kilku zauważyłem resztki plastikowych kwiatów, czasami coś tam jeszcze leżało, butelka po wódce czy piwie, rozpaćkany papieros.

– Pójdziesz! – krzyknęła nagle głośno, schyliła się gwałtownie, wyprostowała i cisnęła jakiś spróchniały kawałek gałęzi w kierunku psa, który obwąchiwał pozostawiony przeze mnie pod drzewem foliowy worek. Gałąź przeleciała z trzaskiem i szumem, po czym pacnęła o jedną z brzóz, łamiąc się na pół i opadając na mokre borówki. Pies, który albo tropił nas od wioski, albo przechodził drogą i się zainteresował, zawarczał groźnie, ale odstąpił od worka i jakby nigdy nic, zaczął się kręcić, węsząc w pobliskich krzakach.

– Hej tam! Pilnuj naszego skarbu! – krzyknęła do mnie. – Chcesz, żeby nam go tutejsi zeżarli? Widzisz?! – dodała z wyrzutem. – Porozsypywałam cukierki! – Pochylona zaczęła kręcić się w kółko, szukając krówek, które upuściła na ziemię. Wyglądała jak pulchny derwisz w tej rosnącej mgle, wysoka, otulona szarą chustą, pośrodku zarośniętego cmentarza. Odgarniając mokre liście, natrętnie przylepiające się do twarzy, ruszyłem w stronę pakunku leżącego pod drzewem na skraju lasu. Był nienaruszony, kolorowe złotka i sreberka skrzyły się przez cienką folię. Niedaleko zza wilgotnych drzew wyłaniała się droga,

ogrzewana promieniami niedawno uwolnionego zza chmur słońca.

Statek podchodził do Uczami. Na mostku za sterem sam kapitan patrzył uważnie przez wielką lornetę, odkładał ją, sprawdzał coś na mapie w postaci pokaźnej książki az, po czym znowu przykładał lornetkę do oczu. Obok stała kapitanowa, lustrująca daleki brzeg z dłonią przy czole. Ja byłem trochę z boku, zatrzymałem się w otwartych jajowatych drzwiach i przyglądałem się wąsatemu szturmanowi, który się krzątał na dziobie, szykując jakieś liny i bosaki, jakby miał zaraz przystąpić do abordażu. Daleko przed nami, maleńki w porównaniu do komina różowych chmur wiszących nad nim, majaczył kawałek niezalesionego brzegu. Pewny znak osady ludzkiej. Niedługo potem zeskoczyłem na mokry piasek i pomogłem Władymirowiczowi położyć trap, przypominający drabinkę do kurnika mojej babci. Kiedy jako tako udało się go osadzić, ostrożnie, balansując ciałem i rękami, zeszła po nim Swieta. Odsapnęła ciężko, kiedy znalazła się na stałym lądzie. Na brzegu było zupełnie pusto, żadnych łodzi, śmieci, znaków obecności człowieka.

– Pasza?! To ma być tu? – z powątpiewaniem zapytała swojego męża, opartego teraz o drzwi mostka i w skupieniu spoglądającego gdzieś nad naszymi głowami.

– Na pewno.

Z ładowni wygramolił się jeszcze ktoś i stanął na pokładzie, mrużąc oczy.

– No już myślałam, że zaspał – zwróciła się do niego Swietłana. – Wysiadka!

Tamten odburknął coś, zlazł po trapie i stanął obok nas. Chłopak wracający do domu zabrał się na statek tak jak i ja. Podobno służył w Czeczenii, ale w to akurat Pasza nie wierzył.

– To jest Uczami? – zapytała go kapitanowa. Kiwnął głową.

– No to gdzie są domy?

Wskazał palcem przed siebie, powyżej skarpy. – Dalej w lesie.

– To leć powiedzieć, że jesteśmy – rozkazała Swieta. Tamten pochylił ogoloną głowę i bez słowa, nie oglądając się, ruszył przed siebie.

– Widzisz – powiedziała do mnie Swieta – oni wszyscy tacy. Słyszałeś, żeby choć dziękuję powiedział?

– Już nie trzeba! – zawołał z wysokości pokładu Pasza. – Ktoś jedzie.

Dołączyła do mnie z zafrasowaną miną. Dźwignąłem wcale nielekkie słodycze i wyszliśmy na oświetloną słońcem drogę, pełną przepastnych kałuż, pokrytą grubą warstwą błota. Biegła w górę, przez środek lasu jeszcze z kilometr aż do osady. Kiedy wracaliśmy w dół, gryzły nas komary, a co jakiś czas musieliśmy się przedzierać przez lewitujące chmury zajadłych meszek. Swieta dyszała ciężko, po czole spływał jej pot.

– To już nie na moje siły, takie historie – stękała. – Jeszcze żebym zdrowa była.

Minęliśmy kilka zawalonych chałup, w jednej chyba ktoś mieszkał, bo na płocie suszyły się sieci, a o ścianę oparte były dwie wędki. Domy te stały już prawie na skraju skarpy, skąd rozciągał się widok na rzekę w dole i nasz statek zacumowany przy brzegu. Widziałem stąd Władymirowicza opartego na relingu i palącego papierosa. Na gigantycznym niebie toczyła się statyczna walka tytanów ze smokiem rozciągniętej, ciemnej chmury. Potężny ogon był już skręcony w agonii, podczas gdy rozwarta paszcza wciąż pochłaniała białe bicepsy unoszących się w klinczu olbrzymów. Wybujała trawa falowała, targana gwałtownymi podmuchami wiatru, który marszczył też powierzchnię rozlanej w tym miejscu jak jezioro rzeki. Swieta westchnęła ciężko i odłożyła reklamówkę na ziemię. Weszła między sięgające jej do pasa trawy i pochylając się nisko, zaczęła wyrywać te zwieńczone maleńkimi, fioletowymi kwiatkami. Jej wełniana chusta łopotała, szarpana na wszystkie strony, co w końcu zmęczyło ją na tyle, że zwinęła ją i odrzuciła w pobliże cukierków.

– Pomógłbyś mi – powiedziała z wyrzutem.

Porzuciłem ścieżkę i zacząłem wyrywać z ziemi mięsiste, ciemnozielone łodygi nieznanych mi kwiatów, które tutaj, na tym górującym nad wodą wzniesieniu, rosły w obfitości.

– Na co to jest? – zapytałem, kiedy mieliśmy już pełne naręcza. Zziajana i spocona z szelestem ruszyła w kierunku ścieżki. – Na herbatę – rzuciła. – To bardzo zdrowe – dodała, kiedy udało jej się już na nią wydostać. – Reguluje ciśnienie, wszystko leczy.

Zrzuciliśmy plon na jedną stertę, którą związała wydobytym z kieszeni sznurkiem.

– Dożyjemy setki, jak to wszystko wypijemy – zażartowałem, widząc rozmiary snopka.

– Mnie to już nic nie pomoże. – Spojrzała w stronę czekającego na nas statku. – To dla Paszy, on musi mieć dużo siły.

– Co wam właściwie jest, Swietłano Aleksiejewna?

– Mam raka.

Jechali wolno, żeby nie wywrócić się na stromym, pooranym koleinami zjeździe. Kiedy w końcu udało się im go bezpiecznie pokonać, podjechali do nas z rykiem silnika i chrzęstem wielkich kół o piasek i kamienie. Wywrotka zgrabnie nawróciła i tyłem zjechała do rzeki, aż naczepa dotknęła burty statku, a jej tylne koła zniknęły pod wodą. Kierowca zatrzymał silnik i zapalił papierosa, nie trudząc się nawiązywaniem jakiegokolwiek kontaktu.

– Musieli na nas czekać – szepnęła mi do ucha Swieta.

Z ciężarówki zeskoczyło kilku mężczyzn, wszyscy śniadzi i wąsaci. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Władymirowicz wszystko już przygotował, odsunął teraz tylko pokrywę ładowni i stanął z boku pod czujnym okiem kapitana. Tadżycy, bo nimi byli niewątpliwie ci ludzie, pracowali na czarno po całej Syberii, więc nawet nie byłem zdziwiony, widząc ich i tu. Sprawnie zaczęli wydobywać z wnętrza statku płyty gipsowe i ostrożnie układać je na ciężarówce, skąd nad wszystkim czuwał najgrubszy i najbardziej wąsaty z nich. Wyglądaliśmy na tej plaży jak rozbitkowie,

przynależący do dwóch równie jak i my zagubionych maszyn. Plusk wody zagłuszyły teraz ciężkie posapywania i głuche uderzenia lądujących na ciężarówce regipsów. Długo im z tym nie zeszło. Kiedy tylko ostatnia płyta znalazła się na stosie, Tadżycy sprawnie przeskoczyli na ciężarówkę i usadowili się na szoferce, tyłem do kierunku jazdy, opierając nogi o piętrzący się ładunek.

– Jedziesz ze mną – powiedziała Swieta, pakując się do kabiny obok kierowcy. – Sama się boję.

Złapałem podaną mi przez grubego dłoń i usadowiłem się przy nim na dachu szoferki. Samochód rzygnął spalinami i trzęsąc się cały, wydobył się z rzeki. Wolno i chwiejnie ruszył pochyłym brzegiem w kierunku porośniętej trawą i kwiatami skarpy. Spojrzałem na mojego sąsiada, który obdarzył mnie w zamian szczerym, pełnym złota uśmiechem spod smolistych wąsów.

– A wy co tutaj robicie? – zapytałem.

– Szpital budujemy! – odpowiedział, przekrzykując łoskot silnika.

– Toście sobie miejsce znaleźli!

Roześmiał się i poklepał mnie po plecach.

– Jeszcze miesiąc i do domu! – krzyknął.

Musieliśmy przerwać, bo nasz pojazd zaczął właśnie wspinać się na strome wzniesienie i nagle odkryłem, że zamiast siedzieć, stoję na burcie ciężarówki, rozpaczliwie trzymając się rękami dachu. Wprost przede mną rozpościerał się wspaniały widok na połyskujące koryto

rzeki. Skrzynia biegów zgrzytnęła obrzydliwie, silnik zawył jeszcze głośniej.

– Ho, ho… – wyrwało się jednemu z moich współpasażerów, po czym zaczęliśmy tracić pion i punkt ciężkości wrócił do naszych siedzeń. Błotnistą drogą zagłębiliśmy się w las, by po kwadransie wjechać między rozpadające się zabudowania wsi. Z daleka widać było szkielet powstającego baraku medycznego.

– Wyrobicie się w miesiąc? – zapytałem majstra.

Ten tylko lekceważąco machnął ręką. Zeskoczyliśmy z ciężarówki przed budą kryjącą w sobie sklep i administrację.

– Poczekaj na mnie, muszę się rozliczyć – oświadczyła kapitanowa i zniknęła za paździerzowymi drzwiami ozdobionymi spłowiałą reklamą piwa Baltika.

Zostałem sam na grząskiej od brunatnego błota drodze. Obserwowałem przez chwilę, jak ciężarówka zajechała pod szkielet szpitala i jak się wzięli do rozładunku. W końcu jednak moją uwagę przyciągnęły jakieś chude psy, które zaczęły się przyglądać i węszyć z nisko pochylonymi łbami.

– Pomóż mi! – Swietłana stała w szeroko otwartych drzwiach, opierając o framugę duży, foliowy worek i białą reklamówkę.

Rzuciłem się z pomocą.

– Co to? Cukierki?

– Szkoda gadać – jęknęła. – Lepiej się stąd zabierajmy.

Kilka domów dalej przy płocie stali mężczyźni w wojskowych kufajkach. Palili i pili z gwinta, teraz

przyglądali się nam ciekawie jak stado lemurów. Dźwignąłem szeleszczącą torbę. Uważając, żeby nie ugrzęznąć w błocie po kolana, skierowaliśmy się w dół drogi, z powrotem na brzeg. Szybko zostawiliśmy za sobą budynki, po chwili ostatecznie zniknęły za zakrętem leśnej drogi.

– Nie, naprawdę, tak to ja się jeszcze nigdy nie rozliczałam. – Kręciła głową i wydymała policzki. – W cukierkach!

– No to nieźle. Macie zapas na cały rok.

– Mówię ci, ostatni raz po Dolnej płyniemy, zapamiętaj moje słowa. Nie mają reszty i mi w cukierkach wydają. Za rok będą żarli kamienie, jak tak dalej będą robić. – Przerwała, żeby zabić tłustego komara, który usiadł jej na dłoni i teraz rozprysnął się jak bańka mydlana. – Boże, co za miejsce, jakby nie ta moja choroba, toby nasze nogi tutaj nie postały.

– Czyli co?

– Co, co. – Wciąż wkurzona zachowywała się jak udzielna księżna. – Byliśmy w Turze u tego ich całego magika.

– To mają jakiegoś?

– No… znachora, Boże, z tobą to też się rozmawia.

– Szamana?

– A może szamana. Ale i tak nic nie poradził.

– Ale co robił?

– Nic nie robił. Paszy kazał pić ziółka, a nade mną rozłożył ręce.

Zaraz za kolejnym zakrętem weszliśmy między chude brzozy, które otaczały drogę szczelnym murem. Setki cienkich białych pni, zwieńczonych jasnozielonymi pióropuszami, drżącymi na wietrze z niespokojnym szumem. Między drzewkami zalegał cień, skrywając wnętrze gąszczu przed naszymi oczami. Zatrzymałem się. Tuż przy drodze z niewielkiego kopca sterczało coś w rodzaju spłowiałego pala, a za nim następny.

– Co tam masz? – usłyszałem zza pleców głos Swietłany.

Schodziliśmy ostrożnie po ścieżce w dół skarpy.

– Słodycze – westchnęła, przystając na chwilę, żeby rozpakować sobie trufla. – Moja ostatnia przyjemność.

Byłem teraz obładowany podwójnie, moja towarzyszka zadowoliła się transportem pęku fioletowych ziół.

– I co? Znowu cukierków nabrałaś?! – Pasza stał na pokładzie z rękami w kieszeniach i sceptycznym wyrazem twarzy.

– Resztę mi tym wypłacili.

– Cukierkami?

– Mam świadka – zastrzegła.

Kapitan rozłożył ręce i odwrócił się do Władymirowicza, który siedział bezczynnie na luku ładowni.

– Odbijamy.

Wtaszczyliśmy się na pokład i wciągnęliśmy trap. Silnik już kotłował wodę za rufą na wstecznym. Brzeg zaczął się oddalać. Na piasku wciąż wyraźne były ślady wyżłobione przez ciężarówkę, biegnące aż do samej wody, jakby właśnie się z niej wyłoniły, jak pozostałość po mitycznym wężu

kryjącym teraz swoje zygzakowate cielsko gdzieś pośród wilgotnej gęstwiny w głębi lądu.

– Cukierka?

Władymirowicz z zaciekawieniem zajrzał do reklamówki, którą mu podstawiłem. Pogrzebał w niej chwilę z dzikim chrzęstem, aż w końcu wydobył różową wiśnię w czekoladzie. Rozpakował natychmiast grubymi paluchami i z rozkoszą rozgryzł najpierw górę, potem głośno wysiorbał wisienkę z likierem, na końcu zjadł pustą czekoladową skorupkę. Otarł sumiaste wąsy.

– Jutro będziemy w Tutonczanach?

– Gdzieś tak wieczorem – mruknął, zaglądając znowu do reklamówki.

* * *

Worki były ciężkie, ułożone jeden na drugim w biały stos sięgający wysokiego dachu magazynu. Złapałem pierwszy z brzegu i zarzuciłem sobie na ramię. Posypała się mąka, której biały pył mieszał się z kurzem w gęsty obłok kłębiący się w słabym świetle lamp. Z szeroko otwartych drzwi wypadł zziajany Jewgienij, przytulił się do ściany, żeby zrobić mi przejście.

– No Andriusza, dawaj, dawaj.

Światło zalewało pokrytą linoleum sień i drewnianą rampę, na którą człapałem, mijany jeszcze przez kogoś. Rzuciłem worek prosto na wywrotkę, do połowy zapełnioną już różnej wielkości workami i pudłami. Pomiędzy nimi zataczał się Giena Łapuszkin, próbujący układać je jedne na drugich, stękając i przeklinając głośno. Zawróciłem,

Jewgienij już niósł swój, za nim Kola i zdyszany Anton. W sieni mignęła mi też gruba sklepowa stojąca na straży i kręcąca od niechcenia potężnymi kluczami. Obserwując nas, znudzona przesuwała czarne paciorki liczydła stojącego na stoliku obok.

– Jeszcze cztery – powiedziała. Podniosłem kolejny, za mną tupała już reszta.

– Wsio, na chuj? – wybełkotał Łapuszkin, widząc, że kobieta zamyka za nami szerokie drzwi.

– A mało ci? Trzeba se było ponosić! – warknął Jewgienij.

– Ładujemy się – zakomenderował Kola.

Wszyscy wskoczyli na przyczepę ponad głową zamykającego tylną burtę kierowcy. Kola usiadł obok szofera, Łapuszkin ciężko opadł na workach cukru, reszta przysiadła tam, gdzie komu było wygodnie. Jewgienij wychylił się i na chwilę połowa jego ciała zniknęła z naszego pola widzenia, powrócił, trzymając za ręce umorusanego dzieciaka. Postawił go na środku przyczepy. Ciężarówka ruszyła i chłopiec rozłożył się jak długi.

– Trzymaj się, na chuj, gówniarzu! – napomniał małego, a sam stanął dumnie jak król perski i spoglądał z góry na swoje królestwo pod stopami. Skrzypiąc i kołysząc się na wszystkie strony, ruszyliśmy spod magazynu wzdłuż krawędzi skarpy. Przeszło mi nawet przez myśl, że moglibyśmy się teraz z niej osunąć, przekoziołkować ciężko aż do samej wody i co by wtedy było. Zaraz zakręciliśmy jednak w górę, silnik wył i już byliśmy z powrotem na drodze między domami, których dachy przesuwały się na

wysokości naszych oczu. Podskakiwaliśmy na każdym wyboju razem z ładunkiem, tylko król balansował zgrabnie całym ciałem, trochę od czasu do czasu plącząc nogi. Machał też wszystkim, których zauważył, jakbyśmy byli w samym środku karnawału. Nie było ich znowu tak wielu, właściwie tylko dziadek przy płocie i jakaś młoda matka z dzieckiem, która w dodatku na jego widok się odwróciła. Nie przeszkadzało mu to jednak specjalnie, bo pozdrawiał też psy, wrony, krzywe płoty i zabite deskami okna domów akurat przez nas mijanych. Łapuszkin inaczej, kiwał się w rytm dołów i kolein, mruczał coś gniewnie i próbował odpalić prymkę. Na początku nie mógł zapalić zapałki, a potem trafić płomykiem w papierosa, aż gasła i trzeba było zaczynać od nowa. Był jeszcze Anton, jedną ręką złapał dzieciaka za kołnierz, żeby nie obijał się od burty do burty, a drugą oparł o worki z mąką, zapewniając sobie bezpieczeństwo. Gubernator Ewenkijskiego Okręgu Autonomicznego podpisał rozporządzenie, sklepowa odebrała zawiadomienie, Chiejkuri przydzielił ciężarówkę. Tegoroczna transza państwowej pomocy dla rdzennej ludności okręgu ruszyła pełną parą. Po cztery worki mąki, cukru, jeszcze konserwy, makaron i papierosy dla każdej rodziny, której sposób życia figurował w papierach jako tradycyjny. Były takie trzy: Hukaczarowie, dwóch braci Muktów i dwóch braci Hutokogir z drugiej strony rzeki. Tyle. Pierwszy postój pod domem Jewgienija, gdzie mieliśmy zostawić dolę Hutokogirów, bo oni byli jakoś z nim spokrewnieni. Boczna burta opadła z hukiem

i zeskoczyliśmy na trawę. Na pace został tylko dzieciak, który nie miał jak zleźć, bo za wysoko. Jewgienij szedł pierwszy, pchnął furtkę tak, że aż grzmotnęła o płot, jakby się miała zaraz rozlecieć. Ćwiczył kiedyś zapasy i podobno wygrywał nie tylko z Ewenkami. W wojsku miał ksywkę Tunguz i opowiadał, że w jednostce tłukł ruskich pacanów jak mokre żyto, aż w końcu kiedyś zebrali się w łazience i wszyscy do spółki spuścili mu wpierdol, niehonorowo, ale skutecznie. Przysiadł się kiedyś w drewutni bardzo blisko mnie.

– Co ty się będziesz z tymi Hukaczarami zadawał? – zapytał wtedy zadziornie.

Kola zrobił za jego plecami śmieszną minę, przedrzeźniając sposób, w jaki on się jąkał.

– Jedź ze mną! – Klepnął się wielką piąchą w pierś. – Popłyniemy do Hutokogirów. Tam wszystko jest, rozumiesz? Wszystko. – Oparł łokieć na moim kolanie i spojrzał mi głęboko w oczy. – To co? Jedziesz czy nie?

– Muszę się zastanowić.

Odwrócił głowę, zmiął w ustach przekleństwo i przysunął się jeszcze bliżej.

– Renifera zakłujemy, chcesz? Kłułeś kiedyś renifera? Jedziemy!

Nad jego głową Kola dawał mi jakieś rozpaczliwe znaki.

– A krzepę masz?! – zaczął obmacywać mój biceps.

– Może być?

Zignorował pytanie, wstał i rzucił rozkazującym tonem:

– Idziemy, obgadamy sprawę.

Dla świętego spokoju poszedłem, zdążyłem tylko pomachać Koli, który z kamienną miną patrzył za nami zza płotu. Jewgienij pchnął furtkę, tę samą co przed chwilą, aż jęknęło. Na podwórku w trawie leżało pełno żelastwa, jakaś siekiera, niebieska miska do góry dnem.

– Patrz, wszystko u mnie jest – powiedział, otwierając drzwi do niskiej szopy. W ciemności drzemał tam jak wieprz pomarańczowy pojazd śnieżny „Buran”, obok dwa żelazne silniki do łodzi i cały stos ubabranych w smarze innych urządzeń. – Muzeum techniki – oświadczył, zatoczywszy krąg ręką. Zatrzasnął drzwi. Wkroczyliśmy do ciemnej, tak samo jak szopa zagraconej sieni. W drzwiach minęła nas kobieta z płaczliwą miną, na którą Jewgienij nie zwrócił najmniejszej uwagi, pogłaskał tylko po głowie jedno z dwojga dzieci, które także wychodziły.

– Ejj… gówniarze, na chuj – zamruczał pieszczotliwie.

Obok rozwalonej lodówki i pralki majaczącej w kącie, przeszliśmy do salonu z rozgrzebaną wersalką na środku i wielkim czarno-białym telewizorem ustawionym pod ścianą.

– Teraz się napijemy – zakomenderował i wydobył z szafy butelkę. Już miał sobie pociągnąć, kiedy do pokoju wpadła bardzo gruba kobieta z twarzą jak patelnia. Ledwo widoczna broda dygotała jej z nerwów, podczas gdy reszta ciała podskakiwała pod wpływem gwałtownego wymachiwania krótkimi rękami.

– Ty pijusie! – wrzasnęła wysokim głosem. – Jak śmiesz, chuju złamany!

Jewgienij odjął flaszkę od ust.

– Znowu pijany! Dzieci chodzą głodne, jebany na chuj, a ty co! Kurwić się i… – Tu spojrzała na mnie wściekle. – I tę hołotę do domu sprowadzać! Do roboty, chuju!

Stałem jak sparaliżowany tym niespodziewanym atakiem, próbowałem coś powiedzieć, ale daremnie.

– Dziecko mi kurwiarz zmarnował! Kaleka! Gdzie twoja żona, pytam, dziadu?! Gdzie twoja żona?!

Jewgienij spuścił głowę i najwyraźniej nie zamierzał się bronić, ruszyłem ukradkiem do wyjścia.

– Wypierdalaj, pedale! – wrzasnęła z całej siły, nie wiadomo, czy do mnie, czy do zięcia.

Byłem już w sieni, a w progu kobieta, którą mij aliśmy wcześniej, z zaciętą miną kontemplowała ścianę. Sięgnąłem do kieszeni i napełniłem złożone dłonie dzieci garścią cukierków jeszcze od Swiety. Kilka z nich potoczyło się z szelestem na podłogę. W duchu dziękując Swietłanie za ten pożegnalny prezent i ścigany nieludzkimi wrzaskami teraz już Jewgienija, który widać przeszedł do kontrnatarcia, bo dobiegły mnie też odgłosy tłuczenia czegoś, wyszedłem na podwórko i ulicę. Tutaj wreszcie wszystko ucichło, spokojnie już, powoli przedryfowałem w poprzek falującej trawą drogi.

– Ale awantura – powiedziałem do zbijającego swoje sanki nie-sanki Koli.

– Wiedziałem, że tak to się skończy – wyseplenił przez trzymane w ustach gwoździe.

Tak to wtedy było. Teraz zanosiło się na to samo. W naszej asyście Jewgienij wkroczył do sieni i od progu przywitał żonę, która krzątała się tam w panice.

– Niczego, kurwa, nie uprzątnęłaś! – huknął. – Mówiłem ci, uprzątnij, na chuj, w sieni! To nie! – Kobieta wycofała się do pokoju, burcząc coś pod nosem. – No, Giena, dawaj! – zachęcił markotnego Łapuszkina i oparł się o przerdzewiałą pralkę. Łapuszkin zrobił krok, ale potknął się o leżący na ziemi nocnik i stanął w miejscu bezradnie. Gospodarz złapał za niespodziewaną przeszkodę i rozchlapując dookoła dziecięce ekskrementy, z całej siły wyrzucił ją na podwórko. – Paszoł won, na chuj!

Ogarnęliśmy sień, po czym zaczęliśmy układać towary. Łapuszkin zsuwał worki na brzeg ciężarówki, skąd my zabieraliśmy je na plecy i dalej. Zza domu wyszła nawet tłusta teściowa, przyglądając się nam z marsem na czole i wydętymi policzkami. Jewgienij pracował za dwóch, pokrzykując i poganiając resztę, jakby chciał się przed nią zrehabilitować. Tylko raz zadanie o mały włos go nie przerosło. Stało się tak za przyczyną wielkiego worka soli, który zarzucił sobie na ramię, ale czy źle złapał, czy worek był za ciężki, jak złośliwy przeważył go do tyłu. Chłop wygiął się w pałąk i cofnął kilka kroków, krzepa zapaśnika jednak to nie żarty. Z nabrzmiałymi żyłami na czerwonych skroniach przerzucił worek naprzód, ten co prawda znowu go przeważył i zaczął się zsuwać po klatce piersiowej i brzuchu ku ziemi, ale Jewgienij nie dał za wygraną. Złapał go wpół i stęknął przeciągle, zaciskając z wysiłku oczy. Już,

już wydawało się, że ulegnie i padnie jak długi razem z solą na trawę, jednak nie. Stopniowo zaczął podnosić się ze śmiesznego przykucu, w końcu dźwignął ładunek na ramię i stanął w rozkroku.

– Widzisz! Widzisz! – zakrzyknął do mnie, dysząc ciężko. – Tak to się, kurwa, robi! Nie puściłem!

Kiedy tylko załatwiliśmy część Hutokogirów, załadowaliśmy się na ciężarówkę, by dać się jej pokołysać w dół wioski, w stronę domu Koli. Skądś się wyłonił mały Wowa. Jechaliśmy wolno, bez trudu więc zrównał się z nami na swoim składaku. Wyjechał nawet trochę do przodu, tam zatrzymał się i podpierając jedną nogą, zawołał do mnie, kiedy przesuwaliśmy się obok niego.

– Wyleciał! Będzie za cztery!

Silnik z jakiegoś powodu ryknął głośniej. Wowa coś tam jeszcze, oddalając się, wołał, ale nie miało to już wielkiego znaczenia. Koła wpadły w dziurę, złapałem się mocniej żelaznej burty, Łapuszkin sam jak worek siedział na mące, Jewgienij balansował jak przedtem. Spojrzałem na siebie. Ostatnie czyste spodnie miałem zupełnie białe od mąki, pomazane jakimś syfem z przyczepy, poplamione olejem. Ciężarówka zatrzymała się przy ogrodzeniu Koli, sapiąc ciężko sprężonym powietrzem, wypuszczanym z tych wszystkich linek i kabli jak z nozdrzy. Zobaczyłem ciocię Walię, bo właśnie gdzieś wychodziła i chyba błyskały nawet fioletowe szkiełka w jej uszach. Droga, zwykle pusta, po której co najwyżej pies czy dwa przelecą albo wrona zatrzepie skrzydłami, teraz jakby się wypełniła ludźmi. A to

gdzieś jechał motor, ślicznotka od Mistrza spacerowała z wózkiem okutana w ciepłą kurtkę, to znowu ktoś tam gdzieś szedł, chyba Olga, a w domu znikała właśnie sklepowa odziana w kosmaty sweter. Brat Gieny stał oparty o płot, a rodzina, same kobiety i kilkoro dzieci, kopała w ogródku ziemniaki. To ta pora, trzeba kopać, bo na przykład za tydzień mogłyby już zmarznąć. Chcieliśmy zacząć rozładunek, a tu problem, bo boczna furtka w płocie zamknięta na amen. Podszedł do niej Jewgienij i z furią ją zmasakrował, rozrzucając deski dookoła, jakby były z papieru.

– Tak się tu u nas załatwia sprawy – roześmiał się Kola. – Nie ma się co cackać – dodał.

Korzystając ze swobodnego już przejścia, zaczęliśmy nosić ładunek wprost do sieni Koli. Szybko znalazły się jakieś ręce do pomocy, a ja uważałem, żeby nie pobrudzić spodni bardziej.

* * *

Na samym skraju czerwonej od rdzy barki przycupnęła ciemna postać, a nad nią jeszcze dwie, większa i zupełnie karzełkowata. Odgradzało nas od siebie morze błota i biała ściana rzęsistego deszczu, ciężko padającego na ziemię zza szarej mgły i ponurych chmur przykrywających ciemniejące już niebo. Kucający na skraju żelaznej wyspy, co chwilę podrywał trzymaną przez siebie wędkę, sięgał ręką do haczyka, odrywał to, co na nim było, po czym oddawał stojącej za nim postaci, która pochylała się nad wiaderkiem obok. Tłem dla tych poczynań była kolejna żelazna

platforma, zacumowana wzdłuż pierwszej, wyładowana mieniącą się grafitowo, wilgotną górą węgla. Za nią, po drugiej stronie rzeki, majaczyła równie czarna szczecina gęstego lasu. Trochę z boku tkwił niewielki stateczek, obmywany spadającą na niego wodą z sadzy, brudu i rdzy pokrywającej blachy grubym strupem. Deszcz był zimny, krople kłuły zdrętwiałe policzki. Z okropnym chlupotem mokrych butów, głęboko grzęznących w rozjeżdżonej mazi, skierowałem się w tamtą stronę. Szedłem w dół wzniesienia pokrytego szczelnie warstwą przeróżnego złomu, betonowych bloków, starych powalonych na kamienie słupów elektrycznych, poskręcanych lin, płyt eternitu. Potem, wzdłuż betonowego jęzora, wypuszczonego głęboko w stronę rzeki, ale urwanego w pewnym miejscu pionową przepaścią, jakby budowniczowie rozmyślili się w trakcie pracy. Nie zdążyli nawet poodrywać, teraz już przegniłych desek szalunku, wtopionych w tę dziwną konstrukcję jak antyczne owady w bursztyn. Cały kamienisty brzeg był zresztą jak wielkie wykopalisko, nigdy nieuprzątnięty zapis dostaw, katastrof, zmian technologicznych i zmian planów tajemniczych mieszkańców. Jak ten poobijany wrak jakiegoś przedpotopowego ciągnika, który w czasach swojej świetności przypominał chyba te oglądane w podręczniku z podpisem: realizacja pierwszej pięciolatki. Ten tutaj leżał zaryty w czarnym, przemieszanym z węglowymi grudami żwirze, przechylony na bok, straszący rzędem pozbawionych gąsienic, żeliwnych kół. Dalej na wzniesieniu, z którego właśnie zszedłem, górowały wielkie cysterny

zwieńczone dwoma wysokimi kominami. Należały chyba do miejskiej kotłowni, na pewno do łaźni publicznej. Jeszcze czułem na plecach razy brzozowych gałązek, którymi poczęstowały mnie miejscowe morsy owinięte w ręczniki i wypacające wszystkie grzechy w tych ich osiemdziesięciu stopniach. Tak im się spodobało to okładanie mnie, że jeden, w samych majtkach, skoczył po piwo, a pani łaziebna, chcąc iść do domu, musiała gasić nam światło i grozić zamknięciem.

– Chłopaki dajcie spokój, kobiety już dawno skończyły. Wyłaźcie! – krzyczała przez drzwi, krepując się wejść do gołych.

Ale dzisiaj była sobota, nie piątek, kominy zamarły, a deszcz bębnił głośno o blaszane cysterny, które lśniły jak nowe, spłukane strugami wody. Zza jednej z nich w dół zbocza biegła długa rura, wylewająca parującą zawartość na kamienie i do rzeki. Po wąskiej drewnianej kładce, rozciągniętej nad mętną tonią, dostałem się na pierwszy żelazny pokład. Dudniąc przy każdym kroku, minąłem otwartą, szeroką jamę ładowni, gdzie trzech wędkarzy rozbiło swój obóz. Rozciągnęli brezentową płachtę jako namiot, były legowiska, jakieś pakunki. Spod zaimprowizowanego daszku, w którego wklęsłości zdążyła się już zebrać wielka kałuża, wydostawał się dym z ogniska. Mieli wszystko, co było konieczne w razie przeciągającego się oczekiwania na jakiegoś pchacza, który przypłynie tu skądś i zabierze ich gdzieś, może nawet razem z ich rozbitym w zardzewiałej jaskini obozem. Stali milcząco

wpatrzeni w wodę. Wiaderko było pełne, niektóre ryby wyginały jeszcze ogony, inne zastygły już wachlowane różowymi skrzelami tych najświeższych, żadna nie była większa od dłoni. Mężczyzna nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, za to kobieta odwróciła w moim kierunku głowę, opatuloną szczelnie rozciętą reklamówką, i spojrzała na mnie zapadniętymi oczyma. Skinąłem, jednak nie odwzajemniła pozdrowienia. W tym samym momencie dziecko podskoczyło gwałtownie, bo kolejna ryba zakołysała się na żyłce, a po chwili trzepotała w jego drobnej dłoni. Pokład z węglem zabębnił pod moimi stopami, kiedy na niego wskoczyłem, o mały włos nie wpadając w poślizgu do pełnej ładowni. Minąwszy zwały węgla, podszedłem do burty statku, która górowała nad dwoma płaskimi barkami. Drzwi sterówki otwarły się, widać ktoś mnie stamtąd obserwował.

Ze środka wyszedł człowiek, zakładając w biegu ceratową kurtkę przeciwdeszczową. Jego wygląd uspokajał, nie był z tych, co to zgarniają kasę, a potem wyrzucają cię za burtę. Niski, od kilku ładnych dni niegolony blondyn w sile wieku. Nasunął głębiej kaptur i podszedł do burty, pochylając się nade mną.

– Nie płyniecie czasem w dół? – zapytałem.

– Płyniemy.

– A nie zabralibyście pasażera? Do Tutonczan.

– Miejsca u nas mało. – Skrzywił się pod kapturem. – Leć helikopterem.

– Żaden nie leci. Wszystkie bilety wykupione.

Mój rozmówca przyjrzał mi się uważnie.

– Zabierzecie? – nalegałem.

– Zabierzemy. Jasne, że zabierzemy – odrzekł z namysłem.

– A kiedy odpływacie?

– Trudno powiedzieć. – Pokręcił głową. – Teraz będziemy się rozładowywać. – Zastanowił się chwilę – Przyjdź zapytać za dwa dni.

– Ale nie odpłyniecie beze mnie?

Człowiek roześmiał się głośno.

– Nie odpłyniemy, nie bój się. Za dwa dni. – Skinął mi na pożegnanie i zniknął tam, skąd przyszedł.

Deszcz dzwonił o metal, przeczesałem ręką mokre włosy i odwróciłem się na pięcie. Tuż obok ciężko spoczywała góra węgla, trochę dalej w rzęsistym deszczu rodzina Ewenków nadal tkwiła bez ruchu, a nad nimi wznosił się posępny brzeg obramowany wilgotnymi falbanami nasiąkniętych wodą chmur.

* * *

Wbrew pozorom wcale nie było dużo czasu. Dokończenie rozładunku potrwało chwilę, jeszcze trzeba było zapakować parę rzeczy. Na obiad przyszło machnąć ręką. Pojawił się Kola, zdjął znad telewizora poroże renifera i wręczył mi z poważną miną. Je też musiałem jakoś zapakować. Zawsze zostają też jakieś przedmioty, które nie chcą się zmieścić i na końcu trzeba je upychać po kieszeniach, chociażby słoik dżemu z brusznicy, starannie wyszyte pudełeczko na drobiazgi – podarunek od siostry Koli – trzeba uważać, żeby się nie zgniotło. Kiedy wszystko było już gotowe, poszliśmy

do składziku, skąd wspólnymi siłami wytargaliśmy worek ziemniaków dla ciotki w Turze. Dźwignąłem plecak, złapałem worek z ziemniakami za jeden koniec, Kola za drugi. Wychodząc na ulicę, skorzystaliśmy ze świeżej wyrwy w płocie. W oddali mignęła mi lśniąca terenówka zdążająca pospiesznie w stronę lądowiska. Dookoła co rusz przemykały jakieś postacie, także zmierzające w tamtą stronę różnymi tajemnymi przejściami, opłotkami, skrótami. Zupełnie jakby cała wioska po kryjomu postanowiła wylecieć, ratując choć siebie i rzeczy osobiste. W kierunku odwrotnym do tego zakamuflowanego exodusu, wzdłuż płotu szli sobie Dmitrij i Tatiana, wolno i ostrożnie jak zawałowcy. Rozpogodzili się na nasz widok.

– Bywaj, synok – powiedziała Tatiana blada jak papier. – Już się nie zobaczymy. Ale się trzęsiesz – zauważyła, kiedy ją uścisnąłem. – Denerwujesz się. Nie deeeneeerwuj się – dodała uspokajająco.

– Szczęśliwego – powiedział Dmitrij, śmiejąc się i wielokrotnie potrząsając moją ręką. – Szczęśliwego.

Poszliśmy dalej, my w dół wioski, oni w górę, przed siebie.

* * *

Błoto przeżarło skórę moich butów, panowało nad drogami, sklepikami i piętrowymi barakami służącymi tu za domy. Musiałem czekać, bo choć od tygodnia padał deszcz, pogrążając osadę w strugach wody, to w dole rzeki na progach sterczały skały. Dwa dni miało zająć mętnej deszczowej fali zatopienie ich, dwa dodatkowe dni mój statek miał stać przytroczony do węglowej barki. Akurat

tylko popadywało, okoliczne wzgórza parowały, chmury kłębiły się nie jednoznacznie. Tutaj na wyżynie, skąd aż po horyzont rozciągał się widok na tajgę otaczającą osadę, kiedy tylko podnosiły się chmury, natychmiast ostre powietrze wypełniało każdy zakamarek. Niosło zapach bieguna, bezludnych gór Putorana, Tajmyru, wszystkich tych miejsc, gdzie się rodziło czy przez które tylko przeciągało w ciszy, wypełniając je swoją obecnością. Kiedy tak skrajem drogi schodziłem w dół, zza jadącego w moim kierunku kamaza wypadł gazik, minął go, a mnie skąpał od stóp do głów w brudnej kałuży. Przeklinając gorzko, zająłem się ścieraniem błota z kurtki i twarzy, jednak wspomnienie ciężarówki kazało mi podnieść głowę. Jechała nienormalnie wolno, żółwim tempem, którego nie usprawiedliwiały dziury w drodze czy fakt, że wspinała się w górę łagodnego wzniesienia. Taki prawdziwy mastodont do wożenia gruzu z pobliskiego kamieniołomu czy kopalni czegoś, cała od tego zmaltretowana i poobijana. Nadciągała mozolnie, ciężko przechylając się na każdej nierówności w powtarzalnym niczym przestępowanie z nogi na nogę ruchu. Za nią, do taktu jak stado umorusanych pingwinów, tłoczyły się zgarbione postacie. Przez jedno z dwóch miejscowych skrzyżowań, w ten przeklęty deszcz, między już dawno na wszelki wypadek obleczonymi w żałobę domami, zaszczurzonymi kiblami i połamanymi płotami, w sobie znanym kierunku zmierzał pogrzebowy kondukt. Pokancerowana góra stali sunęła ociężała i nagle dostojna od powierzonego jej brzemienia, w końcu zrównała się ze

mną. Opuściłem głowę, jak to się zwykle robiło, kiedy ksiądz szedł z olejami, czy gdy przechodził kondukt, ale tutaj nie było żadnego księdza. Za to, kiedy już ten olbrzymi karawan minął mnie trochę, dostrzegłem na jego umazanej ziemią wywrotce, czerwoną trumnę, wokoło której, pośród grud gliny, przycupnęła garstka ludzi. Widać było przede wszystkim ich twarze, które odcinały się blado od czarnego wnętrza i kiwały na wybojach. Czerwieniły się wieńce sztucznych kwiatów. Kiedy oddalili się jeszcze kawałek, ponad białą koronką mogłem dostrzec wystające podeszwy zmarłego. Królowały ze swojego podwyższenia nad niewielką grupą żałobników, idących wolno za nimi i wdychających z pokorą siwą chmurę spalin, buchających z grubej rury wydechowej. Szli w milczeniu, wytrwale. Pewnie dzięki temu mogłem usłyszeć chlupot kropel, na nowo bombardujących kałuże. Nie czekałem, aż znikną za którymś z zakrętów, może nawet powlekli się prosto i długo mógłbym ich obserwować, niknących za gęstniejącą kurtyną deszczu.

* * *

Helikopter schował się za drzewami, jakby chciał minąć wioskę i lecieć dalej. Ale nie, zawrócił, kreśląc łuk nad lasem, po czym z warkotem spłynął z nieba prosto za pokryty papą dach jakiegoś domu. Powietrze wypełniał świst wirników i huk silnika, który ucichł, zanim dotarliśmy na miejsce. Zeszła się tu chyba cała wioska, stłoczona, pełna entuzjazmu, elegancka, jeśli ktoś szykował się do wylotu. Była dzieciarnia, były pieski z zadartymi ogonami,

babcie w kolorowych spódnicach i mężczyźni wsparci o ogrodzenie. Najmniejsze dzieciaki wisiały na szyjach starszych albo spały, albo krzyczały w porzuconych przez rodziców wózkach. Cały ten tłumek jak wezbrany potok kamienie, niósł ze sobą parciane worki ziemniaków dla krewnych w Turze, kraciaste torby, pakunki i jeden silnik do łodzi. Piloci w kabinie coś tam ze sobą ustalali,a przed ich twarzami sterczały mikrofony z białych słuchawek, które mieli na uszach. Wielkie drzwi właśnie rozsuwały się z hukiem, odsłaniając pusty brzuch maszyny, podziurawiony rzędem świecących w mroku iluminatorów. Na razie nikt nie wchodził. Kierowniczka lotów, tym razem w bladoniebieskim mundurze i furażerce przypiętej do imponującej blond fryzury, wkroczyła na metalowe stopnie. Zahaczyła przy tym kokiem o framugę, poprawiła go jednak wdzięcznie i rozpoczęła przyjmowanie przesyłek. To, że nie wszyscy zebrani chcieli wsiąść, przyjąłem z ulgą, bo już zdążyłem sobie wyobrazić, że jako ostatni w kolejce nie załapuję się i zostaję tutaj sam jeden. Ktoś położył dłoń na moim ramieniu. To Iwan Iwanowicz z dzieckiem na ręku i w świeżym dresie. Nowe okulary nadawały mu wygląd uniwersyteckiego intelektualisty na wakacjach.

– Jedź, jedź Andriucha, na chuj – powiedział.

– Andrze! – krzyknął Jewgienij, który stał oparty o resztki płotu. – Chodź na zapasy! Nie pojedziesz, jak ze mną nie powalczysz! – Już się zabierał, żeby ruszyć w moim kierunku, ale stanął mu na drodze Nikołaj w swojej futrzanej kurcie.

– Poczekaj, zaraz ja się z tobą popróbuję – mruknął. Uścisnąłem mu dłoń. – Dobry moment sobie wybrałeś – powiedział kwaśno. – Pewnie nie wiesz, ale ci tu już żonę znaleźli. – Zaśmiał się chrapliwie i odkaszlnął. – Jak będziesz jechał, pozdrów ode mnie Białoruś! – zawołał jeszcze za mną.

Ludzie zaczęli znikać we wnętrzu maszyny. Pomogłem Koli wnieść do środka ziemniaki i ułożyć je pod ławką, na której usiadłem. Pleksi w okienku za mną cała była porysowana, mimo to widziałem wyraźnie trawę i kołyszący się za nią las. Nie było tam nikogo, wszyscy zgromadzili się po przeciwnej stronie, od drzwi. Piloci zaczęli przełączać jakieś pstryczki, kierowniczka wysiadła z listą pasażerów w ręce, drzwi się zatrzasnęły. Cienie śmigieł z początku powoli przebiegały po napiętych twarzach pasażerów, mocniej złapałem się zimnego słoika z dżemem, który trzymałem na kolanach. Silnik już wył na wysokich obrotach, a trawa za oknem kłaniała się nisko. Drgnęliśmy i pomału, niczym tknięci czarem, unieśliśmy się w powietrze.

* * *

Z zamkniętymi oczami, mikrofonem przy ustach i rozczapierzonymi w uniesieniu palcami, śpiewał tęskną pieśń. Na czas refrenu zamieniała się w podniosły hymn, który zdawał się unosić jego niewielką postać ponad lśniącymi od deszczu deskami sceny. Sprawiał wtedy wrażenie kroczącego po tafli ciemnego jeziora, samotny i maleńki, asystowały mu jedynie dwa czarne stojaki na

mikrofony i rzędy powiązanych w pęki kolorowych balonów. Od czarnych lakierek aż po poły niebieskiej marynarki, wszerz i wzdłuż biegły srebrne lampasy, koraliki ułożone w etniczne motywy, tasiemki. Błękit kostiumu stracił nieco na intensywności nasiąknięty wodą, której nie szczędziły mu mętne niebo i mgła, okrywająca boisko w Turze wilgotnym welonem. Za to wszystkie dodatki, którymi był pokryty, wręcz przeciwnie, im więcej deszczu w nie wnikało, tym barwniejsze się wydawały. Lśniły romby z cekinów, wyszyte na wielkim krawacie i wzory z koralików, którymi pokryte były niebieskie klapki na uszy. Artysta poruszał pulchnymi ustami i wyglądał jak egzotyczny ptak, który na tle eternitowych szop, rozpartych za estradą, odprawiał jeden ze swoich skomplikowanych rytuałów godowych. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że głośniki wysiadły, bo z namaszczeniem przytykał sobie mikrofon do warg. Jednak aksamitny głos nie docierał dalej niż do pierwszej linii widzów, opartych wprost o wysoką scenę u jego stóp. Ukłonił się nisko, koniec utworu. Z widowni posypały się słabe i rozproszone jak ona sama owacje, choć wystarczająco głośne, by spłoszyć grupę przycupniętych na linii wysokiego napięcia ptaków, które przeniosły się parę metrów dalej. Wkrótce oklaski zamarły i piosenkarz rozpoczął kolejny utwór. Tym razem gestykulował, płynnie zakreślając po niebie łuki i koła, co mogło sugerować pieśń o pięknie rodzinnej krainy. Publika słuchała, nadstawiając uszu. Właśnie występował gościnnie gwiazdor piosenki jakuckiej, którego słuchali nie tylko w całej Rosji, ale

podobno i we Francji jego płyta odniosła sukces sprzedażowy. Nikomu z zebranych nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Wpatrywali się więc uważnie w ruchy warg piosenkarza, pragnąc choć w ten sposób odgadnąć głębszy sens wykonywanej na scenie pantomimy. Ludzie stali w grupkach, chowając się pod parasolami, kapturami czy w jednym z czterech czumów rozbitych przed estradą. Podawano w nich kiełbasę, piwo i szaszłyki. Po bokach rozlokowano nakryte ceratą stoły, zastawione puszkowanym piwem i górami parującego na deszczu mięsa. Przy nich tłoczyli się mężczyźni, a że przed chwilą zdarzyła się jakaś bijatyka, to towarzyszyli im też ochraniający imprezę dwaj milicjanci i jeden major miejscowego WKU w czapce przypominającej ogromny naleśnik. Cała trójka miny miała nietęgie, zwłaszcza gruby major, z którym zeszłej nocy jeździliśmy pijani na motorze za wódką. Znaleźliśmy ją w końcu w dolnej szufladzie biurka w siedzibie WKU, bacznie obserwowani z portretu przez miejscowego bohatera Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, Uwaczana. Podobno przeszedł po dnie Dniepru z kablem telefonicznym w zębach, ratując w ten sposób ginący pod nawałą artyleryjską przyczółek. Teraz sami wyglądali, jakby zbawić ich mogła tylko duża ilość wody pitnej. Reszta, głównie kobiety i dzieci, brała czynny udział w wydarzeniach scenicznych, żywo reagując na pojawienie się na scenie każdego wykonawcy uświetniającego obchody Międzynarodowego Dnia Rdzennych Ludów Świata – innymi słowy dnia aborygena, jak poinformował mnie major. W oddzielnych grupkach

trzymali się Tadżycy. Zresztą chyba któregoś z nich przed chwilą pobito, byli więc raczej ostrożni i spode łba rozglądali się po kątach, gdzie wystawali, żłopiąc piwo, ich blond adwersarze. Nieustanny był też ruch na granicy boiska. Znajdował się tam wieloosobowy wychodek, do którego prowadziła rozdeptana, błotnista ścieżyna. Na mokrych ławkach ze zwieszonymi głowami odpoczywali pijani, za towarzystwo mając plastikowe kufle wypełnione deszczówką i pogięte puszki. Wszystko to jednak stanowiło tylko tło dla sceny, gdzie swoją bezgłośną pieśń wykonywał jakucki gwiazdor. Występ zaczynał w duecie, wspomagany przez naczelnika wioski Essiej, jedynej jakuckiej osady w Ewenkii. Gamoniowaty urzędnik był trochę stremowany, ale akurat wtedy, jak na złość, głośnik działał bez zarzutu. W efekcie, zamiast pełnej operowego patosu pieśni, wyszło mało melodyjne miau, miau. Potem było już znacznie lepiej, aż do awarii. Wcześniej odbywało się wiele innych występów miejscowych artystów, które cieszyły się zmienną popularnością. Powodzenia nie miały na przykład chrapliwe songi sobowtóra Wysockiego w wersji ryży blond. Walił w struny i charczał: „Kto na zwierzynę tu nie polował, życie swe zmarnował…”.

Pozostawało mu tylko wbijać wzrok w zaciągniętą tajgę na wzgórzach i marzyć o frekwencji takiej jak u Jakuta. Jednak sukces niósł też ze sobą pewne zagrożenia. Zmęczona nadstawianiem ucha publika zaczęła w końcu pękać. Na scenę, roztrącając wiązki baloników, wgramolił się jeden ze słuchaczy. Chęć wystąpienia publicznego aż go rozpierała,

uginając mu kolana w mało rytmiczne kaczuszki. Przez pewien czas na scenie rozgrywały się więc dwa spektakle naraz. Jeden profesjonalny, odziany w bajecznie kolorowy kostium z nausznikami i drugi spontaniczny, w czarnej skórkowej kurtce, okularach przeciwsłonecznych i o dwa numery za dużych białych adidasach. Ta żywcem wyjęta z otchłani ruchu New Romantic dywersja trwała wystarczająco długo, by piosenkarz skończył utwór i pożegnał się, a sam partyzant stracił rezon i dał się sprowadzić jednej z pań koordynujących. Tama została jednak przełamana, o czym miały się przekonać występujące w następnej kolejności przedstawicielki kółka ukraińskiego. Tłum na widowni gęstniał, mokre kurtki parowały, a bajoro błota, w które zamieniono murawę, chlupotało pod nogami. Znowu jakaś draka przy stole z piwem, ktoś kogoś solidnie okładał, podczas gdy moi milicjonierzy zdążyli zniknąć już gdzieś z teatru działań. Tymczasem trzy Ukrainki śpiewały, pokazując kolana, i wachlowały uczernionymi rzęsami przy każdym zmysłowym przytupie. Miały długie blond warkocze, wielkie piersi i starannie wpięte we włosy bogactwo plastikowych kwiatów, ułożonych w narodowe wieńce. Statecznie poruszały szerokimi biodrami i zdecydowanie nie potrzebowały nagłośnienia, by rozpalić widownię do czerwoności. Pierwsi nie wytrzymali Tadżycy. Jeden z nich, młody i przystojny, wskoczył potężnym susem na estradę. Szczerząc się w ekstazie, rozłożył ręce i strzelając palcami, zaczął przestępować z nogi na nogę. Potem bił rękami

o pięty i robił piruety, a wtedy jego długi aż do kostek kaftan wirował razem z nim, zamiatając haftowane przepaski. Po chwili wszystkie trzy kobiety znalazły się już w środku wirującego kręgu śniadych wąsaczy. Bynajmniej nie dały się zbić z pantałyku, przeciwnie, mocniej stukały obcasami, zarzucały grzywkami i odsłaniały w szerokich uśmiechach skarbnice posztukowanych złotem szczęk. W odpowiedzi krąg wokół nich zacieśnił się jeszcze bardziej, ktoś puścił disco z nagle działającego głośnika. Na deski, z głośnym hukiem pękających balonów, zaczęły wskakiwać kolejne postacie: dziewczyny z ewenkijskimi diademami, ubrani w skórzane kurtki robotnicy, sklepikarka na szpilkach. Prędko scena zapełniła się po brzegi tańczącymi, ciasno stłoczonymi postaciami, spowitymi do reszty w ulewę. Tam, gdzie wcześniej była publiczność, zostało tylko wydeptane błoto, pełne puszek i kufli. Na opuszczonych ławkach dogorywali pijacy.

Pamięci Dmitrija Nikołajewicza Hukaczara, Walentiny Pawłownej Hukaczar, Władimira Ilicza Mukto